

Fatum? Tak to nazywasz?
Ja to nazywam po prostu przekleństwem.

FATUM

MAX CZORNYJ
FILIA

MAX CZORNYJ

FATUM

FILIA

*Najwyborniejszym Czytelnikom świata.
Tym, z którymi połączyła nas więź metafizyczna.*

I

Jak dziki zwierz przyszło **Nieszczęście** do człowieka

I zatopiło weń fatalne oczy...

– Czeka – –

Czy człowiek zboczy?

II

Lecz on odejrzał mu – jak gdy artysta

Mierzy swojego kształt modelu –

I spostrzegło, że on patrzy – co? skorzysta

Na swym nieprzyjacielu:

I zachwiało się całą postaci wagą

– – I nie ma go!

C.K. Norwid, *Fatum*

Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate^[1]

Dante Alighieri, *Boska komedia*

[1] „Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzić” (wł.)

Wiatr niósł swąd rozkładu. Gdzieś w pobliskich krzakach musiała leżeć padlina. Pewnie upolowany przez kota ptak albo małe zwierzątko. Czasem byle szczur potrafił cuchnąć tak, jakby zdechł wielki knur albo krowa. Była to kwestia pogody oraz nekrofauny. Niektóre muchy żerujące na zwłokach wydzielały specjalne substancje zapachowe, które odpędzały inne stworzenia. Mięso wydawało się im bardziej zgniłe, niż było w rzeczywistości. Natura potrafi przybierać nie tylko niezwykle kształty, ale również wydzielać zaskakujące aromaty.

Jednak Jakub nie myślał ani o nekrofaunie, ani o padlinie. Smród niespecjalnie zwrócił jego uwagę. Być może przez chwilę go odnotował, lecz przez ostatnie miesiące jego nos przyzwyczyił się do rozmaitych przykrych woni. Człowiek to istota jedynie nieznacznie ustępująca karaluchom i szczirom pod względem umiejętności przystosowania się do panujących warunków. A warunki były takie, że Jakub od wielu tygodni się nie mył i nie wykonał żadnego innego podstawowego zabiegu higienicznego. Po raz ostatni wziął prysznic w izbie wytrzeźwień, dokąd trafił po ataku paniki, gdy policjanci uznali, że jest kompletnie pijany, a on nie pozwolił zbadać się alkomatem. Powinien wtedy trafić do szpitala, ale dla takich jak on nie istniały właściwe diagnozy. Istniały jedynie stereotypy.

Rzadko kiedy bywał pijany. Kiedyś może i owszem, lecz od pewnego czasu utrzymywał trzeźwość. Nawet gdy ktoś częstował go alkoholem, zdecydowanie odmawiał. Prawdopodobnie przez to nie ufano mu i uważano za renegata nawet w zamkniętym środowisku bezdomnych. Nie przeszkadzało mu to. Trzymał się na uboczu, wolał nie wchodzić

innym w drogę i sam im nie nadeptywał na odciski. Niektórzy pewnie powiedzieliby, że jest dziwny, lecz on po prostu był sobą.

W wieku dwudziestu trzech lat, na czwartym roku filozofii, zdecydował, że nie dla niego jest życie naukowca albo urzędnika (o ile ktokolwiek zatrudniłby jako urzędnika filozofa). Z dnia na dzień poczuł potrzebę uzyskania bezgranicznej wolności i uznał, że studia mu ją odbierają. Rzucił uczelnię, jednocześnie zrywając wszelkie kontakty ze znajomymi. To drugie nie stanowiło zresztą specjalnego problemu, gdyż Jakub z nikim się nie przyjaźnił, a miał ledwie kilkoro bliższych znajomych. Jedyna dziewczyna, z którą kiedykolwiek się spotykał, przed dwoma miesiącami oznajmiła mu, że „nie wyobraża sobie przyszłości z kimś takim jak on”.

Kimś takim! Co to w ogóle miało znaczyć? Po wspólnych kolacjach, spacerach, gawędach usłyszeć nagle coś takiego... To musiało zostawić głęboki ślad. Być może stanowiło nawet główną przyczynę całkowitej odmiany w życiu Jakuba. Główną, ale z pewnością nie jedyną. Przesłanek było wiele, a baczny obserwator bez wątpienia dostrzegłby, że mizantropia to nie uczucie ani nie cecha, lecz proces postępujący powoli i nieuchronnie.

W każdym razie od ośmiu miesięcy „na wolności” – jak Jakub określał decyzję o świadomej bezdomności, trzymał się z dala od wszystkich i niemal do nikogo nie odezwał się słowem. Przyjął postawę świadomego odludka, który nie strzepi języka dla otaczającego go świata. Nie gardził nim, o nie! On po prostu uważał, że świat ten jest tak samo bezsensowny jak mówienie o nim. Uznał to za tym bardziej uzasadnione, gdy po krótkiej rozmowie z jednym z bezdomnych tamten mu zasugerował, że jego filozofia „może wynikać z guza mózgu”. Powiedział to całkiem poważnie i szczerze. Pał diabli, że był pijany. Pał diabli ich wszystkich. Wtedy Jakub postanowił skupić się na własnych myślach oraz ograniczyć do rzeczywistości, jaką tworzy się samemu.

Solipsyzm. Ciekawa koncepcja zakładająca, że nie istnieje nic poza tym, co wytwarza nasze własne „ja”. Nie ma innych ludzi, nie ma

świata, nie ma Boga ani piekła. Są tylko nasza świadomość i wyobraźnia.

Gdyby to była prawda, Apartamenty Słoneczne również by nie istniały. Tymczasem plakat z reklamą tej – rzekomo luksusowej – inwestycji wisiał na metalowym, pogniętym płocie od lat. Był wypłowiały i poobdzierany. Wiatr poruszał jednym z pręseł, które zgrzytało o stalowy element konstrukcji. Z tyłu było widać szkielec nieukończony budynku. Ponura mieszanina betonu oraz żelaza niszczała od czasu, gdy inwestor popadł w kłopoty finansowe. Ponoć dobił go krach spowodowany pandemią.

Jęk. Zgrzyt.

Były wytworami wyobraźni, podobnie jak smród padliny, plakat oraz płot.

Jakub westchnął, wciąż nie do końca przekonany co do potęgi własnej świadomości. Zatrzymał się i zmarszczył czoło. Pochylił się, gdyż w tej pozycji zdawało mu się, że lepiej słyszy. Jakby z dźwięków tła wyłapywał jeszcze inny dźwięk. Ponownie taki sam.

Jęk. Zgrzyt.

Tak, ale to nie blacha wydawała te odgłosy. Dochodziły one gdzieś z dali, z ogrodzonego terenu. Jakub mógłby je zlekceważyć, lecz instynkt mu na to nie pozwalał. A on zawsze ufał własnemu instynktowi. Mógł stronić od ludzi, mógł milczeć, ale nagle poczuł więź łączącą go ze światem. Nić, która udowadniała, że pomiędzy jego świadomością a elementami obiektywnej rzeczywistości istniała zależność – współistnienie.

Bzdury. Głupoty. Dyrdymały. Powinien wyrzucić z głowy te diabelne pojęcia akademickie i...

Jęk. Zgrzyt. Szloch.

– A niech to – szepnął, choć może mu się tylko tak wydawało. Być może wypowiedział te słowa całkowicie bezgłośnie.

Szybkim krokiem pokonał kilkanaście metrów wzdłuż metalowego płotu, po czym precyzyjnie przecisnął się przez sobie tylko znaną szczelinę. Nieprzyjemne dźwięki wywoływały ciarki. Zupełnie jakby ktoś

zgrzytał kredą po tablicy lub przeciągał gumą po wypastowanej podłodze. Ohyda.

Rzucił się pędem ku pustce otworu wejściowego. Pokonał go i zatrzymał się w wąskim, ciemnym korytarzu. Wstrzymał dech, bo świst powietrza zagłuszał wszelkie odgłosy.

Jęk się powtórzył.

Tuż obok.

Jakub powoli, niepewnym krokiem przebrnął parę metrów wzdłuż nieotynkowanej ściany. Zza załomu muru zajrzał do rozległego pomieszczenia, które być może miało być salą bankietową lub jadalnią.

Wtedy to zobaczył.

Z jego ust również dobył się jęk.

2

Deryło siedział na metalowym stołku i składał origami. Po kilku ruchach kartka zamieniła się w paszczkę potwora, której wystarczyło domalować kły oraz oczy. Można ją było zamykać oraz rozwierać niczym pacynkę.

– Co o tym myślisz? – zagadnął do leżącej na szpitalnym łóżku Haler.

Podkomisarz miała zabandażowaną głowę i lewą rękę. W ostatniej akcji doznała bardzo rozległych poparzeń, ale jakoś z tego wychodziła. Uśmiechnęła się blado. Pod oczami miała brązowe cienie, a jej nadpalone włosy owinięto specjalną gazą, którą nasączono środkiem mającym przyspieszyć ich regenerację.

– Jesteś niepoprawnym dzieckiem – odparła. – Nigdy nie zrozumieć, jaką przyjemność może sprawić mięcie papieru.

– Mięcie papieru? Dla ciebie to tylko tyle?

– A jest w tym coś więcej?

Deryło obrócił twarz ku trzymanej w dłoni gębie paszczaka. Rozwarł ją, lecz zaraz, udając, że wkłada w to potworny wysiłek, zamknął. Gwałtownie obrócił potworka origami ku Haler.

– To sztuka – stwierdził poważnie. – Nie rozumiesz jej?

– Nie rozumiem ciebie.

– Znowu zaczynasz...

Haler z trudem odwróciła się na bok i spojrzała mu prosto w oczy. Mierzyli się wzrokiem przez kilka długich sekund, wreszcie komisarz spolegliwie uniósł dłonie. Zerknął w stronę okna. Była już noc i szpitalna sala odbijała się w szybie. Z głębi korytarza dobiegały odgłosy pobrzękiwania metalowych tac, szmery rozmów pacjentów oraz odległe trzaskanie drzwiami. Oddział szykował się do snu, choć dla wielu pacjentów ulga snu nie była dana.

– Nie zaczynam – zaprotestowała Haler. – To tylko twoje wymysły. Wiesz, że nie mam teraz siły strzępić języka na te farmazony. Poza tym doskonale znasz moje podejście do życia i do umierania...

– Nie umrzesz.

– Kiedyś wszyscy umrzemy.

Deryło zwiesił głowę i zmiął paszczaka origami. Ciężko nabrał powietrza.

– Jasne – odezwał się, przeniósłszy spojrzenie na podłogę. – Wiem to aż nazbyt dobrze. Czasem mam wrażenie, że umierają wszyscy prócz mnie, a to ja najbardziej zasłużyłem na śmierć. Cholerny niefart!

– Przestań – fuknęła Haler. – Zgrywasz mięczaka, żeby tylko się dowartościować. Nie możesz sobie nic zarzucić.

– Bóg to widzi inaczej. Pokarał mnie, zabierając wszystkich, których kochałem.

– Uwielbiasz dramatyzować, co? Eryk, mistrz tragedii oraz monologów, które chwytają za serce!

Drzwi trzasnęły gdzieś znacznie bliżej niż poprzednio. Po korytarzu poniósł się tupot ciężkich kroków, a szmer rozmowy zamienił niemal w kłótnię. Nim Deryło rozróżnił jakiegokolwiek słowa, w progu sali stanęły dwie osoby. Wysoki blondyn w skórzanej kurtce i granatowych

jeansach oraz przysadzista, masywna kobieta w policyjnym mundurze. Od razu ich rozpoznał. Byli to aspirant Brzeski i starsza posterunkowa Nowak.

– Co wy... – Deryło spojrział na nich z dezaprobatą. – Ścigacie mnie nawet tutaj?

Za plecami przybyłej dwójki wyrósł mężczyzna w kitlu lekarskim, lecz po chwili odszedł, zrezygnowany. Posterunkowa spojrziała na aspiranta, a ten skinął ku Deryle.

– To ty z nim gadaj... – mruknął.

– Co to za szopka? – Komisarz podniósł się ze stołka i cisnął zmięte origami do kosza stojącego obok łóżka. Był ogromnym mężczyzną tuż przed sześćdziesiątką. Miał okrągłą, sympatyczną twarz, krótko ostrzyżone włosy i gładko ogolone policzki. Ciemne oczy rzucały ostre spojrzenia. – Nie możecie zostawić mnie z Tamarą sam na sam choćby na chwilę? W moim wieku naprawdę nie potrzeba przyzwoitek.

Nowak zagryzła usta i przestąpiła z nogi na nogę.

– Tak, ale... – bąknęła.

– Doszło do zabójstwa – dokończył za nią Brzeski.

– Bardzo makabrycznego. Tak makabrycznego, że to po prostu nie mieści się w pale...

– Zgłosili je bezdomni.

– I...

Deryło uniósł dłoń, przerywając dwugłos podwładnych. Przytknął palce do skroni i przymknął oczy. Przez chwilę stał, masując się w milczeniu. Nagle otworzył oczy, po czym sapnął.

– Skoro bezdomni poinformowali policję, faktycznie wygląda to nieciekawie – zauważył. – Co dokładnie się stało?

– Musi pan sam zobaczyć. – Aspirant powiedział to niemal błagalnym tonem, patrząc Deryle prosto w oczy. – Nie da się tego opisać słowami.

– Ma rację – dodała Nowak. – Ma stuprocentową rację.

Komisarz nie cierpiał niedomówień oraz gremialnych raportów. Mimo to nie odezwał się ani słowem. Włożył dłonie do kieszeni

i zerknął w stronę łóżka. Haler leżała na nim bez ruchu. Była podłączona do aparatury przypominającej przeniesioną z wnętrza statku kosmicznego. Od dwóch tygodni pozostawała w stanie śpiączki farmakologicznej, a rokowania były jak najgorsze. Mimo to Deryło codziennie spędzał u niej wiele godzin, prowadząc wewnętrzny dialog. Wyobrażał sobie jej odpowiedzi i pokrzepiał się nimi. Solipsyzm... Na tym właśnie polegał.

– No, idź! – ponagliła go teraz Tamara. – Na razie nie zamierzam stąd nigdzie uciekać. Słowo harcerki.

Kiwnął głową. Sięgnął po leżącą na oparciu łóżka marynarkę i pośpiesznie ją założył. Nie odwracając się więcej, skierował się do wyjścia.

3

Demon obserwował kolejne radiowozy zatrzymujące się na poboczu. Stroboskopy błyskały, oświetlając okolicę. W pobliżu zebrał się niewielki tłum gapiów, którzy zapewne mieli już dziesiątki teorii co do tego, co zaszło na terenie opuszczonej budowy. Jedyna przybyła na miejsce karetka stała z wyłączonym silnikiem, bez sygnałów, a ratownik medyczny opierał się o jej bok. Nieco dalej zatrzymał się duży van techników kryminalistycznych. Co rusz jedna z postaci w białym kombinezonie, kapturze oraz przyłbicy ochronnej pojawiała się przed ogrodzeniem. Paliła papierosa lub po prostu nabierała tchu, by po zmianie ochraniaczy na buty ponownie wrócić na miejsce zbrodni.

– Ten smród padliny to ponoć tylko rozkładająca się kuna lub norka.

– Kuna tutaj?

– Mnożą się na osiedlach domów jednorodzinnych, gnieźdzą po strychach i budowach takich jak ta. Nie ma dla nich lepszego

schronienia.

– A potem przegryzają kabelki w samochodach. Słyszałem już o tym. Mój kuzyn...

Wiatr przynosił strzępy rozmowy policjantów stojących obok białoczerwonej taśmy. Demon wsłuchiwał się w nią i uśmiechał, jakby kolejne słowa sprawiały mu niemal seksualną przyjemność. Musiał czekać, a emocje innych umilały czas.

Przeniósł wzrok na parkującą właśnie na chodniku radiowóz. Tuż za nim, z jęknięciem hamulców, zatrzymała się zabytkowa furgonetka – citroën H, znany wszystkim miłośnikom kina francuskiego sprzed pół wieku. Ze środka wyszedł zwalisty, ale zaskakująco ruchliwy mężczyzna. Niemal biegiem pokonał kilka kroków dzielących go od policyjnej taśmy. Uścisnął dłonie paru funkcjonariuszy, machnął do kobiety w stroju technika kryminalistyki, wreszcie zatrzymał się przy rozgiętym metalowym płocie. Powoli rozejrzał się po okolicy.

Nagle postawny policjant odwrócił się i spojrzał wprost w miejsce, gdzie znajdował się Demon. Mógłby go dostrzec, gdyby gdziekolwiek w pobliżu paliło się światło. Tymczasem porośniętego paroma drzewami nieużytku nie rozświetlał nawet błysk stroboskopów. Mimo to jakiś niezwykły instynkt sprawił, że komisarz przez kilka sekund wpatrywał się w nieprzenikniętą ciemność. Wreszcie odwrócił się i ruszył w stronę niewykończonego budynku. Nie czekał na nikogo ani na nic nie zważał. Szedł czujnie, lecz w jego krokach było coś przyciężkiego. Jakby niezbyt masywne nogi musiały utrzymać znacznie więcej niż solidny korpus. Wtem policjant zniknął we wnętrzu budynku.

Demon cicho mlasnął, po czym cofnął się głębiej między drzewa. Był zaintrygowany.

– A więc to ty – szepnął. – Miło cię poznać, komisarzu.

Deryło zamrugał. Jego oczy musiały przyzwyczać się do nagłego blasku bijącego od trzech reflektorów, które technicy rozstawili w obszernym pomieszczeniu. Choć ich światło nie było skierowane w stronę wejścia, zdawało się przenikać mózg aż do najgłębszych zakamarków. Jednocześnie nowoczesny sprzęt usuwał niemal wszystkie cienie, co zapewniało możliwość sprawnej pracy kryminalistów. W razie potrzeby soczewki lamp można było zaopatrzyć w eksperymentalne przezroczka dedykowane do wykrywania śladów krwi. Ten ostatni szczyt techniki ponoć nie sprawdzał się w zbyt dużych pomieszczeniach i obecnie kryminaliści korzystali z białego światła imitującego dzień.

Komisarz wreszcie otworzył oczy, po czym powoli się rozejrzał. Na betonowej podłodze porozstawiano kilka tabliczek do oznaczenia dowodów, a przy jednej z nich stał statyw aparatu. To o niego opierał się wysoki kryminalista. Miał za zadanie uprzedzić Deryłę, w razie gdyby ten zamierzał zanieczyścić jakieś dowody. Komisarz nie był jednak żółtodziobem i podobne procedury jedynie go irytowały.

– Nie zwolnili cię z łańcucha? – parsknął, nawet nie patrząc na technika.

– He?

– Muszę uważać, żebyś nie rzucił się na mnie z zębami? Wujek Eryk był niegrzeczny i nie założył stroju ochronnego. O to chodzi?

Deryło wyzywająco spojrział na mężczyznę, który miał na sobie kombinezon, lecz zamiast kaptura nosił siatkę ochronną na włosy oraz maseczkę.

– Oględziny zewnętrzne już niemal zakończono – odparł technik irytująco łagodnym tonem. – Wezwano pana ze sporym opóźnieniem. Specjalnie, aby uniknąć problemów.

– Serio? Będę się musiał komuś wyżalić.

Komisarz zacisnął pięści i obrócił się na pięcie. Poczł nagłą złość na samego siebie za te idiotyczne teksty. Dlaczego wyładowywał swoją

frustrację na tym Bogu ducha winnym człowieku?

– Przepraszam... – bąknął, starając się uśmiechnąć. Wyszło to mniej więcej tak, jakby egipskiej mumii usiłowano zrobić makijaż pogrzebowy. Kryminalistyk jedynie wzruszył ramionami. Najwyraźniej doskonale wiedział, czego spodziewać się po Deryle.

Tymczasem komisarz wbił wzrok w jedyny mebel znajdujący się w pomieszczeniu – o ile jako mebel można potraktować metalową klatkę przypominającą spory kojec dla psa. Miała ona kształt sześcianu o krawędziach mierzących mniej więcej metr i siedemdziesiąt centymetrów. Odległości między kolejnymi prętami były regularne, akurat takie, by przełożyć między nimi dłoń.

Deryło niemal od razu dostrzegł solidne zawiasy na boku klatki. Natychmiast uświadomił sobie, że cały jeden bok jest otwierany, lecz na jego końcu znajdują się dwa ciężkie skoble spięte niewielkimi kłódkami. Były to znane mu kłódki szwajcarskiego mechanizmu Graffena, odporne na piłowanie, palniki gazowe i inne podstawowe urządzenia włamywaczy. Ponoć istnieli specjaliści potrafiący je otworzyć przy użyciu zwykłego wytrychu, lecz to samo mówiło się o najbardziej skomplikowanych sejfach bankowych.

– I? – zagadnął kryminalistyk. – Coś pana zaintrygowało, panie komisarzu?

Deryło wiedział, że to pytanie nie odnosi się do zabezpieczeń. Tyczyło się czarnobrazowej papki, która wypełniała wnętrze klatki. To właśnie przez nią kryminalistyk naciągnął na twarz maseczkę, pod którą zapewne starannie wysmarował się żelem zapachowym. W pomieszczeniu unosił się bowiem ohydny smród spalenizny. Owa papka była pozostałością człowieka – wyraźnie widać było kontur podwiniętych w agonalnej pozycji nóg oraz rąk. Gdzieś tam przebijała biel kości oraz czerwień niespalonych mięśni. Większość tkanki została jednak zwęglona, skóra złuszczyła się niczym stary pergamin, a czaszka przypominała ziemniaka zbyt późno wyjętego z ogniska. Po włosach nie pozostał nawet ślad, oczy denata

wyparowały, a usta wygięły się, odsłaniając zęby. W miejscu nosa sterczał nędzny strzęp mięsa.

Jednak to nie owa czarnobrazowa papka nadpalonego ciała zwróciła szczególną uwagę komisarza. Deryło ostrożnie podszedł do klatki i spojrzął na metalowy stelaż, na którym została ustawiona.

– Niech to diabli – wycedził, domyślając się, co się wydarzyło w tym miejscu. – Niech to szlag.

Kucnął, aby się lepiej przyjrzeć, gdy za plecami usłyszał kroki. Ktoś dziarsko wmaszerował do pomieszczenia.

5

– Komisarz Sofia Dmitris.

Zgrabna czterdziestkokilkulatka ubrana w elegancki ciemny żakiet oraz proste spodnie podeszła do Deryły. Wymieniła z nim mocny uścisk dłoni i wytrzymała jego badawcze spojrzenie. Uśmiechnęła się. Miała duże ciemne oczy, mocny nos, mięsiste usta i sięgające ramion kręcone włosy. Dokładnie w tej kolejności jej cechy notował komisarz. Następnie zwrócił uwagę na jej śródziemnomorską cerę, sporą spinkę do włosów w kształcie głowy Meduzy oraz małą bliznę w kącie lewego oka.

– Sofia... – powiedział ni to tonem pytania, ni stwierdzenia.

– Tak, nie Zofia, nie Zyta, tylko Sofia. Mój dziadek był Grekiem, czy też raczej Macedończykiem, ale...

– Po nazwisku bym się tego nie domyślił.

– Mogłam je przyjąć od męża, prawda? Zdaje się, prawo na to pozwala.

Kobieta uśmiechnęła się jeszcze szerzej i puściła Deryle oko.

– Zapewne interesuje cię... o ile możemy przejść na ty?

– Jasne, kontynuuj.

– Zapewne interesuje cię, skąd się tu wzięłam i kim jestem. Żebyś zbytnio nad tym nie główkował, od razu wyjaśnię, że tymczasowo skierowano mnie do Lublina z zachodniego, wspaniałego Wrocławia. Działalam jakiś czas w strukturach europejskich, rozwiązałam parę międzynarodowych spraw, ale rzuciłam ten grajdoł. Bynajmniej nie ze względów patriotycznych.

– A jakże. Przecież nie mamy jeszcze w Polsce świątyń Zeusa.

Kobieta po raz kolejny się uśmiechnęła, choć tym razem formalnie i sztucznie. Odwróciła się na pięcie, a Deryło poczuł zapach dusznych, wytwornych perfum. Komisarz skinęła głową w stronę klatki.

– Ktoś nie oszczędzał na ogrzewaniu, prawda? – zagadnęła ponuro.

– Ano...

Deryło minął ją i zrobił kilka kroków, stając niemal przy samej metalowej konstrukcji. Zwrócił uwagę, że Dmitris nie użyła maści mentolowej, a nawet się nie skrzywiła, czując wszechobecny smród. W swoim kostiumie wyglądała jak jedna z ikonicznych korporacyjnych karierowiczek, które niczym w mundurze każdego dnia wyruszają na bój z całym światem. Przynajmniej dokładnie taka myśl przeszła mu przez głowę.

– Jak rozumiem, masz za zadanie mi asystować? – zapytał mimochodem.

– Albo ty mnie – zripostowała komisarz. – Choć formalnie to ja jestem w delegacji.

– Zawsze marzyłem, aby usługiwać kobiecie.

– Szowinista?

– Raczej mizantrop. Choć formalnie mizogin.

Tym razem to Deryło puścił jej oko. Bez cienia uśmiechu odwrócił się do klatki i wskazał na stelaż, na którym ją postawiono.

– Na tej blasze umieszczono węgiel – oznajmił rzeczowo. – O ile się nie mylę, specjalny brykiet podtrzymujący dłużej żar. Wiem, bo kiedyś używałem takiego do grilla. Jeśli wysypie się go wystarczająco dużo, pali się przez całą noc. A wnioskując po ilości popiołu oraz resztek...

widać, że tu bez wątpienia go nie żałowano. Ofiara dogorywała przez kilka godzin, dosłownie smażona na ruszcie...

– Bezdomny, który wezwał pomoc, twierdził, że gdy ją zobaczył, jeszcze jęczała.

– A więc to ona? – Deryło westchnął.

– Ofiara. Choć po kształcie bioder oraz zębach można by było pokusić się o segregację...

– A jęczenie? Przecież to niemożliwe. Ona, niech będzie, że nadamy jej formę żeńską, piekła się wiele godzin, nim ktokolwiek ją odkrył. Chyba że bezdomny po tym, jak ją zobaczył, wypił flaszkę wódki, przespał się i dopiero postanowił zgłosić mord.

– Nie. – Dmitris stanęła obok Deryły i wskazała na zniekształcone zwłoki. – Widzisz sposób, w jaki wygięła grzbiet?

– Tak. Zupełnie niczym kot.

– A jej dłonie oraz stopy są niemal całkowicie zwęglone. Wspierała się na nich tak długo, jak mogła, choć pewnie oparzenia zamieniły je w kawały spieczonego mięsa...

Komisarz kiwnął głową. Wyciągnął ten sam wniosek, lecz nie spodziewał się równie bystrej analizy po tej urzędniczce.

– Owszem – przyznał nieco niechętnie. – A kiedy nie miała już sił, upadła na bok.

– Tak. Ale dopiero wtedy, gdy niemal traciła przytomność. W obliczu ognia człowiek się kuli, a nie pręży.

– Ona zrobiła koci grzbiet.

– Wcale nie. – Dmitris łypnęła na Deryłę i wydeła wargi. – Sprawdzasz mnie, draniu. Myślisz, że palnę jakąś głupotę, dzięki której wyrobisz sobie o mnie jak najgorsze zdanie.

– Nie, ja wcale... Broń Boże.

Kobieta parsknęła, rozbawiona.

– Dobrze wiesz, że zwłoki pod wpływem ognia przybierają rozmaite pozy. To zupełnie naturalny proces. Poza tym wytapiające się powoli tłuszcze mogą brzmieć niemal jak jęczenie, a odgłosy przypalanej jamy brzusznej również nierzadko wzbudzają zainteresowanie. Trup

człowieka, który spłonął, nigdy nie ma formy takiej, w jakiej wydał on ostatnie tchnienie. Bez względu na estetykę.

– Tak, ale musisz pamiętać, że...

Deryło nie miał pojęcia, o czym powinna pamiętać Dmitris. Na szczęście, gdy klarował ten pryncypialny komentarz, podszedł ku nim Albert Fort. Był to technik, który przez ostatnie minuty pro forma stał na straży procedur. Około czterdziestoletni mężczyzna zsunął maseczkę i starał się oddychać przez nos.

– Wybaczcie, że przerwę wam pogawędkę... – odezwał się ponuro. – Ale jest coś, na co pewnie nie zwróciliście uwagi.

6

Technik poprowadził Deryło oraz Dmitris do drugiego boku klatki. Gdy się przy nim znaleźli, cicho odkaszlnął.

– O co chodzi? – warknął komisarz.

– Nie widzicie?

Deryło zmrużył oczy i się uważnie rozejrzał. Dmitris zrobiła to samo.

– Nie – odparła znużona. – Naprawdę lubicie w Lublinie pogrywać sobie sami ze sobą? Nie szkoda wam na to czasu?

Deryło zbył jej uwagę westchnięciem. Nagle uniósł dłoń i pstryknął palcami.

– Niektórzy mają aż za dużo czasu. – Z kamienną twarzą kuksnął technika w ramię i podszedł do jednego z reflektorów. Ten był wyłączony, choć jego czasza została obrócona prosto w stronę klatki. Komisarz włączył akumulatorowy zasilacz i mocne światło natychmiast padło na scenę zbrodni. – O to chodziło?

Wskazał na niewielką metalową tabliczkę, której nie mogli zobaczyć pod innym kątem. Była przymocowana do góry klatki, a stawała się dobrze widoczna dopiero w świetle reflektora. Deryło zmarszczył czoło.

Na prostokątnej blaszce zostało wygrawerowanych kilka liter. Tworzyły wyraz, który zdawał się pozbawiony jakiegokolwiek sensu.

– Bll? – odczytała Dmitris. – Tak, bll... To coś zostało ewidentnie zamontowane po zatrzaśnięciu ofiary w środku. Łańcuszek prowadzi do kratki z zawiasami.

– Albo od końca. Llb... – zaproponował komisarz. – Nie, to równie bezsensowne.

– A jednak ma jakiś sens.

Deryło odwrócił się do Dmitris i spojrzał na nią z góry. Kobieta była dość niska, a przy wielkim komisarzu wydawała się wręcz miniaturowa. Mimo to hardo spojrzała mu prosto w oczy.

– Nic ci to nie mówi? – zapytała. – Czy może dalej mnie testujesz? Jeśli tak, wiedz, że muszę to przemyśleć. Obecnie mam w głowie pustkę podszytą świadomością, że nie zjem nic grillowanego przez kolejne kilka lat. A wyjątkowo lubiłam grilla.

Deryło podrapał się po podbródku i zerknął na technika, który przypatrywał się im z odległości paru metrów. Ponownie przeniósł wzrok na tabliczkę, a potem na niemal zwęglone szczątki. Ktoś zadał sobie sporo trudu, aby zamordować swoją ofiarę. Nie chodziło jedynie o zamknięcie jej w klatce, ale o zaaranżowanie całej scenerii. Ponadto wiele wskazywało, że zbrodnia została podszyta wyjątkową motywacją. Komisarz doskonale wiedział, że podobne sprawy bywały najgorsze. I że rzadko kiedy kończyły się na jednej ofierze.

– Mam pewną koncepcję. – Mlasnął. Powiedział to po raz kolejny bez przekonania, podburzony rozbudzonym od jakiegoś czasu genem irytowania otoczenia.

Dmitris natychmiast uważnie na niego spojrzała. Założyła za ucho kosmyk włosów i przekrzywiła głowę.

– Ale? – zapytała badawczo.

Deryło wzruszył ramionami i zaśmiał się ironicznie.

– Mogą to być na przykład inicjały zapisane bez kropek i małymi literami. B. L. L.

– W takim razie czemu zrobiono to niegrammatycznie?

– Mówiłem, że to tylko robocza teza. Ale przynajmniej jestem o jedną tezę przed tobą.

Nie miał pojęcia, dlaczego nagle uaktywnił się w nim duch niezdrowej rywalizacji. Od wielu miesięcy coraz częściej miewał wrażenie, że obserwuje własne poczynania zza jakiejś plastikowej przesłony. Mógł je oceniać, nawet ganić, ale nigdy nie był w stanie ich zawczasu powstrzymać.

– To chyba wszystko? – zagadnął, wkładając dłonie do kieszeni. Rozczarowany zdał sobie sprawę, że nie tkwi w nich żadne origami.

Jednocześnie gdzieś w głębi świadomości zamigotał mu pewien pomysł. Musiał natychmiast coś sprawdzić. Tym razem nie chodziło o sporządzoną *ad hoc* roboczą koncepcję.

7

Deryło przeszedł obok Nowak i Brzeskiego, nie zważając na ich pytające spojrzenia. Uniósł dłoń, dając im do zrozumienia, że nie chce teraz rozmawiać. Bezgranicznie skupiony, starał się oddychać głęboko i powoli. W ten sposób można było najszybciej pozbyć się drażniącej nos woni spalenizny. Dobrze byłoby jeszcze się czegoś napić, aby opłukać przelyk, lecz w zasięgu wzroku nie znalazł nikogo z kubkiem kawy ani butelką wody. Trudno.

Zatrzymał się dopiero przy swoim poczciwym Citroënie. Przez chwilę majstrował przy klamce, wreszcie wsiadł do kabiny. Zatrzasnął drzwi, odcinając się w ten sposób od odgłosów ulicy. Był zadowolony, że Dmitris nie poszła za nim. Choć właściwie nie spodziewał się, by ta dumna kobieta zniżyła się do uganiania za kimkolwiek. Cóż. Tyle że co on tak naprawdę wiedział o kobietach?

Przed oczyma stanęły mu twarze żony i córki, dwóch najważniejszych osób w jego życiu. Utracił je obie. Ewa została

zamordowana – w co zresztą nie wierzył nikt poza nim, gdyż oficjalną przyczyną zgonu były obrażenia odniesione w wypadku, a Wiktor zerwała z nim wszelki kontakt.

Trzecia bliska mu kobieta, Tamara Haler, była bliska śmierci. Choć Deryło wiedział, że nie jest odpowiedzialny za to, co się stało, i tak się obwiniął. Mógł udać się na akcję sam, mógł kategorycznie odsunąć ją od tamtego śledztwa, mógł...

Dość. To wszystko były idiotyczne rozważania nad tym, co już się wydarzyło. A wówczas działał najlepiej, jak potrafił. Powołana błyskawicznie komisja nie wykryła żadnych nieprawidłowości. Paru wazniaków wymieniło z nim nawet uścisk rąk i zostało uwiecznionych na fotografiach. To stanowiło najlepszy dowód na to, że nadal jest w grze. Żałował, że nie kopnął ich wtedy w tyłki, odsyłając do diabła. Działał potulnie, zszokowany rokowaniami względem Haler.

Sapnął, odganiając te ponure wspomnienia. Łypnął za okno na metalowe ogrodzenie. Niedaleko zrobionego w nim przejścia stało dwóch policjantów. Kilka kroków dalej jeden z techników, już bez stroju ochronnego, lecz w workach na butach, palił papierosa. Typowy obrazek towarzyszący najgorszym zbrodniom. Całą scenę oświetlały światła stroboskopów oraz sporadyczne flesze aparatów.

Nigdzie nie widział Dmitris. Komisarz zapewne została w budynku, nadal zastanawiając się nad znaczeniem tych kilku liter... Właściwie po co ją sprowadzono? Miała go zastąpić czy niańczyć? A może...

Urwał tę myśl i wyciągnął telefon. Niedawne skupienie rozwiało się nie na skutek rozproszenia, lecz umyślnej prokrastynacji. Nie mógł tego odkładać na później.

Bll...

Uruchomił przeglądarkę, po czym kolejno wpisywał do niej hasła. Wziąwszy pod uwagę diaboliczność zbrodni, nie bez przyczyny przyszedł mu do głowy kontekst biblijny. A przecież w wielu językach bliskowschodnich nie istniały samogłoski. Należało je dodać według rozmaitych lingwistycznych kluczy. Deryło doskonale znał jednak

Biblię. Właśnie dlatego te trzy litery sprawiły, że w głowie zakołatała mu dziwna koncepcja.

Bll. Czyli Byłył. Była to forma imienia Beliala, czy też Beliara – jednego z upadłych aniołów, jeśli wzięłoby się pod uwagę kwestie hebrajskiego zapisu. Deryło coś niecoś o nim pamiętał, lecz nie chciał opierać się jedynie na dywagacjach. Tym bardziej że Belial występował przede wszystkim w apokryfach albo poza ścisłym katolickim kanonem. Choć równie dobrze całe rozumowanie mogło być absurdalne. Po co morderca miałby notować imię demona na metalowej tabliczce? Po co umieszczaliby ją na klatce, w której żywcem upiekł człowieka? To zakrawało na tradycje dzikich plemion murzyńskich sprzed dwustu lat, ale nie na zwyczaje hebrajskie. Przynajmniej od czasów kilku biblijnych ofiar, które...

Deryło nagle skoncentrował się na czytanej pobieżnie artykule. Kolejne zdania uruchomiły w jego umyśle lampkę alarmową. Pomysł mógł być szalony, ale przecież właśnie na potencjalnym szaleństwie opierało się działanie większości sprawców podobnych zbrodni. Komisarz miał poczucie, że z czasem zaczyna ich niebezpiecznie dobrze rozumieć. Rozumieć nie znaczyło – zgadzać się, ale mniejsza z tym. Popadał w zbędne dywagacje.

Pchnął drzwi auta i jednocześnie wcisnął telefon do kieszeni. Czym prędzej rzucił się w stronę przejścia do budynku.

– Przerwijcie oględziny! – krzyknął. – Nie ruszajcie ciała! Natychmiast stąd odejdźcie! Won! Wszyscy się cofnąć!

8

Na rozkaz Deryły przerwano wszelkie czynności prowadzone na miejscu znalezienia zwłok. Wezwano wojskowych saperów oraz pirotechników. Gdy ci pojawili się na miejscu, wśród zgromadzonych

ekip telewizyjnych poniosła się plotka o powstrzymanym zamachu terrorystycznym. Rzeczniczka komendy robiła, co mogła, aby tonować nastroje. Tymczasem komisarz przyglądał się wszystkiemu sprzed wejścia do budynku. Stał z rękoma założonymi na piersi i marsową miną. Przypominał posąg groźnego starożytnego boga.

– Chyba pani rzecznik cię szuka.

Odwrócił się, słysząc niski, zmysłowy głos Dmitris. Zerknął na nią ponuro i westchnął.

– Zbyt wiele elementów do siebie pasuje, ale mogę się mylić... – stwierdził szeptem. – Właściwie to wszystko sprowadziłem do kolejnej roboczej tezy.

– Produkujez je w zawrotnym tempie.

– Wiem, że od moich decyzji zależy życie wielu ludzi.

Ta uwaga sprawiła, że Sofia Dmitris zagryzła usta. Zbliżyła się do komisarza i wyciągnęła ku niemu dłoń, jakby chciała chwycić go za ramię. Cofnęła ją jednak, po czym się wyprostowała. Spojrzała w stronę wejścia do budynku.

– To nie twoja wina. Jeśli chcesz...

– Przestań. – Deryło ostro wszedł jej w słowo. – O niczym nie masz pojęcia. Poza tym miłe słówka w niczym nie pomogą.

– Ale są miłe. To czasem wystarcza. – Dmitris odwróciła wzrok. Poważnie skinęła głową, po czym ponownie zerknęła na komisarza. – Oświeć mnie, proszę, skąd ten pomysł zorganizowania tu operacji wojskowej?

– Naprawdę chcesz rozmawiać o tych pochopnych, roboczych tezach?

– Mając do wyboru czekanie na eksplozję w milczeniu, wolę rozmowę.

Deryło delikatnie się uśmiechnął. Włożył ręce do kieszeni i obrócił między palcami prawej dłoni srebrnym rzymskim sestercem. Choć nie był przesądny, monetę traktował jak amulet. Niemal zawsze nosił ją przy sobie.

– Założyłem, że „Bll” to nie są żadne inicjały – wyjaśnił, robiąc miejsce dla przejścia dwóm żołnierzom niosącym sprzęt

przypominający wielki odkurzacz. – W hebrajskim zapisie „Bl” to Belial, czyli upadły anioł odpowiadający między innymi za ognie piekielne.

– To całkiem pasuje. Zgrabna teza. – Dmitris zmrużyła oczy i pośpiesznie coś przeanalizowała. Kilkukrotnie kiwnęła głową. – W ogóle bym na to nie wpadła.

– To ty podsunęłaś mi ten pomysł.

– Ja?

– Mówiąc o grillowaniu oraz jedzeniu, wtedy pomyślałem o tym demonie. – Deryło głośno wypuścił powietrze. – Wnioski mogą być zbyt daleko idące, ale chciałem dmuchać na zimne. Belial nie tylko odpowiada za ognie piekielne, ale również czuwał nad tym, by zło, zamknięte w specjalnych naczyniach, eksplodowało...

Dmitris po raz kolejny odruchowo założyła za ucho kosmyk włosów. Jej twarz się napięła, a rysy wyostrzyły. Jednocześnie wydawało się, że momentalnie odmłodziła o dobrych kilka lat.

– Nie znam tej przypowieści.

– To apokryf, o którym również niewiele słyszałem – przyznał Deryło. – Znalazłem go przed chwilą w internecie. Obok tego, że Belial zwodzi ludzi swoim niezwykle łagodnym i miłym głosem.

Komisarz otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz w tej samej chwili z budynku wyszedł jeden z saperów. W rozmaitych pancerzach oraz specjalnym kasku przypominał cyborga z filmów science fiction. Ciężkim krokiem skierował się w ich stronę.

9

W pustostanie nie znaleziono żadnych materiałów wybuchowych. Kryminaliści mogli bez przeszkód kontynuować swoje czynności, zwłoki przetransportowano do zakładu medycyny sądowej, a Deryło

z poczuciem rezygnacji wrócił do auta. Kątem oka widział, że Sofia Dmitris go obserwuje, ale nie odważyła się za nim podążyć. Miała ponury, zamyślony wyraz twarzy i zdawała się rozczarowana równie mocno jak on. Rzecz jasna rozczarowujący nie był sam brak ładunków wybuchowych, lecz świadomość prawdopodobnie kompletnie błędnego toku myślowego.

Czy „bll” w ogóle oznaczało Beliala? Niby pasowało to do ogółu sytuacji, ale z drugiej strony mogło być całkowicie chybionym strzałem. Naciąganą teorią stworzoną tylko po to, by zaimponować szybkością działania oraz zdecydowaniem.

W międzyczasie Deryło dowiedział się, że w komendzie zakończono przesłuchanie bezdomnego, który natrafił na zwłoki. Nakazał go jednak zatrzymać tak długo, dopóki sam nie zamieni z nim kilku słów. Mimo wszystko przyzwoitość nakazywała mu się pośpieszyć.

Citroën nie był bolidem wyścigowym, lecz przy umiejętnym motywowaniu pedałem gazu potrafił prześcignąć rowerzystów, więc komisarz dotarł do komendy jeszcze przed północą. Bezdomny nadal tkwił w pokoju przesłuchań, ugoszczony szklanką wody oraz uruchomioną klimatyzacją. Deryło przyjrzał mu się zza szyby. Mężczyzna miał mniej więcej trzydzieści lat, choć zmierzwiiony zarost, ogorzała cera oraz posklejane włosy mogły go istotnie postarzać. Ubrany był w powycierany czarny polar i dziurawe płócienne spodnie. Zamyślony, bez ruchu, wpatrywał się w jeden punkt.

– To typek godny członkostwa w komisji smoleńskiej – oznajmił Brzeski, który najwyraźniej przybył do komendy znacznie wcześniej od komisarza. – Kompletny szaleniec. Coś mruczy, coś mamrocze, nie wiadomo, co z tego, co mówi, jest prawdą, a co bzdurą. Mędrkuje, by po chwili zamknąć się w sobie.

– Tak jak my wszyscy. Tyle że dziś to ja mówiłem o wybuchach...

Deryło cierpko łypnął na aspiranta i nacisnął klamkę. Powoli wszedł do pokoju przesłuchań tak, by mężczyzna mógł się oswoić z jego całą sylwetką. Wreszcie obrócił się do niego i usiadł na krześle

naprzeciwno. Krótco się przedstawił, po czym poprosił o to samo bezdomnego.

– Jakub – odparł mężczyzna.

– Jakub jaki?

– Czy w tym państwie każdy musi być nacechowany? Nie można być po prostu Jakubem jakimś tam? Wydawało mi się, że imiona oraz twarz wystarczają, by zidentyfikować człowieka.

Bezdomny zamilkł, a Deryło po raz pierwszy zerknął na niego ze szczerym zaciekawieniem. W ten sposób nie wypowiadali się zwykli menele mieszkający pod mostem i zgarniani do komendy po urządzeniu nocnej rozróby przy flaszcze denaturatu. Uśmiechnął się, wskazując na trzymaną przez przesłuchiwanego szklanę.

– Do identyfikacji wystarczą odciski palców – stwierdził. – Włos albo ręsa. Zazwyczaj szkoda jednak na to czasu i środków, więc przyjęliśmy pytać ludzi o nazwisko. To nie tylko kurtuazja.

Bezdomny obrócił szklanę w dłoni. Uniósł ją i spojrzał na nią pod światło.

– Jakub Karski – powiedział, nie odrywając wzroku od naczynia. – Urodzony dwunastego października dziewięćdziesiątego dziewiątego w Lublinie, z matki Magdaleny i ojca Szymona. Mam mówić dalej?

– Najlepiej o tym, jak trafił pan na te zwłoki.

– Już zostało to zaprotokołowane.

– Proszę powtórzyć – nalegał Deryło. – Chciałbym usłyszeć to osobiście.

Karski z irytacją parsknął, po czym odstawił szklanę na środek stolika.

– To mało ciekawa historia. Kiedy przechodziłem przy tamtym metalowym płocie, usłyszałem jakiś hałas. Jakby pisk lub jęczenie...

– Czy mógłby pan opisać te dźwięki bardziej precyzyjnie? Co przypominały?

– Co przypominały? – Bezdomny powtórzył pytanie, co natychmiast wzmogło czujność Deryły. Często była to nic nieznacząca reakcja, jednak w pewnych sytuacjach wskazywała na rosnące zdenerwowanie

rozmówcy. Karski wbił wzrok w położone na blacie dłonie i cmoknął. – Pisk wystraszonych kurcząt – odezwał się nagle. – Słyszał go pan kiedyś? Słyszał pan kiedyś pisklęta, gdy do kurnika wchodzi ktoś im nieznany? Nie mówię o lisie albo kunie, ale nawet o obcym człowieku...

Deryło nie odpowiedział. Kiwnął głową i zapisał coś w notesie wyjętym z kieszeni marynarki.

– Proszę mówić dalej. Gdy usłyszał pan ten pisk, od razu skierował się pan do środka?

– Tak, w zasadzie tak.

– W zasadzie?

– Po chwilowym namyśle. – Karski przeczesał palcami poskręcane, tłuste włosy. – Ale nie roztrząsałem swojego działania niczym matematycznego problemu.

Deryło nie zwrócił uwagi na jego sarkazm. Zgodnie ze swoim zwyczajem zadawał jedno pytanie za drugim.

– Czy był pan tam wcześniej?

– Zdarzało mi się przed kilkoma tygodniami. Jednak budowla uchodzi za niebezpieczną, grożącą zawaleniem, więc znam przyjemniejsze noclegownie.

– Ale pamiętał pan drogę do środka?

– Tak. Choć ten ohydny pustostan walił się i miałem istotne obawy, by wejść. Przynajmniej po ciemku nie widziałem popękanych ścian, więc...

Deryło nagle pochylił się nad stolikiem. Zabębnił palcami w blat i zamknął notes. Jego zachowanie zwróciło uwagę Jakuba, który nerwowo poprawił się w krześle.

– Czy powiedziałem coś nie tak? – zapytał drżącym głosem. – Proszę, wypuście mnie, ja nie zrobiłem nic złego...

– Jeszcze tutaj?

Deryło zdziwił się, widząc Sofię Dmitris w pobliżu pustostanu, gdzie znaleziono zwłoki. Z miejsca ulotniła się większość funkcjonariuszy służb, a przy odgiętym ogrodzeniu pozostał tylko jeden policjant. Wóz techników wydawał się osamotniony na poboczu, całkiem niedawno dosłownie rozjeżdżonym przez rozmaite pojazdy.

Dmitris spojrzała na komisarza i kiwnęła głową. Nie wyglądała na zaskoczoną. Delikatny wiatr poruszał kosmykami jej czarnych włosów. Przypominała postać z portretów dawnych mistrzów. Poruszała się energicznie, lecz bardzo dostojnie. Biła z niej pewność siebie, energia, ale również pewna tajemniczość, a może nawet smutek. Deryło nie potrafił jej przejrzeć.

– A ty? – zapytała przekornie. – Nie możesz rozstać się z miejscami zbrodni? Przyciągają cię jak magnes?

– Gdyby zwłoki odnaleziono na włoskiej riwierze albo w jakimś porządnym muzeum, mogłabyś mieć rację. Ale nie w tym pustostanie.

– A jednak wróciłeś. Czyżby ustalono tożsamość ofiary?

Deryło ciężkim krokiem przeszedł wzdłuż płotu, skinął pilnującemu przejścia funkcjonariuszowi i wszedł na teren budowy. Dmitris podążyła za nim.

– Nie. Nie mamy zielonego pojęcia, kim była – odparł komisarz. – Ale udało się przesłuchać bezdomnego, który ją odnalazł.

– I?

– Właściwie nic.

– Gdybym wcześniej o tobie sporo nie słyszała, pomyślałabym, że jesteś zwykłym impertynentem.

Deryło parsknął. Wszedł do budynku i skręcił ku bocznej sali. Część reflektorów techników nadal była włączona i ich światło kładło na korytarzu długie cienie.

– A tak masz mnie jedynie za gbura, szowinistę i łajdaka? – zagadnął, nie odwracając się. – Myśl o mnie, co tylko zapragniesz. To

twoje prawo.

– Myślę, że obchodzi cię to znacznie bardziej, niż dajesz po sobie poznać.

Dmitris podbiegła, usiłując dogonić komisarza. Ten wszedł do pomieszczenia z metalową klatką po środku. Była ona otwarta, a z jej wnętrza zabrano już zwłoki. W pobliżu ustawione były statywy aparatu oraz kamery, przy pomocy których rejestrowano przebieg pracy kryminalistów. W miejscu zbrodni pozostał tylko jeden z nich – czterdziestolatek, którego widzieli już wcześniej. Dopiero teraz komisarz łypnął na jego identyfikator. Mężczyzna nazywał się Wiktor Krug i piastował stanowisko starszego technika.

– Ciężko stąd odjechać, co? – zapytał, zamknąwszy walizkę z przyborami. – Wiem coś o tym.

Deryło nie odpowiedział na pytanie zadane po raz kolejny, choć w nieco innej formie. Podeszedł do jednego z reflektorów i chwycił go za stelaż.

– Panie komisarzu! Zmienia pan ustawienie światła do zdjęć, które...

Deryło łypnął na kryminalistykę tak gniewnie, że ten natychmiast zamilkł. Przeszedł kilka kroków, po czym postawił reflektor naprzeciw bocznej krótszej ściany pomieszczenia.

– Jak się włącza to cholerstwo? – warknął, szukając przełącznika lub choćby kabla.

– To „cholerstwo” ma zasilanie akumulatorowe – wyjaśniła Dmitris, naciskając coś przy samym kloszu reflektora. – Proszę bardzo, panie mizantropie, szowinisto lub łajdaku.

Mocne światło padło na białą ścianę. Deryło jął się w nią wpatrywać, marszczyć czoło i mrużyć oczy. Podeszedł do niej i ostrożnie wyciągnął dłoń.

– Może powinien powiedzieć „Sezamie, otwórz się” – zażartował technik, który stanął obok Dmitris. Jednak policjantka nie podchwyciła jego dowcipu. Zaintrygowana obserwowała, co robi

komisarz, następnie obiegła wzrokiem całe pomieszczenie i głośno pstryknęła palcami.

– Wiem, o co ci chodzi! – krzyknęła z entuzjazmem. – Że też sama nie zwróciłam na to wcześniej uwagi!

11

– Jakim cudem mogłam to przegapić! Bywam ślepa, ślepa, ślepa...

Dmitris jak struta chodziła w tę i we w tę. Kręciła głową i łypała ku ścianie, przy której zaczął pracować Wiktor Krug. Technik był najwyraźniej zaskoczony obrotem sytuacji. Ponownie rozpakował walizkę z przyborami, poprawił kombinezon i przestawił reflektory. Wykonał kilka nowych zdjęć.

– Powinienem ściągnąć resztę – westchnął. – Ale nie mam serca psuć im wieczoru, psia mać.

– Zepsuliśmy go już pirotechnikom – mruknął Deryło. – To wystarczy. Przynajmniej do momentu, aż potwierdzą się moje podejrzenia.

Stanął za jego plecami, przecinając tor marszu Dmitris. Kobieta się zatrzymała i odruchowo sięgnęła ku spince w kształcie głowy meduzy. Zastygła w bezruchu. Jej twarz była blada, oczy szeroko rozwarte, a usta delikatnie drżały. Musiała być na siebie naprawdę wściekła. Komisarz przez chwilę bacznie się jej przypatrywał, wreszcie łagodnie się uśmiechnął.

– Gdyby nie ten bezdomny, również nie zwróciłbym na to uwagi – usiłował ją pocieszyć. – Poza tym to może być głupi szczegół... Nieistotna bzdura, taka sama jak mój wymysł z materiałami wybuchowymi.

– Chodzi o instynkt i działanie – odparła Dmitris. – Masz do tego dar.

– Dar?

Deryło zaśmiał się cicho. Schował dłoń do kieszeni i obrócił między palcami sesterce. Haler też czasem mawiała, że ma dar. Tylko do czego? Do pchania się w kłopoty? Do niszczenia wszystkiego wokół siebie? Może zawczasu powinien ostrzec tę nieświadomą niczego kobietkę?

Te myśli nie znalazły rozwinięcia. Umysł komisarza ponownie zaprzątęła pomalowana na biało ściana. Jeżeli Jakub Karski mówił prawdę, widział ją po raz ostatni przed około tygodniem. Wtedy była popekana, a betonu nie pokrywał ani tynk, ani żadna farba. Poza tym przecież z budowlanego punktu widzenia bezsensowne było malowanie gołego betonu w pustostanie pozbawionym okien oraz drzwi. Poza tym pomalowano tylko tę jedną, krótką ścianę. Zapewne nie było drugiej takiej w całym budynku.

Mimo wszystko komisarz usiłował zapanować nad sytuacją. Gdy Krug rozpoczął ostrożne ściąganie farby, zadzwonił do komendy, nakazując, aby w czasie jego nieobecności nie zwolniono bezdomnego. Robił to na wszelki wypadek. Choć procedura nie była w tej kwestii jednoznaczna, praktyka rozmijała się z teorią. Można było polemizować ze zgodnością z prawem podobnego działania, lecz wypuszczenie potencjalnego mordercy byłoby jeszcze gorsze. Choć jednocześnie komisarz był na razie daleki od formułowania jakichkolwiek oskarżeń.

Już powierzchowna analiza zebranego materiału dowodowego mogła wyeliminować z kręgu podejrzeń Karskiego. To całkowicie wystarczało.

– Po co morderca miałby malować tę ścianę?

Choć Dmitris najwyraźniej zadała to pytanie sama sobie, zaburzyła nim tok myślenia komisarza. Tkwiło w nim coś istotnego. Nawet nie sama odpowiedź, bo na jej odnalezienie z pewnością było za wcześnie, ale coś równie ważnego... Deryło przeniósł wzrok na metalową klatkę, na miejsce, gdzie zawieszono zdjętą już tabliczkę, wreszcie ponownie spojrzał na ścianę. Dzieliło je około trzech metrów. Dotychczas wydawało mu się, że klatka została ustawiona idealnie na środku

pomieszczenia. Jednak teraz, gdy zwrócił uwagę na konkretne odległości, uświadomił sobie, że przysunięto ją bliżej pomalowanej ściany. Położenie patrzącego oraz złudność perspektywy zaburzały wcześniejsze obserwacje.

– Chyba coś mamy!

Słowa Kruga sprawiły, że Dmitris i Deryło natychmiast znaleźli się tuż przy nim. Rzeczywiście, spod warstwy farby wyłaniał się zarys napisu. Nie budziło wątpliwości, że ma on związek ze zbrodnią. Na jego widok komisarz cicho zaklął.

– Mamy popieprzoną zagadkę – dodał po chwili. – Właśnie to.

12

– Co to ma znaczyć? – Deryło zerknął na Dmitris i włożył dłonie do kieszeni. – Niech to szlag.

Powstrzymał się, by nie rzucić kilku kolejnych przekleństw. Ciężko sapnął, a następnie zawrócił na jednej nodze. Minął parę tabliczek dowodowych, po czym stanął obok metalowej klatki. Z tej perspektywy ponownie spojrzął na ścianę.

Spod warstwy farby wyłonił się napisany sprayem wprost na betonie napis. Komisarz odczytał go po raz kolejny w ciągu ostatnich kilkudziesięciu sekund.

Prawda objawia się pod warstwą czystości, a nie brudu. Ale pod nią też znika wraz z życiem.

Bełkot. Bzdury. A może – w myśl sentencji – oto jakaś prawda objawiona? Tyle że nie dostrzegał w tych zdaniach żadnego głębszego sensu. Warstwa czystości? Prawda znikająca wraz z życiem? Idiotyzmy.

Ponownie sapnął i zacisnął usta. Przede wszystkim w jakim celu zbrodniarz miałby umieszczać na ścianie swój bon mot, a następnie go

zamalowywać? Odpowiedzią na to pytanie mogła być owa wspomniana warstwa brudu, pokrywająca prawdę, ale...

– Chyba trzeba ponownie wezwać tu ludzi – mruknął. – Niech pobiorą ślady farby, sprayu i tak dalej... Obfotografujcie to, prześlijcie grafologom i innym specjalistom od pisma, a potem... Niech to diabli.

Deryło wściekle parsknął i otarł usta wierzchem dłoni. Od dawna liczył, że na emeryturę przejdzie po kilku miesiącach przynajmniej względnego spokoju. Tymczasem kolejne zbrodnie sprawiały, że jeszcze mocniej wsiąkał w swoją robotę. Poza tym, czy emerytura w ogóle w jego przypadku mogła być kusząca? Książki, muzyka z gramofonu, zabawa origami... Wszystko to samotnie, w pustce czterech ścian oraz w zaduchu wspomnień. Jedynie Haler mogła coś zmienić, tymczasem i ona stawała się jedynie kolejnym ze wspomnień.

– Miejcie nadzieję – parsknął żałośnie.

Dmitris zerknęła na niego, lecz się nie odezwała. Wsparta o jeden ze statywów ponownie spojrzała na ścianę. Ona również coś cicho do siebie mówiła. Dostrzegając to, Deryło zarechotał.

– Dom wariatów. I to my mamy prowadzić to śledztwo?

– Co go ugryzło? – Technik zerknął na Dmitris, ale chyba szybko zrozumiał, że to on powinien lepiej znać komisarza. Na powrót zajął się starannym omiataniem pędzelkiem pozbawionej farby ściany.

– Myślałam, że ma tak zawsze – odparła Sofia. – Ale faktycznie to górna norma...

– Norma?

– Zwał, jak zwał. Jednak...

Dmitris chciała się zwrócić do Deryły, lecz ten właśnie wyszedł z pomieszczenia. Pośpiesznie skierował się do starej furgonetki, odpalił silnik i natychmiast ruszył. Starał się zebrać myśli. Na karku czuł wręcz namacalny dreszcz, jakby ktoś przeciągał mu paznokciami po skórze. Coś w nim pękło. Po raz pierwszy od dawna miał wrażenie, że nie udźwignie ciężaru zła i bezsensu, które spoczęły na jego ramionach. Ofiara tej zbrodni... W jakich męczarniach musiała umierać? Kto mógłby zrobić coś tak okrutnego? Ale czy Bóg patrzący

na to przez palce nie był równie okrutny? Czy nie był okrutny, pozwalając umrzeć komuś tak dobremu jak Tamara Haler? Los... Nawet jeżeli toczył się niezależnie od Absolutu, czy w takim razie miał sens? Czy życiu towarzyszy jakakolwiek prawda wzmiankowana w tym idiotycznym graffiti? Najdoskonalszy z możliwych światów według Leibniza w rzeczywistości był jedynie wypełnioną szaleństwem umieralnią.

Nagle Deryło nacisnął hamulec. Citroën z piskiem opon zaczął się zatrzymywać tak dynamicznie, że zarzucił tyłem. Komisarz nie zwrócił na to uwagi, zjechał na pobocze i zaparkował niemal na środku chodnika. Pchnął drzwi, po czym rzucił się ku pobliskim schodkom. Pokonał je biegiem.

13

Komisarz przemknął przez niewielki parking, a następnie skręcił w prawo. Wypadł na niewielkie podwórze rozciągające się przed strzelistą bryłą ceglanego kościoła. Budynek stanowił rozłożystą, dwuskrzydłą trawestację neogotyku, ale gdyby nie wejście przypominające hotelową recepcję, można by doszukiwać się w nim uroku. Tym razem jednak Deryło nie zwracał najmniejszej uwagi na szczegóły.

Chwycił klamkę i rezolutnie pchnął drzwi. Był pewny, że kościół będzie zamknięty wbrew nakazowi pozostawiania świątyń otwartych dla wiernych o każdej porze dnia i nocy. Ku jego zaskoczeniu wrota ustąpiły, przez co niemal wpadł do środka. Zachowywał się jak pijany. Jego ruchy były nieskoordynowane, a na twarzy malował się wyraz bezgranicznego zdziwienia – taki sam, jaki wywołuje alkohol. Gdyby go zapytać, w jaki sposób znalazł się właśnie w tym kościele, zapewne nie potrafiłby odpowiedzieć.

Wykonał coś imitującego klęknięcie, niedbale się przeżegnał i runął na jedną z tylnych ław. O tej porze kościół był całkowicie pusty. Oświetlały go dwie lampy zamontowane w pobliżu ołtarza oraz elektryczny świecznik nieopodal konfesjonału. Przestronne wnętrze tonęło w półmroku. Wydawało się, że wypełnia je dym kadzideł oraz przesłona delikatnej mgiełki.

„Jeżeli przyjmujemy od Boga dobro, dlaczego nie mielibyśmy przyjąć zła?”

Deryło, siadając na drewnianej ławce, pomyślał o tym pytaniu sformułowanym przez Hioba. Wielokrotnie znajdował w nim pocieszenie, ale teraz wydało mu się nadzwyczaj puste. W końcu Bóg stanowił dobro, emanował nim i naturalnym było przyjmowanie od Niego światła. W Bogu nie było mroku, choć przecież jednocześnie mrok ten nie istniał pomimo Niego. Dlaczego miałyby więc zsyłać zło?

A może wszystko stanowiło jedynie nędzne wypaczenie tłumacza, podobnie jak błędnie przetłumaczono piąte kazanie? Hebrajskie *resah* wszak nie odnosiło się do zabijania jako takiego, lecz do mordowania, a przez to...

Deryło zwiesił głowę i przymknął oczy. Czy miał prawo kwestionować wszystko i wszystkich? Jasne, mógł sięgnąć po oryginał, a potem porównać tłumaczenia znanych mu języków. Nawet w sprawach wiary dążył do bezgranicznej prawdy. Interesowało go tylko sedno, bez jakichkolwiek naleciałości i ludzkich przeinaczeń. Być może odnalazłby się wśród najbardziej żarliwych reformatów.

Zaśmiał się do siebie. A raczej z siebie, co przyznał dopiero po chwili. Wtedy jego myśli naturalnie skierowały się ku Tamarze. Choroba Huntingtona od lat czyniła spustoszenie w jej organizmie, a jednak jakoś sobie radziła. Może należało być wdzięcznym właśnie za to, a nie wściekłym na samą chorobę?

– Ocal ją, Boże – wyszeptał komisarz. – Dobro, jakie potrafi czynić, bardziej się przyda na tym świecie niż u Twojego boku.

Deryło odchrząknął i nagle się wyprostował. Rozejrzał się, jakby zawstydzony, że ktoś mógł go podsłuchać.

– Pompatyczne gładzenie... – dodał, po czym zerwał się z ławy.

Nie odwracając się, wyszedł z kościoła. Z ulgą zaczerpnął świeżego nocnego powietrza. Po świetle włączyło się mnóstwo demonów i to ludzie musieli sobie z nimi radzić. Z boską pomocą lub bez niej. Przynajmniej za to mu płacono.

Czym prędzej skierował się do citroëna. Kiedy przekręcił kluczyk, silnik zarzęził, po czym odmówił posłuszeństwa.

– Nie, no bez żartów...

Deryło zerknął w stronę majaczącej na tle czarnego nieba bryły kościoła. Ponownie przekręcił kluczyk i zagryzł usta. Tym razem silnik odpalił bez problemu.

14

Deryło rozsiadł się w skórzanym obrotowym fotelu i upił łyk wody z cytryną. Miał ochotę na cognac lub brandy, ale powstrzymywał się przed sięgnięciem po butelkę. Jedna szklanka pociągnęłaby za sobą kolejną, a ta następną. Tak to zawsze działało. Alkohol nie był mu potrzebny. I bez niego gonitwa myśli przyprawiała go o ból głowy.

Sięgnął po czarną kartkę leżącą na blacie biurka. Zaczął ją odruchowo składać, formując żurawia origami. Ten sposób odprężenia towarzyszył mu, odkąd pamiętał. Nawet nie miał pojęcia, kto ani kiedy nauczył go kolejnych ruchów prowadzących do powstania przykuwającej wzrok figurki. Ponoć Japończycy wierzyli, że papierowe żurawie przynoszą szczęście, a zrobienie ich tysiąca miało rzekomą moc leczenia najgorszych chorób.

Przesady i bajki. Zresztą los i tak rozdawał karty po swojemu. Słynna Sadako Sasaki – dziewczynka napromieniowana w trakcie bombardowania Hiroszimy, zmarła po złożeniu dziewięciuset kilkudziesięciu żurawi. Aby ją upamiętnić, mieszkańcy kraju

Wschodzącego Słońca masowo składali origami. Nie udokumentowano jednak żadnego przypadku, aby uratowało ono kogokolwiek od śmierci. Nie uratowały od niej również nikogo modlitwy, kręcenie modlitewnymi młynkami ani układanie mandali. Deryło nie wierzył w cuda. Bóg, jeżeli był, nie interesował się światem ani ludźmi, przynajmniej do momentu, aż ci nie stawali u bram Jego wiecznego królestwa. Wtedy przychodził czas potencjalnych rozliczeń. Wcześniej Pan Niebios niczym Piłat umywał ręce, a popłuczyny z gąbki co najwyżej powodowały powodzie i podtopienia.

– Prawda objawia się pod warstwą czystości, a nie brudu – wyszeptał komisarz. – Ale pod nią też znika wraz z życiem.

Nie miał pojęcia, co mogą znaczyć te słowa. Przymknął oczy i odegnał obrazy swojej żony oraz córki. Tak, był w tym mieszkaniu sam i musiał się z tym pogodzić. Nie można dłużej było tego kwestionować. Nie można żyć przeszłością oraz ułudą.

– Dość... – syknął, zaciskając pięści i mnąc dopiero co złożonego żurawia.

Siłą całej woli przywołał wspomnienie wnętrza budynku, w którym doszło do zbrodni. Starał się sobie przypomnieć wszelkie szczegóły. Metalowa klatka, konstrukcja, na której ułożono węgiel, zwłoki kogoś, kto umierał w niesamowitych męczarniach. Blaszką z wygrawerowanym imieniem upadłego anioła. Teraz nie miał wątpliwości, że to był właściwy strzał. Nawet jeżeli ów anioł nie powinien przywieźć go do skojarzenia z ładunkami wybuchowymi i eksplozjami. Chyba że...

Mlasnął i otworzył oczy. Czy oby na pewno nie miał żadnych wątpliwości co do własnej dedukcji? Nie, nie był wcale tego taki pewny.

Wyrzucił zmiętego żurawia do kosza i wstał z fotela. Podeszedł do długiej angielskiej szafy bibliotecznej wypełnionej setkami rozmaitych tomów. Przez chwilę przebiegał wzrokiem kolejne grzbiety, w końcu otworzył drzwiczki i sięgnął po jedną z pozycji.

„Słownik mitów i tradycji kultury” był ciekawą lekturą, lecz teraz komisarz chciał znaleźć definicje kilku konkretnych haseł. Upadłych

aniołów, Beliala, całopalenia.

Przez kwadrans pochłaniał kolejne fragmenty książki, mrużąc cicho pod nosem. Wreszcie z trzaskiem zamknął tomiszcze i odłożył je na biurko. Upił wody z cytryną, po czym zabębnił palcami w drewniany blat. Zrezygnowany ponownie zanurzył się w skórzanym fotelu i oparł stopy o podnózek. Przymknął oczy, po raz kolejny przywołując wspomnienie miejsca zbrodni. Z najbliższej odległości wpatrywał się w puste oczodoły trupa, przyglądał się opiłowanym paznokciom i powyginanym palcom, z których odeszła zwęglona skóra. Dotknął szorstkiego policzka, przypominającego fragment spalonego mięsa. Usta ofiary otworzyły się na oścież, a ze środka dobył się obrzydliwy swąd rozkładu.

Wtedy Deryło zamrugał. Przeciągnął się i patrząc za okno, zdał sobie sprawę, że musiał zasnąć. Na wschodzie przecierał się już świt. Niebo miało fioletowogranatową barwę i zapowiadał się ładny dzień.

Komisarz momentalnie się rozbudził. Dopił resztkę stojącej na biurku wody, po czym odstawił szklanekę tak mocno, że niemal się zbiła. Przed oczami stanął mu napis odsłonięty spod farby. Pewna dziwna myśl zakołatała mu w głowie.

15

– Jak się bawisz?

Sonia spojrzała na wysokiego, szczupłego chłopaka w koszulce z napisem „Death is a real pleasure”. Miał mocne kości policzkowe, ciemne oczy i ostry nos. W ręce trzymał butelkę piwa, które co chwilę popijał. Wyglądał na podchmielonego, ale jeszcze nie pijanego. Uśmiechał się do niej zalotnie.

– Jak się bawię? – Sonia pociągnęła nosem. Na nozdrzach jeszcze czuła drobinki mefedronu, który był gorzej rozdrobniony niż zwykle.

Odkaszlnęła. Narkotyki sprawiły, że szumiało jej w głowie, a serce biło w przyspieszonym tempie. – To pytanie na podryw czy po prostu się nudzisz?

– Chciałem być miły. Od czegoś trzeba zacząć.

– Naprawdę? I z miliona możliwości wybrałeś gadanie?

– Ja...

– Zamknij się.

Zbliżyła się do chłopaka i delikatnie objęła go za kark. Patrzyła mu prosto w oczy. Jak kotka oblizwała usta i wydeła wargi. Była ładna i wiedziała o tym. Od zawsze miała powodzenie u mężczyzn. Nie musiała dbać ani o mocny makijaż, który bardzo lubiła, ani o sposób ubierania. Miała na sobie prostą czarną sukienkę kończącą się w połowie uda.

– Twoim zdaniem gadanie jest przereklamowane? – Chłopak uśmiechnął się jeszcze szerzej i pochylił ku jej ustom. – Zgadzam się!

Ktoś trącił go ramieniem, ale nie zwrócił na to uwagi. W pomieszczeniu bawiło się blisko sto osób, a w rogu uwijała się amatorska orkiestra heavymetalowa. Nielegalny spęd przyciągnął rozmaitych dziwaków oraz paru meneli. Pośród nich kręcili się dilerzy, robiący interesy kibole oraz parę dziwek, niekryjących się ze swoim fachem. Śmietanka lubelskiego półświatka.

– Masz całusa.

Sonia cmoknęła chłopaka w usta i delikatnie przejechała językiem po jego wardze. Następnie, gdy ten liczył na ciąg dalszy, zdecydowanie go odepchnęła. Tanecznym krokiem rzuciła się w wir zabawy pod prowizoryczną sceną. Światła dwóch stroboskopów oświetlały jej twarz, nadając jej rozmaite barwy. Od razu w pobliżu znalazło się kilku mężczyzn chcących zatańczyć. Sonia zbyła ich uśmiechem i ostentacyjnym wzruszeniem ramion. Poczowała delikatny zawrót głowy.

Mefedron. Kiedy był zły jakości, zamiast wprowadzić w przyjemny stan, potrafił zrujnować całą zabawę. Potrafił zniszczyć skrzętnie budowany humor. Nienawidziła tego. Powinna napić się teraz czegoś

mocniejszego, ale dopadło ją nagłe poczucie zniechęcenia. Nie było sensu, by zostać tu choć chwilę dłużej.

Nie zważając na gesty zachęcające do wejścia na scenę, przeszła obok zespołu i skierowała się do bocznych drzwi. Skinęła głową do dwóch dziewcząt, które знаła z widzenia, po czym wyszła na dwór. Była ciemna noc. Odgłosy imprezy niosły się po okolicy, ale wśród nieużytków oraz ogródków działkowych nie powinny nikomu przeszkadzać. Miejsce wybrano nie przez przypadek.

Sonia spojrzała w niebo, kilkakrotnie zamrugała i ruszyła żwirową ścieżką wiodącą wśród drzew. Pokonała kilkanaście kroków, gdy wydało się jej, że słyszy coś za plecami. Zatrzymała się i odwróciła.

– Kto tam? – zapytała zadziornie. – Lepiej nie rób sobie jaj. Kimkolwiek jesteś, spadaj, bo nie uda ci się mnie przestraszyć.

Z krzaków po lewej ponownie dobiegł stłumiony szmer. Sonia ruszyła w ich stronę i wyciągnęła dłoń. Była gotowa rozgarnąć zarośla, gdy jakiś cień wynurzył się ze środka. Wyprostowała się i cofnęła o krok. Wtem uświadomiła sobie, że zza krzaka wyszedł spory czarny kot. Jego oczy błysnęły w ciemności, po czym zwierzę miauknęło i otarło się o jej nogę.

– Kicia. – Sonia kucnęła i pogłaskała kocura po grzbiecie. Zwierzak się wyprężył, stawiając jednocześnie ogon. Ponownie cichutko miauknął. – Chcesz pójść ze mną?

Sonia wzięła kota na rękę, a ten nie zamierzał się jej opierać. Zadowolony ułożył się na jej ramieniu i zaczął mruczeć.

– A więc taki twój los... – wyszeptała kobieta. – No dobrze. Przecież z losem nie można walczyć.

KOLEJNY DZIEŃ

16

Deryło pchnął drzwi gabinetu i zamarł w bezruchu. Przy biurku Haler siedziała kobieta, wyraźnie widział jej łagodny, dostojny profil, zebrane w kok ciemne włosy oraz zarys smukłej sylwetki. Poczul też woń lekko duszących, wytwornych perfum. Sofia Dmitris drgnęła i również na niego spojrzała. Podniosła się od biurka, po czym zamarła w bezruchu. Doskonale rozumiała wrażenie, jakie musiała wywrzeć na komisarzu.

– Przepraszam, inspektor kazał mi się tu rozsiąść i zabrać do pracy. Powinnam na ciebie zaczekać albo chociaż wcześniej cię poinformować. Ale...

Deryło machnął ręką. Wszedł do gabinetu i cicho zamknął drzwi.

– Nie, daj spokój – odezwał się łagodnie. – Taki jest bieg rzeczy, a ja jestem tylko trybikiem wielkiej maszyny.

– Mimo wszystko...

– Nie tłumacz się. Gdy Tamara wróci, po prostu stąd odejdziesz i wszystko będzie, jak było. Tymczasem musimy zabrać się do pracy.

Dmitris skinęła głową. Przez chwilę obserwowała komisarza, wreszcie się odwróciła i podeszła do ekspresu do kawy.

– Podwójne espresso? – zapytała, podstawiając filiżankę pod dyszel.

– Jakbyś czytała mi w myślach.

– Raczej widzę podkrążone oczy i twarz człowieka, który nie pospał zbyt długo.

– Ty również sprawiasz takie wrażenie.

Była to nieprawda. Mimo wczesnej pory Dmitris prezentowała się całkowicie świeżo i rześko. Mimo to zrobiła kawę również dla siebie, po czym wypila ją niemal duszkiem.

– Masz jakieś przemyślenia – odezwała się, gdy wreszcie zasiedli przy biurkach. – Mów śmiało, chyba że wolisz zachować je tylko dla siebie. To kolejne tezy robocze?

– Czytasz ze mnie jak z otwartej książki?

– Jesteś bardzo mimiczny. A ja mam spore doświadczenie w obserwowaniu ludzi.

Deryło parsknął. Sięgnął po wyrwaną z zeszytu kartkę, ale nie wziął jej do ręki. Skoro był tak łatwy do rozszyfrowania, nie zamierzał zdradzić się banalnym rytuałem robienia origami. Obawiał się zbyt trafnej interpretacji. O ile taka w ogóle istniała. Poprawił się w fotelu i obrócił ku Dmitris.

– Prawda objawia się pod warstwą czystości, a nie brudu – zacytował. – Ale pod nią też znika wraz z życiem.

– Tak, również nauczyłam się tego na pamięć.

– Więc?

– Więc co? – Dmitris pochyliła głowę. Podparła podbródek dłonią i zmrużyła oczy. – Coś ci to mówi? Spędziłam wiele godzin, rozważając głębszy sens, ale go nie dostrzegłam.

– Nie dostrzegasz złożoności tego zdania?

Deryło energicznie wstał z fotela i podszedł do obrotowej tablicy. Sięgnął po marker, po czym pośpiesznie napisał nim przywołane zdanie.

– Spójrz na to z perspektywy klatki – odpowiedział, odkładając pisak. – Teraz rozumiesz?

Dmitris wyprostowała się i założyła ręce na piersi. Zdawkowo kiwnęła głową. W zasadzie nie była przekonana, czy rozumie komisarza.

– Uważasz, że to zdanie zostało skierowane do ofiary uwięzionej w klatce?

– Nie do końca. Przynajmniej nie całe.

– Ale?

Deryło tryumfalnie zabębnił w tablicę i ponownie sięgnął po mazak. W miejscu kropki rozdzielającej oba zdania nakreślił pionową linię.

– A teraz? – Nie czekając na domysły, Dmitris dodał: – Pierwsza część może zostać uznana za wiadomość do ofiary. Jakby morderca chciał ją przed śmiercią pouczyć. „Prawda objawia się pod warstwą czystości, a nie brudu”. Może wiąże się to ze spaleniem, a może ma jakieś inne odniesienie. To jest nieważne. Sednem jest druga część napisu.

– „Ale pod nią też znika wraz z życiem”? – Dmitris z pełną uwagą wpatrywała się w tablicę, lecz najwyraźniej tym razem nie nadążała za tokiem myślenia komisarza. – Chyba się pogubiłam...

– Wyobraź to sobie – nakazał Deryło. – Jesteś w klatce i widzisz tylko pierwsze zdanie. Płoniesz i umierasz. Wtedy sprawca dopisuje ciąg dalszy jako swoiste zwięźczenie wydarzeń. Epitafium.

– Po co miałyby to robić?

– Właśnie. Po co? Znalazłem na to tylko jedną odpowiedź.

Deryło zrobił kilka kroków i zatrzymał się nieopodal Dmitris. Spojrzał na nią z góry.

– Po to by wciągnąć nas do swojej gry. To zdanie jest skierowane bezpośrednio do nas. I to wcale nie wszystko.

17

Dmitris wreszcie pojęła bieg myśli Deryły. Sięgnęła po leżący przed nią plik kartek, a następnie przełożyła kilka z nich.

– Okej, przyjmijmy, że druga część napisu została skierowana do nas – odezwała się zadumana – wówczas pierwsze zdanie faktycznie miało na celu przemówienie wprost do ofiary. To by znaczyło, że sprawca ją znał lub z jakiegoś powodu była ona istotna dla mordercy. Wymowa komunikatu nakierowuje go na konkretnego odbiorcę.

– Właśnie. – Komisarz oparł się o biurko tak mocno, że metal jęknął.

– W związku z tym możemy sądzić, że nie chodziło o zbrodnię dla

samej zbrodni. Kazałoby to wykluczyć z profilu sprawcy działania nakierowane na dowolną ofiarę, czyli większość motywacji seksualnych i im podobnych.

– A przemawiałoby na przykład za „sprawcą mesjaszem”.

Mówiąc to, Dmitris podała Deryle plik kartek. Z wymowną miną spojrzała mu w oczy.

– Co to?

– Zobacz. Pracowałam nad tym przez większość nocy.

Komisarz sięgnął po kartki i zaczął czytać sporządzone na nich ładnym odręcznym pismem notatki. Część z nich zapisano w kolumnach, część w pospinanych klamrami akapitach, lecz całość była nadzwyczaj czytelna.

– Sporzystałaś profil sprawcy? – zagadnął z niedowierzaniem. – Zajmujesz się profilowaniem?

Dmitris z dumą się uśmiechnęła. W jej oczach pojawił się przekorny błysk.

– Nie wiesz o mnie jeszcze wielu rzeczy. Choć właściwie to jedynie pobieżna analiza rysu psychologicznego osobowości, która...

– Dość! – Deryło przerwał jej machnięciem ręki. – Pisziesz znacznie klarowniej, niż mówisz.

– Musisz zdawać sobie sprawę, że opracowałam to jedynie na podstawie oględzin miejsca zdarzenia oraz powierzchownych obrażeń ofiary.

– Domyślałam się...

– Dlatego to bardzo wstępna opinia.

Nagle komisarz oderwał wzrok od notatek i uważnie spojrzał na Dmitris. Z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Napisałaś tu dokładnie to samo, na co i ja wpadłem – oznajmił zdumiony. – W tym to, że komunikat ze ściany ma wielu odbiorców.

– Owszem, doszliśmy do podobnego wniosku.

– A jednak przed chwilą udawałaś zdumioną, jakbym, mówiąc o tym, odkrywał Amerykę.

– Chciałam, żeby było ci miło. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Przez chwilę naprawdę tak się czułeś, prawda?

Deryło się skrzywił, ale nic nie odpowiedział. Ponownie zajął się wertowaniem notatek. Czytając przechadzał się w tę i w tę po gabinecie, zamyślony zerkał za okno na panoramę odległej lubelskiej starówki, mruzczał i kiwał głową.

– Reasumując – zawiesił głos, po czym odłożył kartki na biurko. – Twierdzisz, że to sprawca zorganizowany, mężczyzna w wieku około trzydziestu lat, najprawdopodobniej mający stałe zatrudnienie, praworęczny, nakierowany na konkretny typ ofiary, którego odkrycie będzie stanowić klucz do jego tożsamości?

– Czytanie ze zrozumieniem masz zaliczone na piątkę z plusem.

– Tylko?

Dmitris przyciągnęła do siebie kartki i starannie ułożyła je na kupce.

– Nie wspomniałeś o punkcie wyjścia dla naszych działań. Wyznaję zasadę, że profil sprawcy można zbudować w oparciu o profil ofiary. A aby go stworzyć, musimy ją zidentyfikować i...

Przerwała, gdyż nagle Deryło jak oparzony sięgnął do kieszeni i wyciągnął telefon.

– Gawiński – szepnął, odbierając. – Halo, halo, mój drogi. Czyżbyś właśnie zakończył swoją robotę?

Patolog jak zwykle odezwał się dopiero po chwili.

– Mam ci coś do opowiedzenia – stwierdził wisielczym tonem. – Jeśli myślisz, że wiesz coś o sprawcy, przyjedź tu, a zmienisz zdanie. Wiedz, że nic nie wiesz.

– Doktor Gawiński nie ma sobie równych. Musisz tylko zrozumieć jego specyficzny sposób bycia oraz niechęć do odpowiadania na większość pytań...

Deryło ostrożnie przygotowywał grunt pod spotkanie Dmitris z patologiem. Doświadczenie go nauczyło, że niedomówienia mogą zaowocować tragedią. Gawiński bywał obraźliwy, miewał rozmaite humory i przyzwyczajenia. Nigdy nie udawało się go nakłonić do snucia domysłów ani wykroczenia poza granice obowiązków. Jednak swoją robotę wykonywał sprawnie i bardzo starannie. Ogromna wiedza imponowała komisarzowi, z którym pozostawał w serdecznych relacjach, mimo znacznej różnicy wieku. Gawiński miał bowiem już ponad siedemdziesiąt lat oraz pełnię możliwości przejścia na emeryturę. Poczucie obowiązku oraz brak wykwalifikowanych następców kazały mu jednak tkwić na stanowisku. Zdawało się również, że tkwił na nim z powodów pokrewnych powodom Deryły – jego żona zmarła przed kilku laty i emerytura, zamiast uroczą sielankę, zapowiadała permanentną samotność. Małżonkowie nie mieli dzieci, a patolog unikał również jakichkolwiek zwierząt. Wydawało się, że jego jedynymi szczerymi towarzyszami są zmarli.

– Jak zwykle o czasie!

Obrócił się w fotelu, gdy Deryło zajrzał do jego nory. Znajdowali się w podziemiach zakładu medycyny, które stanowiły wyłączone królestwo patologa. Wypełniał je zapach środków czyszczących oraz dymu papierosowego. Gawiński okresowo rzucał nałóg, by do niego wrócić ze zdwojoną energią i wypalać kilka paczek dziennie. W tym momencie również trzymał w ustach odpalonego papierosa. Niezmiennie przypominał Deryle żółwia błotnego zmieszanego ze szczurem. Był łysy, miał pomarszczoną skórę twarzy, mały, wężący nos, skryte za grubymi okularami oczka oraz przesadnie długą szyję. Mówiąc, odruchowo mrużył oczy i poruszał nosem.

– Z tą panią chyba się nie znamy... – stwierdził, gasząc papierosa w kryształowej popielniczce. Wstał od biurka i ruszył w ich stronę.

– Komisarz Sofia Dmitris. – Deryło przedstawił partnerkę.

– Następczyni podkomisarz Haler? – zagadnął patolog.

– Zastępczyni – poprawiła go Dmitris. – Chwilowo oddelegowana do pomocy komisarzowi Deryle.

Gawiński spojrzał nad jej ramieniem na komisarza i uniósł brwi.

– Skromność to cnota – skwitował. Odkasznął, po czym strzepnął z kitla popiół. Ze zwieszoną głową ruszył w stronę drzwi. – Chodźcie za mną. Pokażę wam, co odkryłem, a potem czym prędzej zostawicie mnie samego, abym mógł dalej delektować się ciszą. Zgoda?

– Odkrył pan przyczynę zgonu? – zapytała Dmitris. – To obrażenia na skutek odległych oparzeń dróg oddechowych oraz ciała, prawda?

Lekarz ponownie łypnął na Deryłę, który bezradnie rozłożył ręce. Ich ustalony system pracy sprowadzał się do tego, że Gawiński zazwyczaj zdawał relację, a dopiero wtedy zadawano mu pytania.

– A pani to jasnowidz? – zapytał cierpko. – Skąd pani wie, że zwłok nie podpalono dopiero po śmierci?

– Pozycja ofiary wskazuje, że...

Deryło na migi dał jej do zrozumienia, żeby nie odpowiadała. Weszli do kolejnego pomieszczenia, wzdłuż którego najdłuższej ściany ciągnął się rząd szuflad chłodniczych.

– Zbyt dużo słów... – bąknął Gawiński. – Stanowczo zbyt dużo słów...

Nie mówiąc nic więcej, pociągnął jeden z uchwytów. Z wnęki wysunęła się szuflada ze szczątkami włożonymi do rozpiętego foliowego worka. Bez wątpienia były to te same, niemal zwęglone zwłoki, które poprzedniego wieczoru widzieli w metalowej klatce. Obecnie nosiły ślady przeprowadzonej sekcji, choć Dmitris musiała przyznać, że wszelkie cięcia oraz szwy wykonano nadzwyczaj starannie. W oczy rzucał się jedynie otwór na podbródki, przez który Gawiński zapewne wyciągał język ofiary. Ze względu na kruchość spalonej tkanki nie mógł wykonać standardowej procedury rozcinania skóry twarzy i naciągania jej na czerep denata.

– I? – zapytała ponaglająco. – Co mamy zobaczyć?

Deryło przestąpił z nogi na nogę. Spodziewał się, że Gawiński w każdej chwili zaprosi ich na konsultacje w godzinach swojej pracy kolejnego dnia. Tymczasem, ku jego zaskoczeniu, patolog uśmiechnął się do Dmitris.

– Śródziemnomorska gorąca krew – zawyrokował z pełnym przekonaniem. – Kwestia spartańskich genów. Bez zbędnej okraszy ateńską powściągliwością.

Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął z niej latarkę. Włączył ją, ale Deryło nie dostrzegł żadnej zmiany.

– Chodzi o światło ultrafioletowe? – dopytała Dmitris. – Nadpalona tkanka uzyskuje w nim odmiennie właściwości i wówczas...

– Za dużo słów. Proszę!

Patolog ponownie nacisnął przycisk latarki i ta rozbłysła innym światłem. Deryło oraz Dmitris momentalnie z zaciekawieniem pochylili się nad zwłokami.

– Macie swoje show – oznajmił Gawiński. – Napatrzcie się do woli.

19

– Co to jest, u licha?

Pytanie wyszeptane przez Deryłę natychmiast spowodowało, że Gawiński wymownie uniósł dłonie. Wydał wąskie wargi i cofnął się od szafy chłodniczej. Jego oczka jeszcze się zmniejszyły.

– Nic nie chcę wiedzieć ani nic słyszeć. Pamiętasz, jakie są zasady.

– Może tak, może nie. – Deryło parsknął, po czym zwrócił się do Dmitris: – Zaniemówiłaś? Czy może to wszystko nadal pasuje do twojego profilu?

Sofia z lekko rozwartymi ustami wpatrywała się w zwłoki podświetlone przez latarkę opartą przez Gawińskiego o rant szuflady. W ultrafioletowym świetle widać było na nich rozmaite wzory.

Niektóre podobne do palm, inne do rąk, jeszcze inne przypominające hieroglify egipskie lub jakieś inne pismo obrazkowe. Były ich dziesiątki. Pokrywały niemal całe ciało, włącznie z twarzą ofiary. Niektóre miały wielkość dłoni, inne nieznacznie przekraczały średnicę pięcioletówki. Na zwęglonej, łuszczącej się skórze wyglądały przerażająco.

– Tatuaze? – zagadnął Deryło. – Może dzięki nim zidentyfikujemy ofiarę?

– Nie. To musiała być specjalna farba, a nie zwykły tusz.

– Nie mam pojęcia, jakiego tuszu używa się do tatuazu, choć znam parę tatuujących osób. Mam nawet wśród nich dobre kontakty.

– Mój syn ma wiele tatuazu – bąknęła Dmitris. – Co nieco kiedyś o tym czytałam, wnikałam w tradycję, znaczenia oraz kulturę...

– W takim razie może masz też jakiś pomysł?

Deryło nagle poczuł nieprzyjemne ukłucie w piersi. Uświadomił sobie, że tak naprawdę nic nie wie o swojej partnerce, o ile w ogóle mógł ją tak nazwać. Pojawiła się w jego życiu przed niespełną dobą, a w przyszłości od jej sprawności mógł zależeć jego los. Miała syna. To już pozwalało przejść etap dalej, poza standardowy *small talk*. Ale czy naprawdę chciał cokolwiek o niej wiedzieć?

– To rozmaite symbole... – odezwała się zamyślona. – Mogą pochodzić z wielu kultur oraz religii.

– No, popatrz. Nie wpadłbym na to.

– Pytałeś mnie o zdanie, więc ci odpowiadam. Czy w Lublinie normalne jest reagowanie na wszystko ironią?

Dmitris zerknęła na Gawińskiego, który jedynie wzruszył ramionami. Przysłuchiwał się ich wymianie zdań niemal z progu pomieszczenia. Marszczył czoło i mrużył oczy, ale starał się sprawiać wrażenie całkowicie niezainteresowanego.

– Dłonie, palmy, ręce, jakieś lwy albo gryfy... – wymienił Deryło. – Wszystko jakby orbitowało wokół jednej osi.

– Mianowicie?

Komisarz się zadumał. Skubnął wargę i schował dłonie do kieszeni.

– Sam nie wiem. Ale nie ma w tym nieporządku ani chaosu, nie dostrzegam przypadkowości...

– Trudno o przypadek, jeśli ktoś pali żywcem drugą osobę. – Dmitris odchrząknęła i ponownie odwróciła się do patologa. – Moje podejrzenie co do przyczyny zgonu, zdaje się, było prawidłowe?

– Tak – zgodził się Gawiński. – Miała pani stuprocentową rację.

– W takim razie zamordowana została pokryta malowidłami, które...

– Nie „zamordowana” – uprzejmie wtrącił się patolog. – Chyba nie zdążyłem powiedzieć, że ofiara była mężczyzną. Około pięćdziesięcioletnim, z lekką nadwagą, której nie widać ze względu na fakt, że tłuszcz w znacznej mierze się wytopił. Zapewne na miejscu odnalezienia zwłok nieźle cuchnęło, co?

– Mężczyzna? – zdziwił się Deryło.

– Czy powiedziałem coś niewyraźnie?

– Ten opis przypomina mi charakterystykę przeciętnego sprawcy mordów, a nie ofiary...

Deryło obrócił między palcami srebrny sester. Czuł, że w najbliższym czasie będzie potrzebował wiele szczęścia.

20

Do zakładu medycyny Dmitris oraz Deryło przyjechali zabytkowym Citroënem, lecz policjantka wyraźnie nie była przekonana do koncepcji wracania nim do komendy. Wymigiwała się, tłumaczyła, że może wezwać taksówkę, a nawet wrócić na piechotę, zbierając po drodze myśli. Wreszcie jednak uległa naleganiom komisarza i dokładnie w południe pokonywali ulice Lublina rzęzącym pojazdem. Gdy furgonetka walczyła ze stromością ulicy Północnej, Deryło nagle zabębnił palcami w kierownicę.

– Zajdziemy na obiad? – zaproponował. – Z Tamarą często wymienialiśmy pomysły w pobliskiej budce z wybornymi fast foodami. Wiesz, zapiekanki, frytki, hot dogi...

– Wszystko, od czego ponoć umierają szare komórki? – Dmitris się uśmiechnęła. – I od czego dostaje się raka, wylewów i alzheimera?

– Tak, właśnie tak. Umierające komórki zapewne eksplodują, wydzielając przez moment niezwykłą energię. Tylko w ten sposób mogę wytłumaczyć fakt, że wpadliśmy tam na kilka niezłych pomysłów.

– A jednak dziękuję. Jednak ty, jeśli jesteś głodny, nie krępuj się. Zaczekam przed.

– Brzydzisz się?

– Rzadko kiedy jadam w miejscach publicznych. W ogóle w trakcie gorszych śledztw mało jadam.

– Gorszych? – Deryło westchnął. – No tak, pasuje jak ulał. Ale wyglądasz na taką, co nie odmówi porcji owoców morza, południowego wina lub...

Dmitris spojrzała na niego z ukosa.

– Nie uogólniaj i nie oceniaj po pozorach. Nic o mnie nie wiesz. – Obciągnęła dekolt bluzki, który zrolował się na jej biuście, po czym odwróciła się do okna. – Jesteśmy przy komendzie, prawda?

– Za moment wjedziemy na parking.

– Lepiej idź zjedz. Znowuż ty wyglądasz na takiego, co głodny nie jest w stanie myśleć ani pracować.

Deryło zrozumiał jej przytyk. Był wielkim mężczyzną, ale jego sylwetka znacznie odbiegała od tej sprzed lat. Choć nadal miał ogromną krzepę, jego brzuch nieco się zaokrąglił. Od dawna zamierzał nad tym popracować, lecz nigdy nie znajdował dość czasu ani motywacji. Jednak nagle poczuł, że powinien coś udowodnić. Sobie, światu, a najbardziej tej dziwnej, zadziornej kobietce. „Kobietka” – gdyby wypowiedział to słowo na głos, zapewne dostałby prosto w szczękę.

– Też niewiele jadam – bąknął, po czym wziął mocny zakręt i wtoczył się autem na parking komendy. – Głodówka również dobrze robi szarym komórkom. To wszystko kwestia inteligencji, a nie kalorii. Choć lobby przemysłu spożywczego stara się nam wmówić co innego.

Popukał się palcem w czoło, a Dmitris szczerze się roześmiała. Otworzyła drzwi i wyszła z citroëna. Po chwili ramię w ramię ruszyli w stronę ponurego, przestarzałego budynku komendy.

– Byłaś już kiedyś w Lublinie? – zagadnął Deryło. – Podoba ci się tu?

– To bardzo ładne miasto, z bardzo ohydnyymi zaułkami – odparła natychmiast.

– Jak większość w tym kraju. Niewiele jednak dorównuje Lublinowi historią i dawną multikulturowością.

– Tak, widziałam kościół ewangelicki oraz...

Dmitris nagle zamilkła. Stała jak wryta i założyła włosy za uszy.

– Co jest? – Deryło również się zatrzymał i zerknął na nią spode łba.

– To ja zazwyczaj mam niespodziewane złote pomysły. Albo Haler. Ale ona ma wiedzę większą niż ta zawarta w encyklopediach...

Sofia potrząsnęła głową i niemal biegiem rzuciła się ku wejściu do komendy.

– Coś mi dzwoni, ale na razie kompletnie nie wiem gdzie – wymamrotała, o mały włos nie wpadając na drzwi. – Muszę coś natychmiast sprawdzić w internecie! Szybko...

21

Dmitris jak oparzona pognała korytarzami komendy. Nie zamierzała czekać na windę i wbiegła na szóste piętro po schodach. Deryło, z lekką zadyszka, dzielnie pędził za nią. Po drodze minęli posterunkową Nowak, lecz komisarz jedynie gestem nakazał jej wrócić

do obowiązków. Nie miał jednak już siły odprawić Brzeskiego, który wyrósł jak spod ziemi na ostatniej prostej do gabinetu. Dlatego do pomieszczenia wpadli w trójkę.

– Co się stało? – zagadnął zaskoczony aspirant. – Wyglądacie, jakbyście brali udział w zawodach... Założyliście się, kto pierwszy wbiegnie na górę?

Deryło bezradnie rozłożył ręce. Obserwował Dmitris, która zasiadła przy laptopie i nie odzywając się, zaczęła wpisywać kolejne hasła do wyszukiwarki.

– Jest takim samym komputerkiem jak Haler – stwierdził bez cienia przekąsu. – Jej umysł pracuje w rozmaitych trybach, ale właśnie wkroczyła na ścieżkę wojenną z najnowszym odkryciem. Jeśli można tak to nazwać.

– Co to za odkrycie?

Brzeski przeczesał palcami blond czuprynę i stanął obok Dmitris. Kobieta pochylała się nad laptopem tak nisko, że zasłaniała niemal cały monitor. Błyskawicznie wstukiwiała kolejne hasła oraz otwierała nowe witryny. Nie zwracała żadnej uwagi na swoje towarzystwo. Tymczasem Deryło zdał aspirantowi krótką relację z wizyty w zakładzie medycyny i z rozmowy z doktorem Gawińskim.

– Znaki pokrywające ciało? – zdziwił się Brzeski. – Może to tatuaże?

– Też tak myślałem, ale nasza Greczynka czy raczej Macedonka twierdzi inaczej.

– Że?

– Ponoć musiano namalować je specjalnym atramentem, skoro ukazały się na spalonej tkance pod wpływem światła ultrafioletowego.

Aspirant zagryzł usta i analizując słowa przełożonego, zamrugał. Jego chłopięcą, łagodną twarz przybrała wyraz głębokiej zadumy. Nagle szeroko otworzył oczy.

– Czy przypadkiem pod tym światłem nie ogląda się egipskich mumii? Przecież one też były pokrywane malowidłami czy...

– Nie malowidłami. – Dmitris weszła mu w słowo, nie odrywając wzroku od ekranu. – Poza tym Egipcjanie nie zdobyli ciał, lecz

bandaże lub całuny. A to zasadnicza różnica.

Brzeski teatralnie odetchnął.

– Już myślałem, że będziemy mieli do czynienia ze zmartwychwstałym faraonem, tak jak w tym filmie...

– Niestety, wbrew oczekiwaniom za wszystkimi zbrodniami zawsze stoi człowiek – bąknął Deryło. – Jest kreaturą zdolną do wszystkiego. „Nic, co ludzkie, nie jest mi obce”, fuj.

– I nic, co obce, nie jest nam ludzkie.

Dmitris przez chwilę przysłuchiwała się tej pustej wymianie zdań, wreszcie przewróciła oczami i znacząco uniosła dłoń.

– Panowie...

Deryło i Brzeski natychmiast zamilkli i na nią spojrzeli.

– Te wszystkie symbole... – Dmitris cicho odchrząknęła, robiąc tym samym emocjonującą pauzę. – Te palmy, dłonie, gryfy i cała reszta to symbole sztuki nagrobnej haredim.

– Haredim? – zdziwił się Brzeski. – To jakiś odłam Hare Kriszny?

Deryło założył ręce na piersi i pokręcił głową. Wymienił z Dmitris poważne, chmurne spojrzenia.

– Nie – odezwał się po chwili. – To ultraortodoksyjni żydzi. Dawniej oskarżano ich o makabryczne mordy rytualne.

22

– Chcesz powiedzieć, że za zbrodnią stoją ultraortodoksyjni żydzi?

Inspektor Knap wypuścił z elektronicznego papierosa kłęb dymu o zapachu brzoskwiń. Rozparł się w fotelu i ostentacyjnie założył nogi na biurko. Odchylił głowę i cicho się zaśmiał. W tej pozycji mało brakowało, aby się udławił. Ponownie spojrzął na komisarza i skinął głową.

– Przecież to by było tak cholernie politycznie niepoprawne, że...

Deryło wszedł mu w zdanie.

– Nie powiedziałem, że morderstwa dokonali ultraortodoksyjni żydzi, chasydzi ani haredim. Powiedziałem, że zwłoki naznaczono symbolami funeralnymi związanymi z ich kulturą.

– Jak dla mnie wychodzi na to samo. – Knap opuścił nogi i ponownie oparł się łokciami o blat biurka. – Chyba że ktoś chce ożywić dawne antagonizmy. Ale przecież już nikt się na to nie nabierze. Znasz jakiegoś żyda?

– Owszem.

Knap parsknął.

– „Owszem”. Ależ ty lubisz te swoje okrągłe słówka. Ilu może być żydów w Lublinie?

– Przypuszczam, że maksymalnie kilkudziesięciu.

– To stosunkowo wąski krąg podejrzanych.

– Nie podejrzewam żadnego z nich.

Deryło przestąpił z nogi na nogę i z irytacją sapnął. Nie cierpiał zdawać raportów, ale dzięki ustnej formie mógł zaoszczędzić sporo czasu, a z pewnością jeszcze więcej drzew. Potem wystarczyło ograniczyć się do krótkiej służbowej notatki ze spotkania, zamiast kleić kilkustronicowe wypociny.

– Tyle że wiele elementów ma związek z judeochrześcijańskim kręgiem kulturowym – ciągnął, wpatrując się w naczelnika. – Nawet jeżeli uznać śmierć w klatce służącej za ruszt jako formę całopalenia.

– Pięknie. – Knap nerwowo odsunął plik kartek i palcami zaczesał do tyłu rzadkie, bardzo krótkie włosy. – Na szczęście prasa snuje na razie jedynie domysły, ale nawet w wyobraźni pismaków nie powstały podobne teorie.

– To robocze założenie, które traktujemy jako punkt wyjścia.

– Wiem, wiem... – Naczelnik odłożył papieros i utkwiał w Deryle spojrzenie zmęczonych, podkrążonych oczu. – Powiedz mi, jak się ma Tamara?

Pytanie wybrzmiało wyjątkowo ponuro. Deryło się skrzywił i ponownie zmienił pozycję, jakby nie potrafił wystać w miejscu.

– Słabo. Nadal się nie wybudziła i właściwie jej organizm przestał walczyć. Mniej więcej w ten sposób opisał mi to lekarz. Stagnacja jest dla niej niemal równoznaczna ze śmiercią.

– Cholera... Przykro mi. Wiem, że byliście bardzo blisko.

– Jesteśmy – poprawił naczelnika komisarz. – Ona nadal żyje.

Knap smutno kiwnął głową.

– A ta Dmitris? Wcisnęli mi ją niemal na siłę. Nie chciałem ci nikogo dokładać.

– Jest w porządku. To dobra policjantka.

– Mówisz tak dlatego, że pozujesz na gentlemana?

– Mówię tak, bo właśnie tak jest – odparł Deryło. – To ona odkryła związek z haredim oraz symboliką judaistyczną. To ona stworzyła wstępny profil oraz...

Knap przerwał mu, wymownie pokazując na ekran stojącego na skraju biurka laptopa.

– Kryminaliści chyba właśnie opracowali zebrany materiał dowodowy – zauważył, sięgnąwszy po myszkę. – W tym momencie bombardują nas mailami. Jak zwykle większość przesyłanych do ciebie przekazują do mojej wiadomości.

– Ciężar niesiony na barkach dwóch osób wydaje się lżejszy, prawda?

– sentencjonalnie zagadnął Deryło.

Nie poczekawszy na odpowiedź, włożył dłonie do kieszeni i skierował się do wyjścia. Czekало go zapewne wiele pracy. Był bardzo ciekaw, co też odkryli technicy.

– Bardzo ci suszył głowę? – Dmitris zerknęła na Deryło sponad sterty papierów. – Kiedy rozmawiałam z nim po raz pierwszy, wydawał się

typowym urzędasem. Raporty, raporciaki, to siedzi mu w łepetynie, prawda?

– Z Knapem trzeba nauczyć się żyć – odparował komisarz. – W końcu zaczynasz rozumieć jego styl bycia i stajecie się niemal przyjaciółmi. W zasadzie pozwala robić, co się żywnie podoba.

– Byle nie zapominać o jego dostojnym, wielkim tyłku?

Deryło się uśmiechnął. Przyciągnął fotel i usiadł obok Dmitris.

– Włącz naszą skrzynkę pocztową. Chyba przesłano na nią sporo gruzu.

– Z laboratorium?

– Być może. Choć na nich byłoby to działanie stanowczo zbyt szybkie. Kiedy do nich dzwonię, zawsze słyszę, że odczynniki albo inne preparaty potrzebują jeszcze mnóstwa czasu. A to na wyekstrahowanie, a to na wybarwienie, a to na jakieś inne cholerstwo.

Dmitris otworzyła najnowszy mail. Został wysłany przez jednego z kryminalistyków pracujących poza laboratorium. Zawierał blisko dwieście załączników.

– To jeden z nadgorliwców – oznajmił komisarz. – Choć dzięki niemu często mamy zaoszczędzone sporo roboty.

– Ma zacięcie fotograficzne. Mógłby robić sesje na weselach.

Dmitris otwierała kolejne zdjęcia. Przedstawiały rozmaite detale miejsca zbrodni. Fragmenty pomieszczenia, ścian, odsłanianego napisu, nawet podłogi. Część z nich wykonano przed przybyciem do budynku Deryły, a część po tym, gdy nakazał zmywanie farby. Wezwano go jako jednego z pierwszych. Kolejne serie różniły się oświetleniem oraz kątem padania cieni, zapewne ze względu na to, że komisarz przestawił reflektor.

Kilkanaście kolejnych fotografii koncentrowało się na tabliczkach dowodowych ustawionych w rozmaitych miejscach pomieszczenia. Zapewne tam, gdzie natrafiono na jakiegokolwiek ślady biologiczne. Odciski butów, włosy, kawałki błota lub rozmaitej tkanki. Czasem najmniejsza drobina wystarczała za główny dowód w bardzo skomplikowanych procesach.

Na niektórych zdjęciach światło padało pod takim kątem, że tabliczki dowodowe wyszły nieostre, wówczas technik nakreślił strzałki wskazujące konkretne miejsca. Naniesione na fotografii cyfry zapewne znajdowały odniesienie w załącznikach tekstowych maila.

– Hmm... – Dmitris pochyliła się, analizując zdjęcie przedstawiające ogólny widok zwłok.

– Coś zobaczyłaś?

– Po prostu patrzę na umarlaka z perspektywy symboli, których nie zobaczyliśmy na miejscu. Wzięliśmy tę pozycję ułożenia ciała za wynik przypiekania jak na rożnie, ale teraz zastanawiam się, czy nie ma w niej niczego rytualnego.

– Gawiński to wykluczył. Ułożenie rąk oraz podkulenie nóg stanowiło rezultat napięcia mięśniowego.

– Tak, wiem...

Dmitris z rezygnacją przełączyła na kolejną fotografię. Przedstawiała klatkę po usunięciu z niej zwłok. Na jej dnie widoczne były jednak strzępy skóry, krople wypalonego tłuszczu oraz fragmenty mięsa. Zupełnie jak na tacy, od której oderwano pieczonego kurczaka.

Nagle Deryło zagryzł usta i wyciągnął dłoń ku myszce.

– Zaczekaj – poprosił, nie dotknąwszy ręki Dmitris. – Przewiń do tyłu. Jeszcze, jeszcze... Do tych zdjęć sprzed portretowej sesji truposza.

Coś zwróciło jego uwagę i starał się zrozumieć, co to takiego. Nagle wskazał na ekran.

– Tu, czekaj! Zatrzymaj się.

– Miau, miau... Proszę, masz to, koteczko.

Sonia postawiła na podłodze ceramiczną miseczkę z wyciśniętą zawartością saszetki o smaku krewetek z gruszkami. Była zdumiona jak niezwykle połączenia składników serwowano w jedzeniu dla kotów. Porzeczki z wątróbką, mięso kangurze, gęsina z groszkiem. Sama nie jadła tak wykwintnie.

Jak zwykle dawała się prowadzić rozmaitym impulsom. Po przyniesieniu znalezionego zwierzęcia do domu już następnego ranka zakupiła kuwetę, miski oraz mały drapak. Do tego dobrała całą siatkę rozmaitych zabawek – wędek, kulek, myszek i Bóg jeden wiedział czego jeszcze.

– Nie jesz? No, śmiało, maleńka. Chyba nie chcesz, żeby mamusia pokazywała ci, jak to się pałaszuje?

Właściwie nie miała pojęcia, czy to kot, czy kotka, ale przeczucie kazało się jej do niej zwracać w formie żeńskiej. Ciągłe nie mogła się jednak zdecydować na imię. Lucyna, Miłka, Znajda, nieustannie funkcjonowały na giełdzie nazwisk, ale ich kursy wahały się w zależności od pory dnia. Natomiast w całkowite zapomnienie odeszła Baśka, która jeszcze rano wydawała się najlepszą propozycją.

Kotka, po chwilowej nieufności, zaczęła ochoczo zajadać się zawartością saszetki. Mlaskała i przymykała oczy, jakby nie jadła od wielu tygodni. Zresztą nie był to scenariusz całkowicie nieprawdopodobny. Po wstępnych oględzinach okazało się, że jest wyjątkowo wychudzona, ma obciętą końcówkę lewego ucha, a jej sierść przypominała zmierzwiony, brudny sweter. Jednak na kąpiel czas miał dopiero nadejść. Najpierw należało przyzwyczaić ją do nowego lokum, zapoznać z zakamarkami mieszkania i dać względne poczucie bezpieczeństwa.

– Bezpieczeństwo to podstawa. – Sonia głośno wypowiedziała ostatnią myśl.

Wyszła z kuchni i przeszła do przedpokoju. Zerknęła na swoje odbicie w okrągłym lustrze w czarnej, ciężko rzeźbionej ramie. Nad lustrem wisiała upiorna indiańska maska szczerząca w uśmiechu bezzębne usta.

Kobieta przeszła do łazienki i otworzyła drzwiczki szafki. Sięgnęła po krwistoczerwoną pomadkę, po czym starannie pomalowała usta. Powoli rozczesała włosy, jednocześnie mierząc się spojrzeniem z własnym odbiciem w kolejnym lustrze. Czasem miała ochotę krzyknąć sama do siebie, obrażać się najgorszymi słowami i zmieszać się z błotem tak, jak nie mógł zrobić tego nikt inny. W końcu nikt inny nie znał większości jej grzechów oraz słabości.

– Pieprz się... – wyszeptała z odrazą. – Pieprz się, pieprz...

Energicznie zatrzasnęła szafkę i zacisnęła pięść. Powstrzymała się, by nie uderzyć nią w lustro. Kusiło ją to za każdym razem, gdy widziała swoją twarz i zawsze się powstrzymywała.

A gdyby tam było odbicie kogoś innego? – zapytała się w myślach. Co byś wtedy zrobiła?

Dotknęła palcem krtań, a potem powoli złapała się za nią, jakby zamierzała się udusić. Spuściła głowę i dziko się zaśmiała. Wtedy kątem oka dostrzegła ruch tuż za swoimi plecami. Błyskawicznie się odwróciła.

– Kicia! – Schyliła się, by pogłaskać kotkę po grzbiecie. Zwierzątko ufnie, jakby znały się od dawna, otarło się głową o jej kolano. – Teodora? Chciałabyś się tak nazywać? Podarowana przez Boga. To chyba całkiem dobra propozycja, jak myślisz?

Kotka odpowiedziała cichym miauknięciem.

25

– Na co wskazuje ta strzałka?

Deryło jak urzeczony wpatrywał się w ekran laptopa. Na zatrzymanym przez niego zdjęciu nie było dobrze widać tabliczek dowodowych, dlatego technik naniósł na nie graficzne znaki, którym

przypisał cyfry. Dmitris pośpiesznie otwierała kolejne załączniki tekstowe do maila.

– Tu chyba mamy legendę do tej mapy myśli – oznajmiła nagle. – Czekał, trzeba się w tym połapać.

W kilku tabelkach umieszczono powtarzające się cyfry oraz właściwe im adnotacje. Zapewne chodziło o to, że te same numery wskazywały konkretne ślady na kolejnych zdjęciach. Bez względu na kąt wykonania fotografii, a zapewne również na jego czas, systematyka pozostawała niezmienna. To miało ułatwić pracę śledczych, lecz wymagało zrozumienia metody zastosowanej przez obrabiającego zdjęcia. Tym bardziej że występowało kilka sekwencji liczb – odnoszących się do ich kolejnych serii.

– Sądę, że mamy to! – Dmitris zaznaczyła jedną z tabel. – Gdzie jest siódemka... A, właśnie! Swoją drogą, dlaczego cię zainteresowała?

– Przeczucie – lakonicznie odparł Deryło.

– Przeczucie to klucz.

– He?

Dmitris wskazała na konkretne pole w tabeli. Liczbę siedem przyporządkowano w nim do hasła.

– Tabliczka dowodowa z numerem siedem, na którą wskazuje strzałka, to „klucz do kłódki”. Tak została opisana.

Deryło nerwowo fuknął.

– A to cholerny gnojek – syknął. – Przeszło mi to przez myśl... Dodatkowa tortura dla kogoś zamkniętego w klatce.

– Widzieć klucz do wolności, a zarazem nie móc po niego sięgnąć? – Dmitris poprawiła złotą spinę do włosów w kształcie amfory i przygryzła wargę. – Brzmi jak męki piekielne, prawda?

Deryło nie musiał usiłować sobie wyobrazić, co przeżywała ofiara. Katusze zasewrowane przez sadystę były aż nazbyt plastyczne i same zobrazowały się w jego umyśle. Żar rozgrzewanego metalu, oparzenia stóp oraz dłoni, pęcherze skórne, swąd spalenizny, a do tego klucz rzucony na podłogę niczym miska z wodą postawiona poza zasięgiem

rąk skazanego na śmierć z pragnienia. Te obrazy automatycznie mu się na siebie nasunęły. Nie wymagały komentarza.

– Swoją drogą, à propos piekła... – Nagle drgnął i zamrugał. – W jaki sposób haredim je sobie wyobrażają? Wiem, że żydzi mają do niego rozmaite podejście i...

– Czytałam o tym, gdy byłeś u naczelnika – odparła od razu Dmitris. – Część z nich nie wierzy w życie pozagrobowe jako takie, a jedynie w Sąd Ostateczny, czyli Jom ha Din. Istnieje tradycja, zgodnie z którą w oknie pomieszczenia, gdzie ktoś umarł, stawia się szklankę z wodą przykrytą płótnem. Przy ich pomocy anioł przychodzący po duszę zmarłego oczyszcza ostrze noża, którym przeciął nić życia zmarłego. Wymowne, co?

– Tam nie widziałem żadnej szklanki z wodą.

– Ale zdaje się, że w samym rogu stała miseczka z jakąś szmatką. – Dmitris natychmiast wyszukała kolejne zdjęcie i tryumfalnie wskazała na swoje znalezisko. – Można przypuszczać, do czego służyła. Chyba że masz inny koncept.

Deryło sięgnął po myszkę i przełączył kolejne okienka. Otworzył tabelę, po czym odnalazł właściwą adnotację.

– Naczynie było puste – zauważył. – Nie znaleziono w nim śladów żadnej substancji.

– Może wyparowała? A może została zużyta? – Dmitris wzruszyła ramionami. – W każdym razie wyczytałam też coś ciekawego o kłódce.

– Co takiego?

– Umieszcza się ją przy zwłokach zmarłych, aby pokazać im, że świat ziemski jest już dla nich zamknięty. Klatka mogłaby symbolizować to samo.

– Sposób, aby zamordowany nie powrócił zemścić się na oprawcy?

To pytanie Deryło nadal sobie zadawał, gdy niemal godzinę później wracał do domu. Miał wrażenie, że odpowiedź na nie jest istotniejsza, niż mogłoby się wydawać. Nie mylił się.

Prawda objawia się pod warstwą czystości, a nie brudu.

Przecież to oczywiste!

Nagle Deryle wydało się, że rozumie sens tego zdania. Obdzierając mordowanego z godności, ale zarazem czyniąc z niego symboliczną ofiarę składaną na ołtarzu Boga lub bogów, sprawca pokrył jego ciało znakami. Znaki te mogły stanowić sedno. Wskazówkę do zidentyfikowania nie tylko złożonego w ofierze, ale również tego, który ją składał. Stanowiły ową objawioną prawdę łączącą kolejne aspekty sprawy. Wszystkie elementy pasowały do siebie idealnie. Dzięki dostrzeżeniu znaków widziało się również obie strony przysłowiowego medalu.

Tyle że nadal pozostawał nierozwiązany pierwotny problem. Kura czy jajo... Jajo czy kura...

Deryło otarł palcami zmęczone oczy i potrząsnął głową. Zazwyczaj miał problem z zaśnięciem, lecz tego wieczoru wyjątkowo morzył go sen. Myśli zaczynały się plątać, choć starał się jednocześnie nie zwalczyć całkowicie owego przedsennego stanu. Pojawiały się w nim głównie absurdalne pomysły, ale co enty z nich był nie tylko racjonalny, lecz również nadzwyczaj trafny. Bodaj Salvador Dali stworzył cały cykl obrazów opartych na wizjach z owego przejścia jawy w sen. Siadał na krześle z metalowymi kluczami w dłoni, a pod ręką ustawiał miskę. Kiedy tylko zasypiał, palce się rozluźniały, klucze wypadały i robiły rumor. Wtedy natychmiast zapisywał swoje ostatnie myśli, a na ich podstawie tworzył. Rezultaty tych przedsennych fantasmagorii były wszystkim znane. Niektórzy szaleńcy byli gotowi zapłacić za nie grube miliony dolarów.

Kura czy jajo... To była ostatnia myśl komisarza. Uchwycił się jej i starał powrócić do sedna. Nie otwierając oczu, odtwarzał swój tok myślenia.

Tak. Chodziło o to, że judaistyczne symbole mogły nawiązywać do haredim w kontekście sprawcy lub ofiary. Ale równie dobrze mogły mieć na celu sprofanowanie zwłok według konkretnego klucza. Coś jak swastyki wyżynane nożem na twarzach nazistów w jednym z filmów Tarantino. Albo jak kropienie ciał mahometan wodą święconą.

To wszystko nie przekonywało Deryły. Choć zdawało się, że wystarczy sięgnąć po któreś ze wskazanych rozwiązań, żadne z nich nie było dla niego kompletne. Jakby brakowało w nich szczególnie istotnego elementu.

Po powrocie do domu przez kilka godzin przeglądał internet oraz książki. Wertował wszystkie informacje o rytuałach pogrzebowych haredim oraz innych odłamów judaizmu. Według ortodoksyjnej żydowskiej tradycji ciało zmarłego powinno być poddane rytuałowi oczyszczenia, zwanemu tahara. Jego najważniejszym elementem było rozebranie zmarłego, umycie go i ułożenie zwłok stopami w kierunku drzwi. Bardzo istotne było pozbycie się wszelkiego brudu – dlatego umarłym obcinano paznokcie, przystrzygano włosy, a nawet myto zęby. Następnie ubierano ich najczęściej w odświętny strój lub owijano go bandażami przypominającymi te znane z Egiptu. Co szczególnie ważne, strój nie mógł mieć żadnych supłów lub choćby supełków, dlatego wystrzegano się niektórych tkanin. Supły, według haredim, mogły uwięzić duszę na Ziemi.

Wszystkie te informacje składały się na wyobrażenie o przemyślanym tradycyjnym kulcie. Tymczasem zbrodnia dokonana na ciągle niezidentyfikowanym człowieku nosiła znamiona jedynie rozmyślnego szaleństwa. I to aż nadto rozmyślnego...

Deryło nagle otworzył oczy. Wydało mu się, że usłyszał jakiś dziwny szmer. Odgłos dochodził z przedpokoju lub okolic drzwi wejściowych. Na nagich stopach jednocześnie poczuł ruch chłodnego powietrza. Zerwał się na równe nogi i cicho przemknął ku ścianie. Drzwi wejściowe do jego mieszkania były otwarte. Wyraźnie widział padające do pokoju światło z korytarza. Ktoś znajdował się w środku.

Sofia Dmitris wyszła z komendy niemal dokładnie o północy. Uprzednio kilkakrotnie przejrzała wszystkie zdjęcia przesłane przez techników oraz dokładnie posegregowała ich podpisy. To wyczerpało jej oczy. Wydrukowała opracowaną przez siebie listę zabezpieczonych dowodów, po czym podzieliła je według dwóch kluczy – istotności oraz prawdopodobieństwa, że doprowadzą do uchwycenia sprawcy. Oczywiście prawdopodobieństwo było w tym przypadku kwestią bardzo umowną, ale pozwalało się nieco rozeznac w sytuacji. To wyczerpało jej umysł.

Grudki ziemi, choć zabezpieczono je w wielu miejscach, niemal nigdy nie przenosiły przełomu. Odciski podeszew butów były natomiast zbyt mało wyraźne i raczej nie nadawały się jako mocny argument dla sądu. Odciski palców pochodziły od wielu osób, choć w większości były zatarte i zdeformowane. Zresztą żaden z nich nie został zabezpieczony na klatce lub zwłokach.

Optymizmem nie nastrajały również inne drobne ślady biologiczne, włosy, rzęsy i fragmenty naskórka. Pomieszczenie służyło za tymczasowe schronienie bezdomnym, więc siłą rzeczy to zapewne właśnie do nich doprowadziłyby badania DNA. Jednocześnie skłaniało to do postawienia tezy, że sprawca musiał tak działać, by czasowi lokatorzy na niego nie natrafili. Być może z tego powodu wybrał porę roku, gdy większość bezdomnych obierała inne, wygodniejsze schronienia.

– Jesteśmy na miejscu.

Dmitris drgnęła i spojrzała na mężczyznę, który odwrócił się w jej stronę. Taksówkarz wymienił kwotę należną za przejazd, po czym podsunął jej terminal płatniczy.

Sofia zapłaciła i bez słowa wysiadła z auta. Od razu zerknęła na policyjne taśmy ciągnące się wzdłuż metalowego ogrodzenia. Nie strzegł go już żaden policjant. Zbrodnia szybko przeniosła się przede wszystkim na karty dokumentów oraz gazet. Na szczęście wokół paliło się sporo latarni, więc było stosunkowo jasno. Ich światło zapewne wpadało również do środka niedokończonego budynku.

Jednak Dmitris nie zamierzała wchodzić na teren budowy. Powoli, bacznie się rozglądając, podążyła w górę ulicy. Po obu jej stronach wznosiły się niewielkie domy jednorodzinne lub szeregowce. Część skryta za ogrodzeniami, część niemal przylegająca do ulicy. Po przejściu kilkudziesięciu metrów Sofia skręciła w lewo i dostrzegła pulsujące niebieskie światło. Zaintrygowana ruszyła w jego stronę. Po chwili zdała sobie sprawę, że spogląda na specjalne stacje elektryczne ładujące autobusy miejskie. Znajdowały się w zatoczce przystankowej przy ulicy Zbożowej. Kobieta dwukrotnie odczytała nazwę ulicy i bacznie się rozejrzała. Z ukontentowaniem odnotowała obecność kamer na kilku masztach oraz latarniach. Powoli zawróciła, podążając tą samą drogą, którą szła wcześniej.

Niestety nigdzie nie dostrzegła innej aparatury monitorującej. Nie były w nią wyposażone domy ani posesje. Kwartał jej poszukiwań poza Zbożową zamykała tylko jedna większa ulica, na której nie znalazła żadnych rejestrowanych przejść ani choćby kamer obserwujących natężenie ruchu. Nic, pustka.

Dmitris przyjechała na miejsce tylko po to, by się rozejrzeć. Postanowiła rano zwrócić się o nagrania z zatoczki przystankowej, choć zapewne ze względu na ilość osób wytypowanie sprawcy graniczyłoby z cudem. Ludzie rzadko kiedy myśleli o tym, że jadąc autobusem lub siedząc na przystanku, mogą znajdować się tuż obok kompletnie pochrzanionego mordercy. Ta myśl wydała się jej wyjątkowo ponura. W ogóle ludzie rzadko kiedy analizowali otaczający ich świat oraz inne osoby. Społeczeństwa coraz bardziej uczyły zwracania uwagi na powierzchowność, bez rozbierania jej na czynniki pierwsze. Wpływało to na życie rodzinne, ale również religijne

i socjalizację całych zbiorowości. Dmitris jak zwykle przyłapywała się na zbędnym meandrowaniu ku kwestiom psychologicznym. Analiza społeczeństw do niczego nie mogła się jej przydać. Co najwyżej wystarczała, by pobudzić frustrację i zniechęcenie do ludzi. A tym doskonale zajmowała się antropologia.

Zatrzymała się i sięgnęła po telefon. Chciała wezwać taksówkę, lecz nim to zrobiła, spojrzała na zdjęcie umieszczone na tapecie. Spoglądał z niego około dwunastoletni, roześmiany chłopiec o rdzawych włosach. Dmitris odpowiedziała mu smutnym uśmiechem.

28

Deryło przywarł do ściany. Powoli nabrał powietrza i starał się wsłuchać w odgłosy mieszkania. Wydawało mu się, że słyszy skrzypnięcie podłogi z pokoju córki, ale mogło to być tylko złudzenie. Przełknął ślinę i powoli przesunął się ku drzwiom. Od pewnego czasu nie opuszczał rolet ani nie zaciągał zasłon, więc mieszkanie wypełniała różowawa poświata łuny miejskiej.

– Śmierć...

Wyraźnie usłyszał czyjś głos. Był gardłowy i szorstki, a do tego rozszedł się po mieszkaniu jakby echem. Komisarz nie potrafił oszacować, gdzie znajdował się mówiący. W pierwszej chwili odniósł wrażenie, że znajduje się za ścianą tuż obok, ale ułamek sekundy później głos wybrzmiał jakby zza jego pleców.

Odwrócił się i wbił wzrok w ciemny kąt pokoju. Nie. Tam nikt nie mógł się ukryć. Przecież przez cały czas miał go pod kontrolą. Nikt nie przemknąłby niezauważony tuż przed jego nosem. Chyba że przysnął...

Nie. To pomieszczenie na pewno było bezpieczne.

Uspokajając nerwy, wziął długi oddech i zrobił kolejny krok ku korytarzowi. Żałował, że służbowy pistolet, jak zwykle po przyjsciu do mieszkania, schował w szafie pancерnej. Robił to odruchowo, wiedziony przyzwyczajeniem jeszcze z czasów, gdy Wiktorja była maleńkim dzieckiem.

– Idę po ciebie.

Teraz słowa zostały wypowiedziane wyraźniej i bliżej niż poprzednio. Nie niosło ich echo. Dobiegały z korytarza albo z okolic wejścia do drugiego pokoju. Nie towarzyszył im jednak żaden odgłos. Żaden szmer kroków ani ubrania.

Co za szalenie odważył się włamać do mieszkania policjanta w bloku, gdzie na wezwanie pomocy otworzyłyby się kilkanaście drzwi. Albo przynajmniej kilkanaście par oczu przywarłyby do wizjerów.

Marna pociecha. Jakikolwiek krzyk lub niespodziewana reakcja mogły jedynie pogorszyć sytuację. Włamywacz stałby się znacznie bardziej nieprzewidywalny niż obecnie.

„Tylko co przewidywalnego jest w tej cholernej sytuacji?” – przemknęło Deryle przez głowę. Napiął mięśnie i zacisnął pięści. Liczyło się zaskoczenie. Mało kto, włamując się, spodziewał się bezpośredniej konfrontacji. I nawet jeżeli wypowiedane słowa miały go wypłoszyć z gabinetu, raczej nikt nie miał go za kompletnego ryzykanta.

Tymczasem co mu pozostało? Strach i pustka? Obawa każdego dnia i przed każdym ruchem? Własne myśli wydały mu się dziwnie rozbiegane, ale nie starał się na tym skupić. Wolał się ich teraz pozbyć. Najlepiej byłoby niczego nie rozważać i niczego się nie bać. Działać całkowicie automatycznie.

„Tak jak organizm w obliczu śmierci?” – zapytał sam siebie.

To pytanie przelało jakąś czarę goryczy lub sprawiło, że pękła niewidoczna nić obaw. Zacisnął zęby i błyskawicznie wyskoczył na korytarz. Przeciął dłonią ciemność, jakby trącał niewidoczny cień. Do środka wpadało światło z korytarza, ale oświetlało jedynie wąski pas

podłogi. Ale to właśnie w nim komisarz dostrzegł czyjąś stopę. Nagą, dużą i powyginaną, jakby toczył ją najgorszy artretyzm.

– Dlaczego? – zapytał charkotliwy głos.

Deryło rzucił się w stronę zarysu widmowej postaci i o coś się potknął. Jak długi runął w mroczną otchłań. Drgnął. Machnął rękoma, czemu towarzyszył upiorny syk.

Komisarz uderzył dłonią o oparcie fotela i zamrugał.

Był już świt, a on znajdował się w swoim gabinecie. To wszystko było tylko nędznym koszmarem, z którego pozostało jedno wyraźne wspomnienie.

– Dlaczego? – wyszeptał Deryło.

Przeciągnął się i podekscytowany szybko wstał z fotela. Coś przyszło mu do głowy. Koszmary bywały nadzwyczaj inspirujące, a on nie mógł pozwolić umknąć tej myśli. Poza tym wiedział, że tej nocy już nie zaśnie.

KOLEJNY DZIEŃ

29

Deryło, pędząc do Citroëna, uświadomił sobie, że nie ma numeru telefonu do Dmitris. Chciał się z nią jak najszybciej podzielić pewnym odkryciem, choć bazowało ono na pośpiesznie skleconej teorii.

Po raz kolejny analizował wszelkie dowody. Rozmieszczenie śladów, charakter obrażeń, sposób zawieszenia kłódki oraz miejsce odnalezienia klucza. To wszystko układało się w dość ciekawy obraz, odpowiadający wyklarowanej nagle koncepcji. Wydawało się, że ta nie ma żadnych luk, poza jedną – racjonalnością działania sprawcy. Właśnie dlatego komisarz pragnął porozmawiać z Dmitris.

Policjantka wydała mu się nadzwyczaj chłodno myśląca i zdolna ocenić sprawę pod kątem psychologicznym. Sam zawsze miał z tym problem. Brakowało mu albo empatii, albo cierpliwości, by pojąć sedno motywacji zbrodniarzy. Niejednokrotnie deptał im po piętach, lecz aby wykonać ostatni skok – ów sus potrzebny do aresztowania, musiał uchwycić istotę *modus operandi*. Pod tym łacińskim pojęciem kryło się nic więcej niż motywacja wiodąca do całokształtu działań. Całokształt działań prowadził natomiast bezpośrednio do identyfikacji. Zresztą Dmitris wspominała właśnie o czymś podobnym.

Citroën odpalił bez problemu i po chwili Deryło wyjechał na główną ulicę. Poranny ruch był jeszcze niewielki, prawdziwe korki miały się zacząć dopiero za około pół godziny. Komisarz miał przecucie, że Sofia jest już w komendzie. Stanowiła przykład kobiety, która w trakcie śledztw nie odpuszcza ani innym, ani przede wszystkim sobie. Cenił to – w końcu Haler również taka była.

– Jest – wypowiedział na głos i uderzył dłonią w kierownicę. – Jest, jest, jest...

Stanowiło to jednak głównie zaklinanie rzeczywistości. Jego życzeniowe myślenie, które nie mogło nic zmienić. Wszystko pozostawało w rękach losu oraz lekarzy. Właśnie w tej kolejności.

Deryło po raz kolejny w ciągu ostatnich sekund zerknął w lusterko. Kilkadziesiąt metrów za nim jechało czerwone suzuki jimny. Trzymał się go, niemal odkąd wyjechał z osiedlowego parkingu. Komisarz zwolnił, ale jego kierowca zrobił to samo. Komisarz nie mógł dostrzec jego twarzy. W przedniej szybie auta odbijały się promienie wstającego słońca, poza tym samochód pozostawał zbyt daleko w tyle.

Deryło wcisnął pedał hamulca, gwałtownie zwalniając do dwudziestu kilometrów na godzinę. Ktoś jadący sąsiednim pasem kilkakrotnie zatrąbił, lecz kierowca suzuki nie dał się nabrać. Zwolnił i błyskawicznie odbił na lewy pas, ustawiając się do skrętu. Aleja Solidarności, mimo braku korków, i tak była zbyt ruchliwa, by Deryło mógł próbować niebezpiecznych manewrów. Poza tym wszystko mogło być jedynie złudzeniem. Może po nocnym koszmarze przesadzał z czujnością?

Może...

Jeszcze raz zerknął w lusterko, ale suzuki już zniknęło za zakrętem. Deryło zmienił pas i dodał gazu. Jego umysł szybko ponownie zatrząsnęła kwestia motywu sprawy. Wciąż o nim myślał, gdy kilka minut później wbiegał po schodach komendy. Musiał najpierw zadzwonić do kryminalistyków, a potem porozmawiać z Dmitris.

Już. Jak najszybciej. Natychmiast.

Dmitris zgodnie z oczekiwaniami Deryły już była w gabinecie. Pochylała się nad plikiem kartek oraz zerkała w jakieś nagranie wyświetlone na ekranie laptopa. Jej mina zdradzała wszystko –

w sprawie nie poczyniono żadnych postępów. Była wyraźnie zła, rozczarowana i zarazem zdumiona. Choć dokonując autoanalizy, zapewne określiłaby swoje emocje znacznie lepiej, a przede wszystkim jaśniej. Deryło jedynie lakonicznie skinął do niej głową. Odnotował, że tego dnia użyła spinki do włosów w kształcie kolumny korynckiej. Musiała mieć ich sporą kolekcję.

– W Zarządzie Transportu Miejskiego pracują od samego rana – obwieściła, choć o nic nie pytał. – Dostałam nagranie z kamer z zatoczki autobusowej przy Zbożowej. To około stu pięćdziesięciu metrów od miejsca zbrodni...

– Zbrodni – powtórzył po niej komisarz i parsknął.

– Coś nie tak?

– A czy cokolwiek jest „tak”?

Deryło bezradnie wzruszył ramionami i zmusił się do uśmiechu. Sięgnął po słuchawkę przestarzałego telefonu stacjonarnego. Wybrał jeden z przypisanych numerów, po czym ciężko opadł na fotel. Był pogrążony w swoich myślach, a temat zarzucony przez Dmitris najwidoczniej puścił mimo uszu.

– Halo?

Ucieszył się, słysząc głos znajomej technik. Przedstawił się, a kobieta od razu nader wylewnym cmoknięciem podzieliła jego radość.

– Jak się pan ma, komisarzu? Jeśli chce pan cokolwiek przyśpieszyć, muszę pana rozczarować, bo nadal nie mamy żadnych nowych wyników. To kwestia aparatury oraz...

– Wiem, wiem. Czasu potrzebnego na wszystko.

– Jakby mi pan to wyrwał z ust.

– Nie znoszę tej metafory. – Deryło westchnął. – Niektórzy traktują ją zbyt poważnie albo nawet całkowicie dosłownie.

– Zwyrrodnialcy – mruknęła kobieta.

– Zwyrrodnialcy – przyznał komisarz. – Ale to tylko zabawy nomenklaturą. Potwory, wampiry, rzeźnicy.

– Upiory, demony, diabły...

– Kaci, rozpruwacze, oprawcy...

– Dość. Nie mam więcej pomysłów, a pan zapewne chciał się czegoś dowiedzieć?

Deryło odchrząknął. Zerknął na Dmitris, która ponownie zajęła się oglądaniem nagrania wideo. Marzył o kawie, lecz nie śmiał jej o nią poprosić. Niestety zbyt krótki kabel zabytkowego telefonu nie pozwalał na przejście do ekspresu ze słuchawką przy uchu.

– Chcę się dowiedzieć, w jaki sposób podpalono węgiel pod klatką – wypalił jednym tchem. Pytanie natychmiast zwróciło uwagę Sofii, która odwróciła się od laptopa. – Ktoś to w ogóle sprawdzał?

– Tak, chyba tak... Chwileczkę.

Komisarz usłyszał szmer, odgłos kroków, a następnie stłumione fragmenty rozmowy. Technik wróciła po kilkunastu sekundach.

– Użyto zwykłej rozpałki. Mimo że w większości uległa spaleni lub wyparowała, jej ślady znaleźliśmy na podłodze – oznajmiła rzeczowo. – Poza tym, aby węgiel rozpałił się równomiernie, tu i ówdzie postawiono specjalne kostki używane w kominkach do podtrzymywania płomienia. Wyobraża pan sobie, jak ten człowiek musiał cierpieć? Mój Boże.

– Jak zwykle powtórzę, że Bóg z tym nie ma nic wspólnego – bąknął Deryło, zadowolony, że na to wpadł, oglądając miejsce zbrodni. – Winny jest wyłącznie człowiek. Dziękuję za pomoc...

Rozłączył się bez pożegnania i odłożył słuchawkę. Przez chwilę nieruchomo wpatrywał się w aparat telefoniczny. Drgnął, gdy na blacie przed nim stanęła filiżanka podwójnego espresso. Zamrugął, jakby wyrwany ze snu. Powoli się odwrócił i jego spojrzenie spotkało się z ponurym wzrokiem Dmitris.

– Paskudne wnioski? – zagadnęła kobieta.

– Paskudne – zgodził się, sięgając po kawę. – Mówiłem ci, że uwielbiam słowa, jakie dobierasz?

– Nie. Ale w zamian za to wolałabym, abyś przeszedł do meritum.

Deryło wypił zawartość filiżanki jednym haustem. Meritum wydawało się kompletnie pochrzanione.

Dmitris strzepnęła niewidoczny pyłek z rękawa koronkowej bluzki i ponownie przeniosła wzrok na komisarza. Ten włożył dłonie do kieszeni, a przez jego twarz przemknął krzywy grymas. Nie odzywając się, stał nieruchomo, jakby splatał ostatnie nici skomplikowanej koncepcji w jedną całość. Wreszcie kiwnął głową i sięgnął po kartkę papieru. Złożył ją kilkukrotnie, ale nim uzyskała kształt żurawia, zmiął ją i cisnął do kosza.

– Wyobraź sobie to wszystko z perspektywy ofiary – odezwał się głosem pozbawionym jakichkolwiek emocji. – Zamknięcie w klatce, podpalenie węgla polanego rozpałką oraz płomienie ogarniające wkłady podtrzymujące żar.

– Horrendum – stwierdziła Dmitris.

Deryło pokręcił głową.

– Nie chodzi mi o cierpienie ofiary ani inne wrażenia. Przeanalizuj ruchy. To, gdzie znaleziono klucz, sposób zamknięcia klatki oraz napis.

– Co masz na myśli?

– Na przykład to, że mógł zostać sporządzony i zamalowany jeszcze przed podpaleniem paleniska. W pomieszczeniu przecież nie było czuć farby.

– Zapewne jej zapach zostałby stłumiony przez swąd dymu.

– Tak, to również jest możliwe, ale...

Komisarz zawiesił głos. Odchrząknął, spuścił wzrok i ciągnął, nie spoglądając na policjantkę.

– W nocy przyszło mi do głowy pewne pytanie. „Dlaczego?” To właściwy punkt wyjścia do zrozumienia *modus operandi*.

– Odpowiedzią mogą być te wszystkie znaki i symbole żydowskie.

– A jeśli to tylko pozory?

Dmitris przygryzła wargę i skinieniem głowy dała mu znać, by mówił dalej. Zaczynała być coraz bardziej zaintrygowana. Jej oczy błysnęły, a kąciki ust nagle się uniosły, po czym zamarły, jakby z trudem powstrzymała uśmiech.

– Czy widok klucza naprawdę byłby taką torturą? – retorycznie zapytał Deryło. – W sytuacji, gdy nie możemy sięgnąć po miszkę z jedzeniem, chodzi również o jego aromat oraz metaforę nieosiągalności wykonania podstawowej czynności życiowej. A klucz?

– Mógłby stanowić ogromną pokusę. Ale nic więcej.

– Właśnie. I to kazało mi postawić po raz pierwszy pytanie „dlaczego?”. Potem pomyślałem o tych podtrzymywaczach żaru, a kiedy okazało się, że faktycznie ich użyto... – Komisarz rozparł się w fotelu i spojrzał prosto w oczy Dmitris. – Słuchaj uważnie. Zastanów się, co, jeśli ten człowiek zrobił to wszystko sam? Jeśli to było popieprzone samobójstwo?

Deryło zrobił wymowną pauzę, lecz nim komisarz zdołała cokolwiek powiedzieć, kontynuował.

– Facet maluje graffiti, zamalowuje je, a potem układa węgiel i podtrzymywacze żaru. Zamyka się w klatce i na wypadek, gdyby się rozmyślił, wyrzuca klucz. Wtedy podpala węgiel, a do ognia ciska opakowanie zapalek. Znaki na ciele wykonał oczywiście znacznie wcześniej, bo mogły mieć dla niego jakieś znaczenie...

Dmitris skubnęła wargę i oparła się o biurko. Spojrzała w sufit.

– Nadal pozostaje pytanie „dlaczego”...

Jej słowa zawisły w powietrzu w chwili, gdy rozległo się pukanie. Do gabinetu wparował Brzeski. Zerknął na ponure twarze Deryły oraz Dmitris i się uśmiechnął.

– Co tu taka grobowa atmosfera? – zagadnął rezolutnie. – W górę serca! Właśnie zidentyfikowano ofiarę.

Komisarz westchnął.

– Albo sprawcę...

– Chyba nie rozumiem, panie komisarzu?

– Nieważne. – Dmitris odpowiedziała za Deryłę. – Mów, co masz do powiedzenia. Przekaż nam te dobre wieści albo zamilknij na zawsze.
Niczym rodowita Atenka Dmitris najwyraźniej lubiła teatr.

32

Brzeski przestąpił z nogi na nogę i wyciągnął z kieszeni niewielki notes. Deryło wyjątkowo go cenił właśnie za ten drobny rys staroświeckości – w końcu we współczesnym świecie wystarczyło sporządzać odręczne notatki, by uchodzić za dinozaura. Jednak był to chyba jedyny anachronizm w sposobie bycia aspiranta. Słuchał metalowej muzyki, nosił zegarek o milionie funkcji, a jego telefon komórkowy miał wielkość laptopa.

– Zakład medycyny zadziałał nadzwyczaj sprawnie i skontaktował się z placówkami medycznymi – oznajmił formalnie. – Wymieniono dane, a w konsekwencji tej wymiany ustalono fakty, które...

– Do rzeczy, błagam – jęknął komisarz.

Brzeski odchrząknął. Schował notatnik, jakby w nim miał zanotowaną jedynie tę wstępną przemowę, po czym zerknął na zegarek, który automatycznie się podświetlił.

– Ofiara to Witold Bartok, pięćdziesięciodwuletni taksówkarz – obwieścił zadowolony. – Nie miał rodziny, dlatego nikt nie zgłosił zaginięcia. W robocie wziął wolne, więc jego obecność również nie wzbudziła żadnych podejrzeń. Co prawda nie rozmawiałem z szefem, ale jakiś kierowca, który go znał, stwierdził, że Bartok raczej stronił od kontaktów z ludźmi.

– Jeden z tych taksówkarzy, którzy podają jedynie cenę za kurs, a na tym ich gadka się kończy... – Deryło obrócił między palcami sesterce. – Tych, których cenę najbardziej.

– Zapytałem również o to. – Brzeski puścił oko do Dmitris, która jak zwykle cierpliwie przyglądała się rozwojowi sytuacji. – Ponoć, o dziwo, bywał całkiem gadatliwy. Klienci go lubili. Zbierał pozytywne opinie, więc wszyscy byli zadowoleni.

– Żadnych niezadowolonych klientów? – parsknął komisarz. – Nikt, komu za kurs z dworca do centrum policzył dwie stówki?

– Wszystko zgodnie z taryfą. Nic na lewo.

– A opinia szefa? – zapytała Dmitris. – Powiedziałeś, że z nim nie rozmawiałeś, ale...

– Umówiłem was na spotkanie dokładnie o dziesiątej trzydzieści – przerwał jej aspirant. – Wiedziałem, że będziemy potrzebować jakiegoś punktu zaczepienia. A tylko szef może nam przekazać telefoniczną bazę danych ewentualnych kursów...

Deryło przeczesał palcami włosy i założył ręce za plecy. Zwiesił głowę, jakby ciężar wiadomości kompletnie go przytłoczył. Przypominał nazbyt obciążonego woła, który nie ma siły zrobić choćby kroku.

– Dziennie taksówkarze wykonują po kilkadziesiąt kursów – skwitował ponuro. – Trzeba będzie przesłuchać ponad setkę osób. Kilkaset stron papieru, kilka ściętych drzew, wiele straconych godzin...

– Straconych? – zdziwiła się Dmitris.

– Nie wiem. Mam wrażenie, że kręcimy się w kółko, nie chwytając sedna sprawy. Oczywiście, mogę się mylić, ale...

Nagle Deryło się wyprostował, uniósł głowę i zdecydowanie ruszył w stronę drzwi. Chwycił klamkę, po czym otworzył je tak gwałtownie, że omal nie wyrwał ich z futryny. Wstąpiły w niego nowe siły.

– Przynajmniej coś mamy – rzucił, wychodząc na korytarz. – Dawajcie adres firmy, jedziemy porozmawiać z szefem. Koniec z przecuciami, trzeba się zająć prawdziwą robotą.

Dmitris i Brzeski wymienili zaskoczone spojrzenia, lecz po chwili czym prędzej podążyli za komisarzem.

Siedziba firmy taksówkarskiej mieściła się w budynku przypominającym halę fabryczną. Jej wnętrze podzielone było na kilkanaście boksów upodobnionych do brytyjskich budek telefonicznych. Nie odpowiadało to najnowszemu standardowi wspólnej pracy – znanemu choćby z rynku najlepszych wydawnictw albo banków – jednak sprawiało, że na głównych korytarzach panowała całkowita cisza. Widać było telefonistki prowadzące rozmowy oraz wydające dyspozycje na laptopach z dotykowymi ekranami. Na środku hali wisiał ogromny zegar w kształcie sześcianu, z czterema cyferblatami. To pod nim mieścił się spory, przeszklony gabinet z roletami w oknach. W jego stronę na podstawie wskazówek udzielonych przez ochroniarza kierowali się Deryło oraz Dmitris.

– Zupełnie jak w amerykańskiej korporacji sprzed pół wieku – zauważyła policjantka. – Całkowita sprzeczność z wytycznymi współczesnej psychologii pracy.

– Czy widzisz, żeby ktoś się skarżył? – parsknął Deryło. – Ci ludzie rozmawiają z klientami sieci taksówkarskiej, a nie siedzą na infoliniach dla samobójców.

– Chodzi o higienę psychiczną pracy.

– Nie odstaje od tej praktykowanej w komendzie, a ich boksy przynajmniej są na tyle małe, że nie da się do nich dokoptować nikogo do pary.

Dmitris uniosła brwi, gotowa udzielić komisarzowi riposty, lecz w tej chwili Deryło zapukał do drzwi głównego gabinetu. Nie czekając na zaproszenie, pchnął je i dał jej znać, by weszła pierwsza.

– Śmiało, to nie siedziba terrorystów – szepnął.

Dmitris dziarsko wkroczyła do przestronnego pomieszczenia, w którym było ustawionych kilka sporych roślin, a na środku stało

nowoczesne biurko kryte blatem z jednego plastra drzewa. Siedział przy nim około sześćdziesięcioletni szpakowaty mężczyzna w białej koszuli oraz czerwonych maklerskich szelkach. Miał zaczesane do tyłu włosy, orli nos i ciemne bystre oczy.

– Punktualni jak moje taksówki – oznajmił z porcelanowym uśmiechem. – Siadajcie. Napijcie się kawy, wody?

Policjanci odmówili i zajęli miejsca na dwóch fotelach z giętej stali. Właściciel firmy, który przedstawił się jako Adam Warski, rozsiadł się naprzeciw nich. Przybrał poważny, zasmucony wyraz twarzy i głośno sapnął.

– Wiem, co się stało z Witoldem – oznajmił. – Nie mam jednak pojęcia, jak mógłbym wam pomóc.

– Będziemy potrzebować listy jego ostatnich klientów – natychmiast oznajmił Deryło. – Kto płacił za kurs, kto jechał taksówką i tak dalej...

Warski sięgnął do szuflady i wyciągnął z niej dwie zszyte kartki. Położył je na biurku przed komisarzem.

– Już to przygotowałem. To wykaz kursów oraz klientów z ostatnich trzech dni pracy Witolda.

Deryło sięgnął po kartki, a Dmitris przysunęła się bliżej biurka.

– Czy pan Bartok miał jakiegokolwiek sytuacje konfliktowe z klientami? Czy w ogóle wiedziałby pan o nich?

– Raczej z nikim się nie kłócił. To był wyjątkowo spokojny człowiek i dobry pracownik...

– Nie chodzi o kłótnie, czasem wystarczy podpity pasażer.

– O niczym takim nie słyszałem. Tym bardziej że brał kursy głównie w ciągu dnia. Od pewnego czasu miał problemy ze wzrokiem i nie chciał jeździć w nocy.

– Nie było z tym problemu?

Warski delikatnie się uśmiechnął.

– Prowadzę firmę w sposób przyjazny pracownikom – oznajmił. – Nie jestem wyzyskiwaczem, a poza tym wolę nie ryzykować reputacji jakimś wypadkiem.

– Wypadkiem... – powtórzył po nim Deryło. Złożył kartki na pół i oparł się łokciami o blat biurka. – Proszę się teraz bardzo solidnie zastanowić nad odpowiedzią. Zadam panu cholernie ważne pytanie...

– Tak? Może pan na mnie liczyć, inspektorze.

– Komisarzu.

– Dobrze zatem, komisarzu. Proszę śmiało pytać.

Deryło zmarszczył czoło i nachylił się jeszcze niżej ku Warskiemu. Spojrzał mu prosto w oczy. Od odpowiedzi na jedno pytanie mógł zależeć rozwój całego śledztwa.

34

Deryło był wyraźnie niepokieszony. Proste rozwiązanie całej sprawy wydawało się ponownie oddalać. Warski zdecydowanie odrzucił możliwość, by Witold Bartok mógł popełnić samobójstwo. Choć oczywiście często niemożliwym było dostrzeżenie u kogoś skłonności samobójczych, trudno było o nie oskarżyć kogoś, kto właśnie wystąpił z wnioskiem kredytowym oraz miał bogate plany na przyszłość. Chciał wybrać się w samotną podróż do Afryki, marzył o sprzedaży mieszkania w Polsce i przeprowadzce do Włoch, a od pewnego czasu angażował się w działalność lubelskiego schroniska dla zwierząt.

– Nie, to by było całkowicie bez sensu. Ten człowiek nie miał po co się zabijać.

Choć drugie zdanie mogłoby wydać się absurdalne, najlepiej opisywało kogoś, kto był naprawdę odległy od potencjalnego rysu psychologicznego samobójcy.

W przeciwieństwie do komisarza Dmitris wydała się nienaturalnie pobudzona odpowiedziami Warskiego. Istnienie tajemnicy i dalsza możliwość zgłębiania sprawy wyraźnie ją nakręciły.

– Czy samochody używane przez waszych kierowców są własnością firmy, czy korzystają z aut prywatnych? – zapytała, uchwyciwszy nagły pomysł.

– Firmowe – odparł Warski. – To wizytówka mojego biznesu i element planu finansowego...

– Ale były przypisane do konkretnego kierowcy czy każdy z nich korzystał z różnych aut?

– Każdy miał swoje. To zapewnia dłuższą eksploatację, bez narażania na rozmaite sposoby pracy silnika i tak dalej...

Dmitris z zadowoleniem kiwnęła głową.

– W takim razie czy moglibyśmy zobaczyć samochód pana Bartoka?

Nim Warski odpowiedział, wstała z fotela, a Deryło – wyraźnie zadowolony z jej koncepcji również się podniósł.

Szef firmy taksówkarskiej, chcąc nie chcąc, poprowadził ich do wyjścia. Obserwowani przez pracowników podążyli korytarzami między boksami, a wreszcie wyszli na spory parking. Znajdowało się na nim kilkanaście aut obklejonych logo korporacji oraz wyposażonych w niewielkie koguty z napisem „TAXI”.

– To tamta toyota. – Warski odwrócił się w stronę stróżówki i wskazał na auto. Po chwili mrugnęły jego światła. – Ochroniarz ma dostęp elektroniczny do każdego pojazdu – wyjaśnił. – To usprawnia pracę.

Deryło ostrożnie chwycił klamkę i otworzył drzwi. Zerknął do środka, po czym wskazał na zawieszane przy lusterku krzyżyk oraz medalik ze Świętym Krzysztofem.

– Wątek samobójczego haredim możemy sobie odpuścić – zawyrokował markotnie. – Chyba że to bardzo nowoczesny starotestamentowiec.

– O tak... – Warski lekceważąco machnął ręką. – Witold lubił te wszystkie świętojebliwie symbole i wierzył w nie jak dziecko. Miały go strzec przed wypadkami i wszelkimi problemami. Jak widać, okazały się cholernie skuteczne... Chwileczkę, przecież...

Właściciel firmy pstryknął palcami i gniewnie mlasnął. Potrząsnął głową, jakby odganiał jakąś nieprzyjemną myśl.

– Przecież, co? – dopytał cierpko Deryło. – Co chciał pan powiedzieć?

Warski ponownie mlasnął i zmrużył oczy. Zerknął na auto Bartoka.

– Chyba wiem, kto mógł mu coś zrobić... – syknął. – Sukinsyn! Będziecie musieli go dorwać!

35

Warski oparł się o toyotę i zabębnił palcami w blachę. Mocniejszy powiew wiatru, który poniosł po parkingu kilka zeschniętych liści, rozwał mu włosy. Mężczyzna wyciągnął z kieszeni wielki iPhone i nie zważając na zaintrygowane spojrzenia policjantów, coś w nim sprawdził. Wreszcie energicznie kiwnął głową.

– Tak, zgadza się... – bąknął. – Przed nieco ponad tygodniem dostałem skargę na Witolda. Jakiś klient utyskiwał, że mimo jego wyraźnego żądania nie usunął on z kabiny pojazdu symboli religijnych, co godziło w jego uczucia i tak dalej, bla, bla, bla... Znacnie tę idiotyczną nowomowę?

– Wolność, Tomku, w swoim domku – skwitował Deryło. – Czy możemy ustalić dane tego klienta?

– O ile tylko wykonał kurs przez aplikację lub wezwał taksówkę z telefonu komórkowego... Skarga przyszła mailowo, na adres ogólny.

– Raczej nikt nie wzywa dziś taksówki ze stacjonarnych – zauważyła Dmitris.

– O nie, nie! – zaprotestował Warski. – Zdziwilibyście się, jak wiele osób nadal posiada w biurach stare telefony, przez które mamy mnóstwo problemu z powiadomieniami esemes i całym systemem.

Deryło jedynie wymownie się uśmiechnął. Od dawna zamierzano wymienić telefon w jego gabinecie, ale nigdy się na to nie zgodził. Nie

dość, że na wskroś opanował jego obsługę, to uważał korzystanie z aparatów stacjonarnych za bezpieczniejsze. Nawet jeżeli komunikacja pozostawała pod opieką specjalistów, był przekonany, że mniej osób potrafi namierzyć połączenia wykonywane w ten sposób. Bazowało to nie tylko na przesłankach naukowych, ale również na statystyce. Statystycznie bowiem więcej złodziei aut potrafiło sobie poradzić z najnowocześniejszymi zabezpieczeniami silników niż ze zwykłą, staromodną blokadą pedałów. Ot, co.

– I? – zapytał, łypiąc na Warskiego.

– I co, panie komisarzu?

Deryło gniewnie skinął w stronę budynku firmy.

– Czekam, aż pan ustali, w jaki sposób ten klient wezwał taksówkę i jak się nazywał. Mam to wydrukować czy zwrócić się do pana pisemnie? A może za pośrednictwem aplikacji?

Warski zerknął na Dmitris, ale ta jedynie wzruszyła ramionami. Biznesmen bez słowa skierował się w stronę dwuskrzydłowych przeszklonych drzwi. Policjanci podążyli za nim. Gdy znaleźli się w środku, szef firmy podszedł do boksu robiącego jednocześnie za recepcję, szatnię oraz portiernię i wymienił kilka słów ze szczupłą blondynką. Ta natychmiast wstukała kolejne komendy na klawiaturze cienkiej jak papier.

– I? – Deryło stanął obok Warskiego.

– I... I... – Mężczyzna z irytacją pokręcił głową. – Zaciął się pan, komisarzu? Potrzebuję chwili. Działamy szybko, ale nie tak szybko jak policja. Choć, zaraz, wy chyba stoicie w miejscu?

Komisarz momentalnie chwycił go za łokieć i obrócił lekko, niczym worek makulatury. Niewiele brakowało, by pchnął go na ladę, lecz Dmitris położyła dłoń na ramieniu Deryły.

– Wszystkim nam zależy na czasie, ale zdaje się, że ta pani już wszystko sprawdza.

Sofia odciągnęła komisarza od Warskiego i przezornie stanęła między mężczyznami. Blondynka wpisywała kolejne hasła tak szybko,

że klawiatura niemal rozpadła się pod jej palcami. Wreszcie odwróciła ekran w stronę wejścia i również się odsunęła.

– Ten człowiek korzystał z aplikacji. Czy to dobrze? – zagadnęła, nie mając pojęcia, po co ustala wskazane dane. – Sprawdzić coś więcej?

Reakcją na jej słowa było mruknięcie ulgi, które wydobyło się z trzech gardeł.

36

– Nie mogę tego zrobić... Dane ograniczają się do numeru telefonu, konta bankowego oraz nicka. Nic więcej.

Deryło nie czekał na dalsze tłumaczenia kobiety. Czym prędzej sięgnął po telefon i wybrał numer ViSira. Informatyk komendy był komputerowym geniuszem. Potrafił czynić cuda i co najważniejsze, czynił je równie szybko jak Jezus, przemieniając wodę w wino. Gdy tylko komisarz nakreślił mu sytuację, poprosił o logi oraz adres strony korporacji taksówkarskiej.

– Proszę... – Komisarz przekazał telefon blondynce. – Nie wiem, co ten człowiek do mnie mówi, ale proszę wykonywać jego polecenia.

– Kto to?

– ViSir. Może się tak pani do niego zwracać. Albo może go nazywać przydupasem, hakerem czy jakkolwiek inaczej.

Zdeprymowana recepcjonistka sięgnęła po komórkę i obróciła do siebie ekran komputera. Po zamienieniu kilku zdań z informatykiem zaczęła mu coś dyktować.

– Niech pan się na mnie tak nie gapi – fuknął Deryło, mierząc wzrokiem Warskiego. – Jeśli chce pan złożyć skargę albo ubiegać się o odszkodowanie, ta pani poda panu właściwe namiary.

Dmitris po raz kolejny bezradnie wzruszyła ramionami, lecz po chwili pchnęła komisarza na bok. Chwyliła go pod łokieć i szarpnęła.

– Co w ciebie wstąpiło? – syknęła. – Zachowujesz się jak ostatni prostak.

– Jak zwykle wszystko się chrzani, a ten bubek...

Komisarz ponownie zerknął na Warskiego, lecz zaraz nabrał powietrza i zacisnął usta. Pokręcił głową, po czym ukradkiem odwrócił się do okna. Zamrugał. Wciąż powracało mu do głowy wspomnienie twarzy Halera. Tej samej Halera, która teraz nieprzytomna leżała w szpitalnym łóżku. Czy jakiś psychopata mógłby skrzywdzić Dmitris? Nie zależało mu na niej, przynajmniej nie tak jak na Tamarze, ale uświadomił sobie, że coraz mocniej irytuje go plugastwo tego świata. Robił się wylewny albo emocjonalny, a nawet empatyczny. I chyba to drażniło go jeszcze bardziej.

– Przepraszam – rzucił do Warskiego. – Ponosi mnie, co nie powinno mieć miejsca.

Właściciel firmy taksówkarskiej machnął dłonią i błysnął szklistobiałym uśmiechem.

– Ale jeśli pan chce – kontynuował Deryło – naprawdę może pan złożyć skargę. Mam to w dupie.

– Matko Boska! – Dmitris kuksnęła go w ramię. – Chcesz, żebym dobrowolnie zrezygnowała z partnerowania ci? Zaczynam mieć tego powyżej grzywki.

– Po prostu ViSir jest zbyt opieszala. Gdyby już skończył rozmowę, nie musiałbym...

– Panie władzo... – Blondynka wyciągnęła ku niemu komórkę. – Ten Ariel chce z panem rozmawiać.

Deryło przewrócił oczami i wziął telefon.

– No, jak tam Ariel – odezwał się kpiąco. – Mamy coś?

– Jego imię oraz nazwisko – odparł ViSir ze stoickim spokojem. – Proszę notować, panie władza...

Sebastian Lorenc. Sebastian Lorenc...

Deryło raz po raz powtarzał imię i nazwisko wskazane przez ViSira. Niestety, choć mu się kojarzyły, nie mógł ich przyporządkować do konkretnej twarzy lub osoby. Bębnił palcami w kierownicę służbowego bmw, lecz każde skojarzenia wiodło go w ślepy zaułek. Siedząca obok Dmitris nagle z zadowoleniem potrząsnęła trzymanym w dłoni telefonem.

– Mam go – oznajmiła z przekąsem. – To malarz oraz propagator sztuki, nawet całkiem niezłe notowany na zachodzie. Twórca i główny reprezentant nurtu mixartu.

– Mixartu? Chyba nic mi to nie mówi.

– Chodzi o łączenie technik malarskich, a do tego używanie zamiast płótna podłoża z przedmiotów codziennego użytku. Spodni jeansowych, serwetki, muszli klozetowej...

– W porządku, nie brnijmy w to dalej. Znalazłaś o nim więcej konkretów?

Dmitris przełączała kolejne zakładki i błyskawicznie przebiegała wzrokiem ich treść. Rozczarowana co chwilę mlaskała, po czym otwierała następną stronę. Wreszcie schowała telefon do kieszeni.

– Facet strzeże życia prywatnego, ale z pewnością ma specyficzny stosunek do religii. Kilka z jego performance'ów sprowadzało się do zwykłego godzenia w uczucia wierzących.

– Wie, na czym można zarobić. – Deryło wychylił się, by dojrzeć numer domu. Znajdowali się na Węglinie, w plątaninie wąskich uliczek, domów jednorodzinnych, szeregowców oraz plomb najnowszych inwestycji deweloperskich. Typowy wycinek współczesnego Lublina.

– To tu. – Wskazał na niewielki dom po lewej, który znajdował się tuż obok sześciopiętrowego bloku. – Ktoś mocno walczył o swoje i nie dał się wykupić.

– To się nadaje do internetu. Gdybym była dziennikarzem, miałabym temat na kilka miesięcy.

– Chyba wszyscy dali sobie już z tym spokój. To walka z wiatrakami.

– I niech mi ktoś powie, że wy tu, na wschodzie, macie większe poczucie wolności...

Deryło łypnął na Dmitris i wysiadł z auta. Natychmiast skierował się ku metalowej furtce, przy której nie dostrzegł domofonu. Furtka nie miała jednak zamka, więc nie czekając na partnerkę, pchnął ją i wszedł na niewielką działkę. Dom był właściwie otoczony jedynie skrawkiem trawnika, a szpaler tui od strony bloku mierzył co najwyżej dwa i pół metra, osłaniając gospodarzy jedynie przed widokiem z parteru.

– Słyszysz? – Dmitris chwyciła komisarza za ramię i dała mu znak, by przystanął.

– Co takiego?

Deryło niechętnie się zatrzymał i zaczął nasłuchiwać. W oddali mknął pociąg, a od strony głównej ulicy dobiegał cichy szmer przejeżdżających aut. Jednak gdzieś spoza nich nagle dał się słyszeć cichy krzyk. Był rwany i piskliwy, jakby co chwila w jakiś sposób go tłumiono.

– To z tego domu! – Dmitris rzuciła się ku drzwiom. – Szybciej!

Deryło sięgnął do boku i zdał sobie sprawę, że nie wziął ze sobą broni. Cicho zaklął, po czym momentalnie wyprzedził partnerkę.

– Trzymaj się z tyłu! – wrzasnął, uderzając dłonią w drzwi. – Otwierać, policja!

Kobięcy krzyk rozbrzmiewał jeszcze przez krótką chwilę, lecz nim Deryło natarł na drzwi, gwałtownie ucichł.

Drzwi się otworzyły i w progu stanął wysoki, szczupły mężczyzna z długimi włosami. Zaskoczony spojrzał na komisarza, który odepchnął go, po czym wpadł do niewielkiego przedpokoju. Wypełniał go zapach duszących kadzideł.

– Gdzie ona jest? – warknął komisarz. – Co tu się dzieje?

– Gdzie jest kto? O co w tym wszystkim chodzi?

– Słyszeliśmy krzyk... – wyjaśniła Dmitris. – Dobiegał z tego domu!

Mężczyzna zmarszczył czoło i nagle się roześmiał. Rozłożył ręce, pokazując, że nie ma nic do ukrycia, po czym się odwrócił.

– Ej! – Deryło chwycił go za koszulę. – Żadnych nagłych ruchów! Nazywasz się Sebastian Lorenc?

– Tak, ale... To okropna pomyłka. Zaraz wam wszystko wyjaśnię. Mogę przejść do pokoju? Czy strzelicie mi w plecy?

Dmitris kiwnęła głową i dała znać, że w razie czego ubezpiecza komisarza. Ten puścił artystę, ale postąpił o krok przed nim. Nim Lorenc cokolwiek wytłumaczył, uświadomił sobie swój błąd. W przestronnym pomieszczeniu obok korytarza rozstawione były sztalugi, przez które przewieszono czerwoną sukienkę. Ubranie robiło za płótno, ale uwagę Deryły zwrócił stojący obok gramofon. Miał podniesioną igłę, lecz odsłuch najwyraźniej przerwano mniej więcej w połowie płyty. Komisarz westchnął i uruchomił nagranie. Z podłączonych do sprzętu głośników dobiegł kobiecy krzyk. Tym razem jednak dało się słyszeć cichy akompaniament instrumentów oraz jakieś psychodeliczne mruczenie.

– Zza drzwi usłyszeliśmy tylko najgłośniejszy dźwięk... – jęknął. – Chyba zaszła drobna pomyłka. Ale... – uniósł palec, jakby chciał pogrozić Lorencowi – nie jesteśmy tu całkowicie przez przypadek.

Uważnie rozejrzał się po pomieszczeniu, na którego ścianach wisiało kilkanaście mniejszych i większych prac. Niektóre znajdowały się za szybami, inne jedynie w ramach, jeszcze inne zamontowano jako specjalne instalacje. Trójwymiarowe obrazy powstawały na kawałkach gazet, papieru toaletowego, ubraniach, a nawet Deryło dostrzegł zakrwawioną podpaskę z namalowanym w niej dzieckiem. Skrzywił

się z odrazą. Ponownie zwrócił się do Lorenca, po czym słysząc, że Dmitris wygłasza ustawową formułę powitalną, zrobił to samo.

– Zawsze, gdy słyszycie kobiece arie, wpadacie do domów? – Lorenc schylił się i wyłączył gramofon. Odwrócił się do sztalugi, po czym zasłonił sukienkę kawałkiem płótna. – Chyba nie obraziłem po raz kolejny czyjegoś gustu?

– Gustu nie, ale uczucia religijne być może – natychmiast wypalił komisarz. – Choćby przez swoją skargę na pewnego taksówkarza.

– Skargę?

– Pan może malować, co tylko zapragnie, a krzyż w taksówce to zło? – Deryło kontynuował atak. – Aż tak ten człowiek pana zirytował?

– Ale...

– A może bardziej przeszkadzał panu Święty Krzysztof? Pewnie lustrował pana czujnym, zabobonnym spojrzeniem?

– Eryk...

Dmitris po raz pierwszy wypowiedziała imię komisarza, co zadziało otrzeźwiająco. Deryło zamilkł i wbił wzrok w Lorenca. Ten wydawał się całkowicie zmieszany. Rozłożył ręce i zmarszczył czoło. Cofnął się, jakby chciał się skryć za sztalugą.

– Kolega mówi o kursie, jaki odbył pan taksówką przed dziesięcioma dniami – wyjaśniła Dmitris. – Dokładnie sprzed zegarmistrzów w bramie przy Świętoduskiej, na ulicę Spadochroniarzy...

– Co takiego?

Lorenc nagle wytrzeszczył oczy i przecząco pokręcił głową. Nerwowo założył za uszy kosmyki kręconych włosów.

– Mówicie nie do tego faceta, o którego wam chodzi. Popełniacie straszny błąd...

– Na ulicy podszedł do mnie jakiś dziwny mężczyzna. Wydawał się kompletnie zagubiony – tłumaczył pośpiesznie Lorenc. – Zapytał mnie, jak dojść do ulicy Spadochroniarzy, już nie pamiętam, czy wspomniał, gdzie konkretnie. Może chodziło mu o hotel albo przychodnię... W każdym razie ze Świętoduskiej jest tam dość daleko, więc kazałem mu wezwać taksówkę. Nie widziałem żadnej na postoju, a że mam aplikację...

– Ot tak zamówił mu pan taksówkę ze swojej aplikacji? – zdziwił się Deryło. – Gratis od lublinianina?

– Nie. Pokazała się kwota za kurs, a ten człowiek oddał mi kasę w gotówce.

– Czyli to nie pan wysłał skargę na kierowcę? – dopytała Dmitris.

– Czy ja wyglądam na człowieka, który ma czas i chęć pisać jakies cholerne skargi?

Deryło westchnął. Oparł się o jedyne krzesło, które stało w pomieszczeniu.

– Jak wyglądał ten człowiek? Jest pan go w stanie opisać?

Lorenc wzruszył ramionami.

– Ledwie go pamiętam... Zdaje się, że miał bardzo pociągłą, kościstą twarz, ale nie zwróciłem na niego większej uwagi. Nosił czapkę z daszkiem i znaczkiem jakiegoś klubu sportowego.

– Że też się panu trafiło – parsknął komisarz. – Zbieg okoliczności, co?

– Wszystkie zbiegi okoliczności są po coś.

Lorenc bacznie zerknął na komisarza, po czym zwiesił głowę. Odwrócił się i wyciągnął z kieszeni kilka pędzli. Rzucił je teatralnie na podłogę.

– Możecie mnie przeszukać albo rozejrzeć się po domu. Róbcie, co chcecie, ale pozwólcie mi malować.

– Oczywiście. Pan pozwoli, że się rozejrzemy?

Dmitris, nie czekając na zgodę, zajrzała do kuchni, a następnie do kolejnego pokoju. Z wyrazem skupienia na twarzy rejestrowała kolejne szczegóły, ale Deryło nie zwracał na nią uwagi. Spode łba przyglądał

się Lorencowi. Wreszcie, niczym mechanik w warsztacie, otarł dłonie o nogawki spodni.

– Interesuje mnie jeszcze, co robił pan przedwczorajszej nocy.

– W sensie chciecie, abym przedstawił wam alibi? – zadziwił się Lorenc. – Czy jestem o coś podejrzewany?

– Dwa razy tak – odparł komisarz.

– Chyba powinniście mi przynajmniej powiedzieć o co?

– Procedury nie są klarowne, ale tę rozmowę możemy przenieść do komisariatu. W ciepłej, przyjaznej atmosferze konwersacje przebiegają nad wyraz sprawnie i właśnie wtedy wyjawiamy tajemnice oskarżeń, podejrzeń oraz wnioskujemy o tymczasowy areszt.

Lorenc spojrzał prosto w oczy komisarza i się uśmiechnął. Z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Byłem wtedy w domu, pracowałem – oznajmił oschle. – Jak każdego wieczoru i każdej nocy. Ale potwierdzi to pewnie paręset osób, które obserwowały mojego live'a. Często transmituję swoje sesje malarskie. Tak też było wczoraj oraz przedwczoraj.

Deryło się skrzywił.

– Poproszę o namiary na tę transmisję – warknął. – A poza tym...

Lorenc wszedł mu w słowo.

– Coś mi się przypomniało – powiedział nagle. – Tamten człowiek miał bardzo specyficzny zapach. Jakby używał dziwnych perfum, które skojarzyłem z kościołem... Mam wyczulony węch, bo jak zapewne czujecie, lubię kadzidła, ale to z pewnością było coś całkowicie innego.

– Perfumy zazwyczaj nie są kadzidłem – mruknął komisarz.

– Tak, ale perfumy rzadko kiedy mają zapach mięty zmieszanej z drzewem sandałowym. To nietypowa mieszanka, nie sądzi pan? A nie mam wątpliwości, że właśnie takim kombo trącił tamten facet.

Deryło nachylał się nad ViSirem. Gdyby miał jakiegokolwiek pojęcie o informatyce, już dawno zabrałby mu klawiaturę, by samemu cokolwiek robić. Nie cierpiał bezczynności. Tymczasem w tej kwestii mógł się zdać jedynie na innych, a sam zyskiwał rolę zaledwie biernego obserwatora. Stojąca obok niego Dmitris stanowiła natomiast oazę spokoju, cierpliwie przyglądając się operacjom wykonywanym przez ViSira.

Korpulentny informatyk bez wątpienia robił, co mógł. W pocie czoła, niemal z nabożną maestrią, wpisywał kolejne komendy i co rusz cicho wzdychał. Jego niewielki gabinet na uboczu komendy wypełniał zapach potu, rozgrzanego sprzętu elektronicznego oraz kawy. Cała trójka co rusz popijała bowiem ze sporych tekturowych kubków. Zresztą to również było komisarzowi nie w smak. Nie cierpiał pić czegokolwiek z tych cholernych badziewnych tekturek, które nie miały żadnego śladu poczucia estetyki projektanta. Swoją drogą czarna lura z sieciówki śmierdziała mułem. Deryło ogólnie był na nie, w każdej możliwej kwestii.

– Czuję pański oddech na karku. – ViSir poruszył się i nerwowo machnął ręką, jakby chciał odgonić się od komisarza niczym od natrętnej muchy. – Chuchając na mnie, niczego pan nie przyśpieszy.

– Gdybym był dzieckiem, powiedziałbym, że teraz tylko oddycham, a za moment zacznę pluć.

– To naprawdę niczego nie zmieni – odparł informatyk z niezwykłym spokojem. – Poza tym nie jest pan dzieckiem.

– W takim razie zrób coś, zanim dam ci, jak mężczyzna, w gębę.

Dmitris uniosła brwi i z rezygnacją westchnęła. Położyła dłoń na oparciu fotela ViSira, jakby chciała go odgradzić od komisarza. Nagle informatyk założył dłonie za głowę i odwrócił się od komputera. Wyzywająco spojrział na Deryłę.

– Transmisja odbywała się z całą pewnością przez internet i to przez prawie cztery i pół godziny. Ten człowiek malował, tańczył, śpiewał, a jego poczynania komentowało kilkadziesiąt osób z całego świata. –

ViSir wyprostował dłonie przed siebie i strzelił palcami. Wydał pierś dumnie, prezentując umieszczony na bluzie napis: EVERY CHEF = SAME NAZI. Następnie przełączył między oknami w uruchomionym programie. – Druga kwestia dotyczy aplikacji...

Deryło gniewnie zacisnął pięści.

– Jeśli jeszcze raz zawiesz głos, żeby robić teatralne pauzy, teatralnie złamię ci szczękę albo nos.

– Wiem, że jestem pańskim ulubionym informatykiem, komisarzy.

Deryło jęknął, a wtedy ViSir szeroko się uśmiechnął. Momentalnie jednak ponownie spoważniał.

– Wieści nie są dobre – skwitował. – Aplikacja nie śledzi samego kursu, lecz mamy jedynie informację, że został on wykonany. Koniec kropka.

– Czyli nie posiadamy żadnego śladu tego człowieka? Możemy sobie odpuścić Lorenca, a nadal jesteśmy w dupie?

– Tak jakby.

– Tak jakby... – powtórzył Deryło. – Niech to szlag.

Dmitris przewencyjnie przysunęła się jeszcze bliżej informatyka i nagle pstryknęła palcami.

– A mail ze skargą? – zagadnęła enigmatycznie, po czym dodała: – Nie wiem, po co ten zwyrodnialec miałby skarżyć się na krzyżyk i medalik ze Świętym Krzysztofem, ale może działać kompulsywnie. Ewentualnie świadczy to o potencjalnej chorobie psychicznej, co przecież mogłoby wiele wyjaśnić.

– Świetnie – fuknął Deryło. – Ale nie sądzę, żeby się w nim podpisał imieniem i nazwiskiem.

– Ale chyba wszystkie maile zostawiają jakiś ślad?

Na reakcję ViSira nie trzeba było długo czekać. Natychmiast skontaktował się z obsługą informatyczną firmy taksówkarskiej, poprosił o udostępnienie ekranów oraz pewnych danych, po czym jakby po wstrzyknięciu solidnej dawki adrenaliny to klikał, to wpisywał nowe komendy. Nagle na jego spoconą twarz wystąpił jeszcze

większy rumieniec. Oczy zaskrzyły się i kiedy tylko odwrócił się do komisarza, Deryło od razu zrozumiał, że wreszcie na coś trafili.

– Ten mail... – wydukał ViSir. – On został wysłany z...

Informatyk po raz kolejny przełknął ślinę, co przyprawiło komisarza niemal o furję. Tym razem jednak ViSir nie odgrywał żadnej scenki. Był autentycznie do głębi zaskoczony.

41

Sonia zerknęła na swoje odbicie w lustrze. Wyglądała całkiem nieźle, gdyby patrzeć dawnymi kategoriami. Ale teraz? Czy coś się zmieniło? Właśnie nie. Pozostała taka sama, tyle że od jakiegoś czasu czuła odrazę. Do siebie, do tej twarzy, do tego spojrzenia i do tych rysów. Nie potrafiła tego jasno zdefiniować, lecz za wszelką cenę chciała coś zmienić. Zdjęła czarną bluzę z kapturem i spojrzała na swoje małe, ale jędrne piersi. Od lat nie nosiła staników, w których czuła się jak w średniowiecznym gorsecie. Nie mogła w nich oddychać, wszystko ją swędziało i miała wrażenie, że najdelikatniejsze miseczki miażdżą jej biust. Gdzieś wyczytała, że to dość powszechna reakcja psychiczna.

Na szok. Na stres. Na uraz.

Kobieta schyliła się i sięgnęła po rzuconą na podłogę białą sukienkę. Założyła ją przez głowę, po czym ponownie spojrzała w lustro.

– Metamorfoza jak się patrzy – szepnęła sama do siebie. – Cud miód malina.

Rzeczywiście biały materiał zlewał się z jej porcelanową karnacją, a jednocześnie nadawał łagodności ostrym rysom. Do tego wspaniale kontrastował z czarnymi, sięgającymi ramion włosami. Kiedyś wolała nosić jasne ubrania, ale później... Potem... Tak, istniała pewna cezura czasowa, gdy wszystko stało się nieokreślone. Nie chciała jednak do tego wracać.

Przysłoniła twarz dłońmi i spojrzała spomiędzy palców. A może powinna założyć maskę? Coś na wzór tych pięknych masek, które widać na ulicach Wenecji w czasie karnawału? Mogłaby je zmieniać, kiedy tylko zechce, mogłaby nawet zmieniać swoje imię. Jednak dla kogo miałyby to robić?

Z zamyślenia wyrwało ją ciche pobrzękiwanie. Drgnęła i gwałtownie się odwróciła.

– Co jest?

Zrobiła krok w stronę drzwi łazienki i nagle głośno wypuściła powietrze. Teodora bawiła się piłeczką z ukrytym w środku dzwoneczkiem. Pchnęła zabawkę tak, że ta zatrzymała się obok pralki.

– Też bym chciała być tak beztroska... – stwierdziła w zadumie. – Żadnych zmartwień, prawda? Wszystko się sprowadza jedynie do zabawy oraz jedzenia. Nie pamiętasz już pewnie, że kilka dni temu miałaś całkowicie inne życie.

Sięgnęła po piłeczkę i zerknęła na kotkę. Ta bacznie obserwowała ją z progu. Przekrzywiła główkę, jakby starała się zrozumieć te słowa.

– Łap!

Sonia rzuciła piłeczkę, ale ta odbiła się od ściany i przetoczyła w głąb pokoju, za szafę.

– Cholera. – Kobieta skrzywiła się i nerwowo mlasnęła. – Zaczekaj, moja droga, mamusia zaraz ci ją wyciągnie.

Wyszła z łazienki i podeszła do szafy. Kucnęła przy niej, po czym po omacku zaczęła szukać piłeczki. Schyliła się, ale w wąskiej struzce światła padającego z łazienki niczego nie mogła zobaczyć.

– Gdzież ona jest...

Znowu pomyślała o maskach i ogarnęła ją przemożna chęć przymierzania kolejnych strojów. W rzeczywistości lubiła się przeglądać w lustrze, ale robiąc to tak, jakby podglądała obcą osobę. Było w tym coś intrygującego. Wystarczyło odpowiednio się nastroić, a doświadczenie stawało się naprawdę wyjątkowe. Zupełnie jak wyjście z ciała. OOB. Projekcja astralna, o której sporo czytała.

– Głupoty – zganiła się za te pokrętne myśli. – Gdzie jest ta cholerna piłeczka?

Kotka cicho miauknęła za jej plecami, jakby chcąc ją pośpieszyć.

– Czekaj...

Sonia podniosła się i podeszła do drzwi, aby zapalić górne światło. Kiedy znalazła się w progu łazienki, zamarła w bezruchu. Dostrzegła piłeczkę leżącą na środku dłoni, którą wystawił ktoś stojący po drugiej stronie futryny.

– Proszę – odezwał się upiorny głos. – Chyba tego szukasz?

Dłoń gwałtownie się zacisnęła. Prosto na jej gardle.

42

– Telefon, z którego wysłano mail ze skargą, należał do Witolda Bartoka – oznajmił ViSir. – Zdaje się, że jego nazwisko już się w tej sprawie przewijało. Ale co ja tam wiem...

Krzywy uśmiech informatyka wyprowadził Deryłę z równowagi. Komisarz chwycił stojące obok siebie krzesło i pchnął je tak mocno, że to kilkakrotnie przeokożkowało, po czym uderzyło w ścianę.

– Niech to szlag! – wrzasnął. – Jesteśmy w punkcie wyjścia. Ten ktoś robi nas w balona, jak tylko chce...

Dmitris obserwowała Deryłę niczym matka doglądająca rozbrykane dziecko. Wreszcie, gdy komisarz się nieco uspokoił, podeszła do niego i wymownie mlasnęła.

– Dziwne te wasze lubelskie standardy rozładowywania emocji – stwierdziła spokojnie. – Ale zanim wściekniesz się po raz kolejny, pomyśl, że może w tym coś być.

– Być coś w czym? Z zachodu przywiozłaś enigmę? Macie stamtąd niedaleko do Rzeszy.

– Bardzo śmieszne.

Dmitris dopiła kawę i odstawiła kubek na jedno z biurk. Nagle się rozmyśliła, chwyciła tekturowe naczynie ponownie, zmięła je, po czym wyrzuciła do stojącego nieopodal kosza.

– Na wszelki wypadek – mruknęła, łypiąc na Deryłę. – A co do plusów... Może faktycznie Bartok sam to wszystko zorganizował? Może chodziło o jakieś rytualne samobójstwo, które ma mnóstwo symboli, ale również miało nas zaangażować w śledztwo?

– Niby po co?

– Symbole są właśnie po to, aby na pierwszy rzut oka nie do końca je rozumieć, dzięki czemu mogą nabrać podwójnego znaczenia.

– Chyba mamy inną perspektywę ich rozumienia.

Dmitris odruchowo przeciągnęła dłonią po jednej z zakurzonych drukarek, roztarła palcami kurz, a następnie zadumana zerknęła na ViSira. Informatyk był gotów tłumaczyć się z niesterylnego stanu sprzętów, lecz nim otworzył usta, policjantka znacząco uniosła palec.

– Po pierwsze, można sobie wyobrazić całą oś wydarzeń. Skorzystanie z aplikacji Lorenca, wysłanie maila z własnego sprzętu, wreszcie samobójstwo. Wtedy okazuje się, że Bartol mógł naprawdę nie mieć zainstalowanej aplikacji...

– Mimo że pracował w firmie taksówkarskiej? – Deryło nie wyglądał na przekonanego. – To się nie trzyma kupy. Poza tym, skoro wspomniałaś o czymś „po pierwsze”, co jest „po drugie”?

– To, że Bartol mógł chcieć kogoś w to zrobić – odparła Dmitris. – Wtedy skorzystanie z cudzego telefonu nabrałoby sensu.

– Na przykład Lorenca?

– Nie sądzę. Ale kto wie?

– Zabić się, żeby kogoś zrobić – to byłaby koncepcja rodem z Hollywood.

Deryło, powątpiewając, pokręcił głową. Włożył dłoń do kieszeni, ale tym razem nie dotknął sesterca. Nim zdążył to zrobić, coś przyszło mu na myśl. Wyjął dłoń i zabębnił nią w rant szafki.

– Odwróćmy tę sytuację – rzucił. Potraktujmy Bartola jedynie jako ofiarę, z której ktoś zakpił. Może nawet liczył na to, że to właśnie on

będzie prowadził taksówkę po wezwaniu z aplikacji? Czy da się to sprawdzić?

Komisarz zerknął na ViSira, a informatyk natychmiast odwrócił się do laptopa. Wpisał kilka haseł, po czym kiwnął głową.

– Tak. Za moment to ustalę – wymamrotał. – Udzielono mi wszelkich dostępów do systemu tej korporacji, więc powinno się udać...

– I? – swoim zwyczajem niemal natychmiast dopytał komisarz.

ViSir zadziałał błyskawicznie. Już po kilku sekundach odwrócił się i szeroko uśmiechnął. W jego minie nie było teraz ani krztyny przekory. Nie miał ochoty na teatrzyki.

– Trafił pan. Ktoś wskazał Bartola z góry jako kierowcę, którego prosi o wykonanie kursu.

– A widzicie? – Deryło zacisnął usta. Przez chwilę coś kalkulował, aż wreszcie energicznie ruszył w stronę drzwi. – Mam pomysł! Musimy wybrać się na małą wycieczkę. W przestrzeni i czasie... Chodź ze mną, droga grecka Macedonko.

43

Deryło zahamował tak gwałtownie, że pasy bezpieczeństwa się zablokowały. Choć środek chodnika nie stanowił najlepszego parkingu, uznał, że nie będzie pakował się za metalową bramę terenu jesziwy. Po pierwsze, ta była zamknięta, a po drugie, nie chciał później tracić czasu, by opuścić jej teren. Nie miał pojęcia, jakiego powitania się spodziewać. Jakiś czas temu słyszał o rozmaitych problemach z wycieczkami przyjeżdżającymi z Izraela, ale część doniesień traktował jako zwykłe plotki. Osiemdziesiąt lat po wojnie niektóre środowiska nadal nimi żyły.

– Tam!

Dmitris wskazała na boczną furtkę. Weszli przez nią na teren dawnej szkoły żydowskiej i podążyli głównym dziedzińcem. Po kilkudziesięciu metrach Deryło ukradkiem wskazał na maszerującego w ich stronę ochroniarza. Mężczyzna wymachiwał rękoma, jakby chciał ich przepłoszyć bez konieczności wdawania się w jakąkolwiek rozmowę.

– Chcę rozmawiać z wykładowcą z tej szkoły. – Komisarz odezwał się, gdy postawny ochroniarz znalazł się kilka metrów od nich. – Jeśli nie odpowiada wam mój strój, może pan zadzwonić i sprowadzić kogoś na zewnątrz. Mnie to rybka. I nie mam wcale na myśli aluzji do Chrystusa.

Mówiąc to, machnął legitymacją. Ochroniarz chwycił ją, zmrużył oczy i uważnie się jej przyjrzał. Coś mruknął, po czym skinął głową. Miał około pięćdziesięciu lat, ale sylwetką niewiele ustępował komisarzowi.

– A ona? – zapytał cierpko, łypiąc na Dmitris.

– Ona też jest z policji. – Komisarz również pokazała legitymację i się przedstawiła. Uśmiechnęła się sympatycznie. – Czy formalności mamy już za sobą?

Ochroniarz pozostał niezmiennie poważny. Odwrócił się i skinął dłonią, by policjanci poszli za nim.

– Jest przerwa... – odezwał się, nie precyzując, o jaką przerwę chodzi. – W tym momencie niemal nikogo tu nie ma. O kogo dokładnie pytaliście?

– Kogokolwiek obeznanego z kulturą żydowską – odparł Deryło. – A najlepiej haredim.

– Haredim?

Ochroniarz najwyraźniej nigdy nie słyszał tego pojęcia. Sięgnął do krótkofalówki i rzucił kilka słów w stronę mikrofonu. Odpowiedziało mu trzeszczenie, a potem zdeformowany komunikat. Tylko on potrafił z niego cokolwiek zrozumieć.

– Idźcie na pierwsze piętro – powiedział, wskazawszy na wielkie dwuskrzydłowe drzwi. – Meir Aron już na was czeka.

Policjanci wymienili ukradkowe spojrzenia, po czym ruszyli we wskazanym kierunku.

– Sezamie, otwórz się. – Komisarz nie potrafił powstrzymać się przed rzuceniem tych słów. – Obnaż nam swoje skarby.

44

Deryło i Dmitris weszli do niewielkiego holu, w którym pachniało starym drewnem oraz kurzem. Skierowali się ku klatce schodowej, okolonej zdobioną metalową barierką. Na schodach wyłożony był gruby czerwony materiał tłumiący kroki.

– Jak w teatrze – zauważyła Dmitris.

– Bo każda religia to przede wszystkim teatr – odparł Deryło. – Scena oraz aktorzy...

Nie rozwijając tej myśli, przyśpieszył kroku. Kątem oka łypał na rozwieszane tu i ówdzie portrety rabinów oraz znanych żydów. Musiał przyznać, że wewnątrz robiło wrażenie i mimo że nie było barokowo bogate, skłaniało do zadumy. Oczywiście w budynkach takich jak ten, które na całe dekady straciły swoją funkcję, by odzyskać ją całkiem niedawno, wspominało się również tę najbardziej tragiczną historię zeszłego stulecia. Dlatego, mimo ogólnego rozdrażnienia, komisarz nieco się uspokoił i bezwiednie przybrał mniej agresywną postawę. Gdy znaleźli się na piętrze, zwolnił kroku i spokojnie założył ręce za plecy.

Przecięli klatkę schodową, a następnie znaleźli się w przestronnym pomieszczeniu wspartym kolumnami. Ze stropu zwieszał się ogromny żyrandol pełen niezapalonych świec. Po prawej znajdowało się coś w stylu drewnianego ołtarza, a tu i ówdzie rozstawiono krzesła. Gdzieś z boku, zupełnie bezgłośnie, wyszedł młody, krępy mężczyzna,

z gęstą brodą oraz wesołymi ciemnymi oczami. Na głowie miał bogato haftowaną kipeę, lecz ubrany był w nieco przyduży garnitur.

– Nie tak wyobrażałem sobie rabina – szepnął Deryło.

Ku jego zdziwieniu akustyka pomieszczenia sprawiła, że słowa poniosły się echem.

– Nie jestem rabinem, ale jestem wykładowcą – odparł mężczyzna serdecznie. – Meir Aron.

– Myślałem, że to jedno i to samo – odparł nieco zmieszany Deryło.

– Być może, o ile nie wyklada się historii literatury.

Cała trójka przedstawiła się sobie, po czym żyd uważnie przyjrzał się gościom. Czekał, aż ci odezwą się pierwsi.

– Chciałbym porozmawiać o pewnych zwyczajach pogrzebowych haredim – zaczął Deryło. – Interesuje mnie związana z nimi symbolika oraz rytuały.

Meir Aron zmarszczył czoło i zagryzł usta.

– Nie jestem w tym biegły...

– Nie sądzę, by ktoś w tym mieście mógł być bardziej biegły od pana.

– Są pewne tematy, o których lepiej nie rozmawiać i które...

Deryło, słysząc te słowa, był bliski wybuchnięcia. Na szczęście Dmitris natychmiast to zauważyła i nim padły jakiegokolwiek ostrzejsze zdania, wyciągnęła telefon. Pośpiesznie odblokowała ekran, po czym pokazała jedno ze zdjęć. Przedstawiało ono fragment zwęglonego ciała pokrytego znakami. Meir Aron przez chwilę bacznie się mu przyglądał, nagle kiwnął głową i westchnął.

– Chodźcie do mojego gabinetu – poprosił. – Tam będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Tu wszystkie ściany mają uszy.

Poruszyła się i dopiero wtedy przypomniała sobie ostatnie wspomnienia. Łazienka, przeglądanie się w lustrze, zabawa z kotem... Czyjaś dłoń.

Zwykły koszmar. Powinna się wreszcie rozbudzić i zwlec z łóżka. Często śniły się jej rozmaite bzdury, ale tamten sen był przerażająco realny. Wstrząsnął nią nieprzyjemny dreszcz, jakby położono na niej zimne, mokre prześcieradło.

Chciała poprawić kołdrę, ale wtedy uświadomiła sobie, że nie leży w swoim łóżku. Znajdowała się na twardym podłożu wyłożonym jedynie jakimś cienkim materiałem, prześcieradłem lub kocem. Mrugając, nie mogła niczego zobaczyć, gdyż wokół panowała całkowita ciemność. W jej pokoju nawet w bezksiężycową noc widać było przesuwające się cienie. Światła aut mknących obwodnicą podświetlały większość pomieszczeń i odbijały się w lustrach. Tymczasem teraz była całkowicie unurzana w mroku, jakby wrzucono ją zawiniętą w gruby worek wprost do wiadra ze smołą. Na samo dno piekła.

Nagle wróciła do niej świadomość. Usiłowała się zerwać na nogi, ale kostki u jej stóp były spętane sznurem. Wierzgnęła niczym dzikie zwierzę.

– Kurwa! – wrzasnęła.

Jednak nawet ten szalony wrzask wybrzmiał przede wszystkim w jej umyśle, gdyż w usta miała wciśnięty kawałek materiału, który stłumił jej głos. Spróbowała nabrać sił i krzyknąć raz jeszcze. Bez powodzenia.

Usiłując po prostu piszczeć, zdarła sobie gardło, po czym zaczęła zanosić się płaczem. Knebel wrzynał się w kąciaki jej ust i blokował język. Dusiła się. Nie mogła złapać powietrza, a odruch kaszlu raz po raz zaciskał jej gardło. Niewiele brakowało, by zwymiotowała i zadławiła się własną treścią żołądkową. Charczała niczym zażynane prosię.

Przełknęła ślinę wraz z ohydny posmakiem żółci. Zrobiło się jej jeszcze bardziej niedobrze.

„Proszę, proszę... Opanuj się!” – nakazywała sobie w myślach. Nie miała wątpliwości, że jeśli zwróci, zachłyśnie się i udławi. Serce waliło jej jak oszalałe, a z oczu popłynęły łzy. Odchrząknęła, ale strach walił ją pięścią w brzuch. Jej zaciśnięty żołądek wywrócił się do góry nogami, ponownie przynosząc posmak wymiocin.

Wstrzymała oddech. Tylko spokój mógł ją uratować... Ale jak, do cholery, mogła być teraz spokojna? Ktoś ją porwał, skrępował i wrzucił do jakiejś piwnicy.

Poruszyła nogami i zmieniła pozycję. Wyczuła chłód betonu, ale przy kolejnym ruchu jedynie zdarła o niego skórę z kolana. Poczowała okropne pieczenie i falę ciepła rozchodzącą się po nodze. Nie zwracała na nie uwagi. Poruszyła się po raz kolejny, przesuwając o kilkanaście centymetrów po chropawym, zimnym podłożu.

Syknęła albo tylko się jej tak wydawało. Głęboko nabrała powietrze i zebrała w sobie wszystkie siły. Poczowała, że sznur wrzyna się jej w nadgarstki. Musiała zostać skrępowana jednym kawałkiem, gdyż usiłując go poluzować, sprawiała, że jeszcze mocniej zaciskał się na kostkach jej stóp. Pętle zmniejszyły się, oplatając szczelnie tętnice i żyły. Miała wrażenie, że krew – nie mając przepływu – dosłownie rozsadza jej stopy.

„No dalej!”

Poruszyła się, po raz kolejny zdzierając skórę z nogi. Tym razem poczuła, że przywiera do jakiegoś przedmiotu. Nie była to ściana, lecz coś metalowego. Wyraźnie czuła chłód metalu na policzku oraz ramieniu.

„Co to jest, do diabła?”

Wtedy usłyszała szmer szybkich kroków. Nim zdążyła się przesunąć, szcęknęła metalowa zasuwa i jęknęły drzwi. Ostre światło latarki wzięło się w jej mózg. Nie była w stanie dostrzec stojącej kilka metrów od niej postaci.

Zrozumiała jednak, o co się opiera. I ta świadomość okazała się jeszcze bardziej przerażająca niż najgorsze koszmary.

Gabinet Meir Arona był urządony nadzwyczaj skromnie. Składało się na niego drewniane biurko, kilka krzeseł oraz biblioteczka z wieloma nadzwyczaj opasłymi tomiszczami. Poza tym nie było w nim żadnych mebli, ozdób ani symboli religijnych.

– Cele ascetycznych mnichów bywają bogatsze – zauważył Deryło.

Dmitris zganiła go wzrokiem, ale Meir Aron nie wziął tego za zniewagę. Usiadł przy biurku i wskazał, by goście zrobili to samo.

– Prostota pozwala skupić się na własnych myślach – stwierdził. – W takim razie przejdźmy do rzeczy... Czego chcielibyście się dowiedzieć?

Deryło usiadł i rozpiął guzik marynarki. Oparł się o drewniane oparcie tak mocno, że to zaskrzypiało.

– Czy te symbole ze zdjęcia coś panu mówią?

– Już wiecie, że to znaki religijnej tradycji. – Uczony położył dłonie na blacie i wyprostował palce. – Palmy oznaczają życie, dłonie to los ludzki, a gryfy i lwy symbolizują dostojność przejścia ze świata żywych do świata umarłych... Można opowiadać o tym wiele, a i tak znajdą się różne płaszczyzny interpretacyjne.

– To tradycja ogóln żydowska? – dopytała Dmitris.

– Co ma pani na myśli?

– Malowanie takich symboli na ciałach. Nieważne, czy za życia, czy po śmierci.

Meir Aron pokręcił głową.

– Nie. Pewne odłamy pokrywają nimi całuny, ale nigdy same zwłoki. To byłoby profanacją. Żyd nigdy nie zrobiłby tego żydowi.

Dmitris nagle pochyliła się w jego stronę i również położyła dłoń na blacie biurka. Coś przyszło jej do głowy.

– A wrogowi? – zapytała, patrząc uczonemu prosto w oczy. – Czy byłoby to równe zbezczeszczeniu zwłok?

Deryło wyraźnie zainteresował się tym pytaniem i również przesunął się bliżej biurka. Meir Aron, jakby przytłoczony ich spojrzeniami, wyprostował się, a następnie z godnością położył dłonie na udach. Uśmiech momentalnie zniknął z jego twarzy.

– Tak, byłoby to zbezczeszczenie – przyznał niechętnie. – A jeśli to was interesuje, zbezczeszczenie jest grzechem.

– Zawsze? – drążyła Dmitris.

– O ile nie zachodzą specjalne okoliczności... Jednak nie jestem w stanie wam o tym nic więcej powiedzieć. Nie mówi się o popełnionych grzechach i bezczeszczonych zmarłych pod świętym dachem.

Żyd uniósł palec, wskazując na strop, po czym nagle wstał. Podeszedł do drzwi i gwałtownie je otworzył.

– Proszę, wyjdźcie – rzucił cierpko. – Nie mogę wam pomóc. To nie są tematy miłe dla kogoś takiego jak ja.

– Miłe? – parsknął Deryło. – Kto mówił, że będzie miło?

Dmitris wstała i klepnęła komisarza w ramię.

– Chyba i tak sporo się właśnie dowiedzieliśmy? – szepnęła znacząco. – A swoją drogą – zwróciła się do Meir Arona – czy mówi coś panu mieszanina zapachu mięty oraz drzewa sandałowego?

Uczony zmrużył oczy i sięgnął ku brodzie. Przeczesał ją palcami, po czym jeszcze szerzej otworzył drzwi.

– Drzewo sandałowe jest zapachem śmierci – stwierdził. – A mięta? Ma wiele znaczeń, ale najczęściej wskazuje się na jej właściwości oczyszczające.

Deryło powoli podniósł się z krzesła i uśmiechnął się ponuro.

– Śmierć... Grzech... – wyszeptał prosto w twarz uczonego. – Bezczeszczone zwłoki. Ohyda pod świętym dachem.

– Co w niego wstąpiło? – dziwiła się Dmitris. – Jakby zmienił mu się program. Humor gorszy niż u nastolatka. Prawie twój poziom.

Deryło uniósł dłoń, jakby chciał pokazać jej środkowy palec. Zamiast tego potrząsnął kluczykami do samochodu i przeciął parking. Zerknął na ochroniarza, który przyglądał się im spod linii niskich drzew. Zrobił krok w ich stronę, ale wówczas zerknął w stronę budynku jesziwy. Zatrzymał się i włożył dłonie do kieszeni.

– Oni tak mają. – Deryło nie zwrócił na mężczyznę większej uwagi. – Nie chcą rozmawiać o śmierci, choć niektórzy zachowują się, jakby umarli za życia. Wiesz, dlaczego ortodoksyjni żydzi tak szybko chodzą?

– Bo uważają, że mają zbyt mało czasu?

– Bo nie chcą dotykać plugawej ziemi. Tak bardzo śpieszy się im na drugą stronę.

Dmitris niemal biegła, aby nadążyć za komisarzem. Gdy znaleźli się za bramą prowadzącą na teren szkoły talmudycznej, oboje zwolnili.

– Wiesz więcej o żydach, niż mogłoby się zdawać – stwierdziła, nie kryjąc zaciekawienia.

– A ty o humorach nastolatków – odparł Deryło. – Wszyscy mamy swoje światy, a wzajemnie o sobie niemal nic nie wiemy.

– Ale...

– Niech na razie tak zostanie. Po co obładowywać się ciężarem ewentualnej sympatii? Im mniej o tobie wiem, tym mniej cię lubię. Proste jak równanie pitagorejskie, prawda?

Dmitris cicho się zaśmiała. Potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

– Mogłoby być całkowicie przeciwnie – skwitowała. – Czasem w miarę poznawania ludzi cenimy ich coraz mniej.

– I za tę prawdę objawioną masz u mnie kolejny plus.

Deryło otworzył drzwi citroëna, po czym energicznie wsiadł do środka.

– No, dalej! – pośpieszył partnerkę. – Może powinniśmy wreszcie zebrać do kupy wszystkie informacje. Trochę tego jest.

Sofia zajęła miejsce na fotelu pasażera i przezornie starannie zapięła pas. Oparła się łokciem o podszybie drzwi, a gdy komisarz uruchomił silnik, całe auto zadrżało.

– Bezczeszczenie zwłok – odezwała się, przekrzykując wściekły warkot zmieniający się w regularny klekot. – To powinno stanowić nasz punkt wyjścia. Rzeczywiście, możemy wykreślić podejrzenie padające na żydów.

– I wszelkich dewotów religijnych orbitujących w świecie judeochrześcijańskim – dodał Deryło. – Trup to dla nas temat tabu. Nawet inkwizytorzy nie profanowali ciał, ale po prostu je palili.

– To również była forma ofiary...

– Raczej pokuty, choć zależy, z której strony na to patrzeć.

Dmitris założyła włosy za uszy i poprawiła się w fotelu. Citroën nabierał prędkości, trzeszcząc jak wóz drabiniasty.

– Swoją drogą, w akcie auto-da-fé^[2] również istniała symbolika śmierci – zauważyła. – Skazanym zakładano specjalne koszule oraz... Co ty robisz?! Zwolnij!

Dopiero teraz Sofia dostrzegła, że Deryło pobladł. Z całych sił lewą dłonią ścisnął kierownicę, jednocześnie prawą manewrował lewarkiem skrzyni biegów. Citroën pędził z górki, znacznie przekraczając przepisową prędkość. Kilkadziesiąt metrów przed nimi znajdowało się ruchliwe rondo. Kilku kierowców dostrzegło, że coś się dzieje i zaczęło przeraźliwie trąbić.

– Trzymaj się – nakazał Deryło. – Pochyl głowę i zasłoń ją dłońmi. Niech to szlag! Nie mamy hamulców, a jeżeli użyję ręcznego...

Komisarz nie dokończył. Zacisnął usta i napiął mięśnie, szykując się na katastrofę. Rondo było już niespełna trzydzieści metrów przed nimi.

Metalową poobtlukiwaną balię wypełniała woda. Kadź była głębsza i nieco bardziej obszerna od przeciętnej wanny. Rdza sprawiała, że woda nabrała różowego zabarwienia, jakby rozcieńczyła się w niej krew.

Demon działał szybko i sprawnie. Najpierw chwycił Sonię za ramię, obracając ją do dołu brzuchem. Nim spostrzegła, co się dzieje, wbił coś ostrego pod jej kolano. Natychmiast odruchowo wyprostowała nogi. Wtedy złapał za jej prawą stopę i delikatnie ją uniósł. Rozległ się cichy szmer. Kobieta nie miała pojęcia, co powoduje ten odgłos. Starła się odwrócić, lecz wtedy ponownie została ugodzona szpikulcem. Tym razem pod drugie kolano.

– Leż – syknął oprawca. – Nic na to nie poradzisz.

Szmer się powtórzył i wtem coś lepkiego dotknęło do jej stóp, a potem goleni. Sonia chciała się wyszarpnąć, lecz nie miała dość siły, poza tym więzy krępowały ją zbyt mocno. Jednak kątem oka dostrzegła, co się dzieje. Pisnęła.

Usiłowała krzyknąć, ale knebel stłumił jej głos. Wrzask jakby echem odbił się od jej trzewi.

Demon owijał jej nogi folią spożywczą. Mocną i całkowicie nieprzepuszczającą powietrza. Robił to bardzo szybko i zdecydowanie. To właśnie dźwięk rozwijanej rolki przypominał jej szmer. Teraz wydawał się jej upiornym szeptem, jakby folia mamrotała modlitwę za zmarłych.

– Przestań... Wypuść mnie!

Słowa również uwięzły jej w gardle. Demon nie przerwał swojej pracy ani na chwilę. Owijał ją szczelnie, kilkoma warstwami tak, że gdy doszedł do bioder, folia się skończyła. Puścił ją i podniósł coś z ziemi.

– Boże...

Miał przygotowaną kolejną rolkę. Bez zbędnego pośpiechu nachylił się nad Sonią i brutalnie przeciągnął ją ku wannie.

– Nie wybieraj się nigdzie... – zganił ją przerażającym szeptem. – Stąd nie można uciec.

Napreżył linę i podłożył folię pod brzuch kobiety. Owijał ją starannie, cicho coś mamrocząc. Po minucie lub dwóch ponad foliowy rulon wystawała już jedynie głowa kobiety. Potrząsała nią, usiłując z wszystkich sił wypluć knebel. Charczała i pluła. Z jej ust ciekły strużki smarków zmieszanych z krwią. Krew wyciekała również z kącika jej ust. Szamocząc się i walcząc nadgryzła sobie język oraz wewnętrzną stronę policzka. Słodki posmak zmieszany ze strachem sprawił, że znów zebrało się jej na wymioty. Tym razem nie mogła ich powstrzymać.

Zwróciła żółcią oraz gęstą śliną. Część wymiocin została zahamowana przez knebel. Ujrzawszy to, oprawca cicho zaklął. Obrócił ją na plecy i palcem pomógł opróżnić jej usta.

– Nie wywiniesz się tak łatwo – wymamrotał. – Nie takie jest twoje przeznaczenie...

Gdy Sonia chciwie nabrała oddech i szeroko otworzyła oczy, nachylił się nad nią. Przyłożył folię do jej twarzy. Delikatnie uniósł jej kark i zaczął owijać jej głowę. Kobieta starała się szamotać, lecz była bez szans. Jej oddech wypchnął kawałek folii, lecz zaraz delikatnie go wessała. Pojawiły się na nim kropelki pary wodnej, a po chwili dołączyła do niej rozbryzgnięta krew. Nagie pięty spazmatycznie zabębniły o betonowe podłoże.

– Oddychaj. Powoli...

Oprawca, uśmiechając się, zrobił minimalną szparę tuż pod jej nosem. Na tyle, by próbując nabrać powietrza, zrozumiała, czym jest najgorsze cierpienie.

– Wygram, zobaczycie, że tym razem wygram.

Pucołowaty chłopiec o niemal białych włosach zerknął na ekran telefonu. Po chwili podniósł głowę i się rozejrzał. Jego dwóch towarzyszy, kruczowłosych braci w podobnym wieku, wymieniło porozumiewawcze spojrzenia.

– Okej – odezwał się młodszy. – W takim razie twoja kolej.

– Niech będzie – zgodził się starszy.

Blondyn uśmiechnął się, po czym potrząsnął telefonem. Zastukał palcem w ekran.

– To pokazuje, że cel jest w głębi lasu, tam na polanie przy starych bunkrach.

– No to goń – zachęcił go młodszy z braci. – Liczymy do dziesięciu.

– Ale pójdziecie za mną?

– Oczywiście.

– Żeby nie było jak ostatnio... Słowo?

– Słowo – jednocześnie przyznali obaj bracia.

– A rodzice?

– Przecież nikt się nie dowie.

Ten krótki, banalny argument był wystarczający. Blondyn schował telefon i upewnił się, że ma dobrze zawiązane sznurówki. Skinął głową, po czym jeszcze raz zerknął na braci.

– Dziesięć – zaczął odliczanie starszy. – Dziewięć...

Pucołowaty chłopiec rzucił się biegiem między drzewami. Początkowo ścieżka wiodła niewielkim wąwozem, a potem wspinała się w górę. Kilkudziesięciometrowy sprint pod wzniesienie wystarczył, by blondyn solidnie się zasapał i na jego twarz wystąpiły krople potu. Odwrócił się za siebie, ale nie zwolnił. Pędził co sił w nogach. Musiał wygrać ten bieg i zdobyć wirtualne punkty, jeśli chciał się liczyć w dalszej rozgrywce. Poza tym pragnął coś udowodnić nie tylko braciom, lecz również sobie. Miał już dość tych okropnych docinków.

Wypadł na sporą polanę, pośrodku której ciągnęło się stare ogrodzenie z metalowej siatki. Było w niej kilka przerw, które okoliczne dzieciaki znały jak dziury w kieszeni. Czasem zakładano się, kto wejdzie na teren dawnej jednostki wojskowej, lecz mało kto odważył się dostać do samych bunkrów.

Zadanie jednak tego wymagało. Nie można teraz było myśleć o tych wszystkich opowiadanych wieczorami historiach o duchach albo wampirach snujących się po betonowych konstrukcjach. Jednak te nawet w dzień budziły strach. Betonowe ściany pokrywały rozmaite malowidła, resztki taśm maskujących oraz kilka starych graffiti.

– No, dalej! – Chłopiec dodawał sobie odwagi. – Nie pękaj.

Zatrzymał się przed jednym z pozbawionych drzwi otworów, z których zionęła ciemność i chłód wnętrza. Telefon wskazywał, że w środku można było zdobyć najwięcej punktów. Pewnie za to zadanie odpowiadali bracia, ale nie miało to teraz znaczenia. Musiał zdobyć pełną pulę, i tyle.

Odwrócił się i ostrożnie rozejrzał. Jego towarzysze zabawy jeszcze nie pojawili się na polanie. Miał chwilę na upewnienie się, że wszystko się zgadza.

Zanurzył się w mrok budynku i wciągnął wilgotne, cuchnące powietrze. Odblokował telefon, aby sprawdzić trasę. Cel znajdował się sześćdziesiąt metrów od niego, w głębi konstrukcji.

– Jazda, jazda – szepnął do siebie. Poczuł, że włoski stają mu dęba na karku. – Zbierz się do kupy, cykorze...

Zacisnął zęby i włączył latarkę. Ruszył przed siebie, uważnie nasłuchując wszelkich dziwnych odgłosów. Wydawało mu się, że stąd i owąd słyszy kroki lub upiorne chrobotania. Przed oczyma stanęły mu potwory z tych wszystkich wyssanych z palca bajek. Tyle że teraz wydawały się nadzwyczaj realne. Niemal namacalnie czuł ich obecność.

Tuż obok.

Za rogiem.

Serce waliło mu w piersi i brakowało mu tchu, lecz szedł zgodnie ze wskazaniami gry. Krok za krokiem, oświetlając sobie drogę latarką. Czuł, że pot spływa mu po plecach i zatrzymuje się na gumce spodni. Co rusz przełykał ślinę.

Dziesięć metrów. Ikonka na telefonie zapulsowała. Prawie był na miejscu!

Cel musiał znajdować się bezpośrednio za ścianą. Wystarczyło znaleźć drzwi, a potem uciec i biec do punktu wyjścia. Półokrągła wnęka znajdowała się niedaleko przed nim. Ścisnął mocniej telefon, oświetlił sobie drogę i dziarsko ruszył we wskazanym kierunku. Nie mógł się teraz wycofać.

– Już prawie...

Wyjrzał zza ściany, pewny, że zostanie mu to zaliczone, ale gra wymagała, by wszedł w głąb pomieszczenia. Wtedy światło latarki omiotło scenę żywcem wyrwaną z najstraszniejszego horroru. Chłopiec przeraźliwie krzyknął, a telefon wypadł mu z ręki. W tym miejscu naprawdę musiały grasować upiory.

50

Deryło robił wszystko, aby wyminąć auta stojące przed wjazdem na rondo. Wolał rozbić się sam niż wypchnąć kogoś wprost pod koła innego pojazdu. Ci wszyscy ludzie wokół byli niewinni. I choć uderzenie mogłoby zamortyzować jego prędkość, nie mógł ich narażać. Nigdy by tego nie zrobił.

Gwałtownie skręcił i citroën podskoczył na krawężniku. Przecięli trawnik, a potem wpadli na ścieżkę rowerową. Na szczęście nikt nią nie jechał, a chodnik był pusty.

– W lewo! – krzyknęła Dmitris. – Skręcaj w lewo.

Deryło odruchowo jej posłuchał. Wykonał polecenie i odbił we wskazanym kierunku. Furgonetka ponownie przejechała przez trawnik, po czym wypadła na ulicę. Komisarz dopiero teraz zobaczył, że na ścieżce rowerowej leżała porzucona przez kogoś hulajnoga. Gdyby się w nią wpakował, mógłby wypaść z trasy i rozbić się o jedną z latarni. Jednak teraz nie było czasu na analizy.

– Prawa wolna!

Komenda Dmitris pozwoliła mu zaoszczędzić ułamek sekundy. Nie wykonywał żadnego innego manewru, lecz zdecydował się przeciąć rondo niemal środkiem. Objechał niewielką wysepkę, co i tak o mały włos doprowadziłoby Citroëna do koziołkowania. Samochód przechylił się, zawieszenie jęknęło, a dwa koła zdawały się odrywać od nawierzchni. Po ułamku sekundy auto wróciło jednak do poziomu i wpadło w kolejną ulicę.

Komisarz puścił dźwignię hamulca ręcznego i chwycił oburącz kierownicę. Droga na tym odcinku była wyłożona kocimi łbami, a do tego prowadziła nieco pod górę. Citroën zaczął powoli wytracać prędkość. Wreszcie, po przejechaniu kolejnych stu metrów, zupełnie się zatrzymał.

– Uff... – Deryło głośno sapnął. – Jesteś cała? – Odwrócił się do Dmitris i uświadomił sobie, że policjantka bacznie mu się przypatruje. Na jej twarzy nie było widać ani cienia strachu. – Nawet nie jesteś spocona. A do tego mogłabyś nawigować w rajdzie Dakar...

– Mam dość wysoki próg stresu – odparła Dmitris. – Tak to nazwijmy.

Deryło nie miał zamiaru polemizować. Pchnął drzwi i wysiadł z auta. Obszedł je, po czym kucnął, zaglądając pod nie od spodu. Dmitris stanęła obok niego. Dostrzegł jedynie jej czarne eleganckie lakierki ze srebrnymi sprzączkami.

– Co się stało? – W jej głosie również nie odnalazł śladu drżenia albo najmniejszego złamania. – Dlaczego właśnie o mało nie zginęliśmy?

Komisarz, nie bacząc na kurz, położył się i zajrzał jeszcze dalej. Wyciągnął dłoń, szukając czegoś niemal po omacku. Nagle zamarł

w bezruchu. Wściekle mlasnął, po czym wysunął się spod citroëna.

– Przewód hamulcowy – stwierdził, otrzepując marynarkę. – Ktoś go naruszył...

– Jesteś pewny?

– Sam z siebie raczej nigdy nie pęka. Do tego nie tak, jakby nadcięto go skalpelem.

Dmitris zagryzła wargę i oparła się o bok auta.

– Pod jesziwą były chyba zainstalowane kamery. Powinniśmy czym prędzej uzyskać nagrania, nawet jeśli mielibyśmy ubiegać się o zgodę prokuratora i wtedy...

– Hola, hola. – Komisarz powstrzymał jej entuzjazm. – Przewód został nadcięty, nie – przecięty. To drobna różnica, ale świadcząca o tym, że mogło to zostać zrobione nawet dwa czy trzy dni temu. Ta guma naprawdę jest gruba.

Dmitris westchnęła. Miała coś powiedzieć, lecz wokół poniosły się tony Sarabande Haendla. Deryło czym prędzej sięgnął do kieszeni i wyciągnął telefon. Zerknął na ekran.

– Oto dzwonią kolejne kłopoty – oznajmił cierpko.

Chwilę później odebrał połączenie i przytknął komórkę do ucha. Jego twarz niemal natychmiast wykrzywił ponury grymas.

51

– Jak się ma ta kobieta? Czy coś zagraża jej życiu?

Deryło odepchnął rosnącego sanitariusza i zwrócił się prosto do stojącego obok lekarza. Na izbie ratunkowej znaleźli się niedługo po tym, jak karetka przetransportowała do niej kobietę odnanioną na terenie dawnego obiektu wojskowego. Po kilkunastominutowej reanimacji na miejscu jakimś cudem udało się przywrócić jej funkcje życiowe. To było wszystko, co dotychczas wiedział komisarz.

Przynajmniej udało mu się wezwać pomoc do Citroëna i zamienić wóz na służbowe BMW. Stanowczo zbyt wiele wydarzeń jak na godzinę wyrwaną z codzienności.

– Jeszcze żyje – ponuro odparł lekarz. – Wszyscy, którzy wiedzą cokolwiek więcej, właśnie walczą o jej życie.

– Muszą ją uratować. Do cholery...

Deryło był gotów ruszyć prosto na trakt operacyjny lub gdziekolwiek byłaby potrzeba, aby osobiście zająć się kuracją. Zrobił kilka gniewnych kroków w tę i w tę, aż Dmitris chwyciła go pod łokieć.

– Uspokój się – nakazała cicho, ale z przyganą, niczym matka besztająca dziecko. – Nic nie możesz zrobić. Szkoda marnować sił.

– Ona musi przeżyć! Dzięki niej...

– Nic nie zależy od nas. Przynajmniej w tej kwestii.

Deryło zatrzymał się i sapnął. Rozdął nozdrza niczym byk gotowy rzucić się na każdego w zasięgu wzroku. Pochylił głowę i sięgnął do kieszeni.

– Nawet nie wiemy, czy ta sprawa ma związek ze śmiercią Bartoka.

– Nie? – Komisarz uśmiechnął się sarkastycznie. – Czyżby? Przypadkowo w najbliższej okolicy pojawiło się paru zwyrodnialców serwujących ludziom tortury w rozmaitych norach. Marny zbieg okoliczności...

– Jeszcze godzinę temu byłeś skłonny uznać, że to samobójstwo.

– Jestem skłonny dopuścić możliwość, że mamy do czynienia ze zbiorowym samobójstwem, ale nie mam najmniejszych wątpliwości, że są one ze sobą powiązane.

Deryło westchnął i otarł twarz dłońmi. Był pobudzony, a jednocześnie naszała go głęboka ochota na kawę. Jakby umysł domagał się porcji adrenaliny dostarczonej racjonalniej niż na skutek kolejnych makabrycznych wieści. Albo jakby przygotowywał się do przejścia w tryb długotrwałego intensywnego działania. Mogła to być sprawka instynktu albo jedynie parszywego złego przeczucia.

– Niech pan się zorientuje, co się dzieje – zwrócił się do lekarza, który zajął się wypełnianiem jakichś dokumentów. Kilkanaście osób

znajdujących się w szpitalnej poczekalni nagle zapomniało o własnych dolegliwościach i bacznie mu się przypatrywało. – Muszę to wiedzieć natychmiast!

– Zostanie pan poinformowany w pierwszej kolejności – wycedził lekarz. – Daję panu słowo.

– W takim razie dowiedz się pan czegoś już, teraz!

Doktor błagalnie zerknął na Dmitris, która ponownie chwyciła Deryłę pod łokieć, by odciągnąć go przynajmniej ze środka traktu.

– Musimy poczekać. Siadaj i skup się...

– A ty co? – Komisarz wyzywająco strząsnął jej dłoń. – Ćwiczysz stoickie podejście do życia?

Nim Dmitris zareagowała na te słowa, odwrócił się i skierował do wyjścia. Niemal biegł. Przypominał szaleńca.

52

– Nie przesadzajmy. Jeśli zabierzemy te dzieciaki do komendy, zafundujemy im traumę na całe życie.

To jedno zdanie wystarczyło, by Dmitris spojrzała na Deryłę przychylniej. Przez ostatnią godzinę komisarz był tak pobudzony, że miała go święcie dość. Jednak teraz, gdy znaleźli się na miejscu odnalezienia torturowanej kobiety, najwyraźniej znów zaczął działać racjonalnie.

Niestety dzieciaki niewiele widziały. Dwóch braci w ogóle nie weszło do pomieszczenia, gdzie znajdowała się ofiara zwyrodnialca, a krępy blondynek był w szoku. Nie potrafił nic z siebie wydusić, choć to on wezwał pomoc. Obecnie zajmował się nim psycholog.

Na terenie dawnej jednostki wojskowej pracowała ekipa techników. Bunkry oraz inne żelbetowe konstrukcje były oświetlone dziesiątkami reflektorów. Sceneria niewiele odbiegała od pokazywanych w filmach

fantastycznonaukowych tajnych lądowisk UFO. Technicy w kombinezonach ochronnych mijali się z uzbrojonymi funkcjonariuszami. Za metalowym ogrodzeniem stały wozy ekip telewizyjnych oraz kilkunastu dziennikarzy. Rzecznik komendy jeszcze nie pojawiła się na miejscu. Zapewne trwało zbieranie danych, aby można było wygłosić jakikolwiek sensowny komunikat, którego nie trzeba by później dementować.

– No, dobra. Czas się przebrać.

Deryło podał Dmitris kombinezon, a drugi narzucił na siebie. Zabezpieczył buty oraz ściągnął troczkiem kaptur. Teren do przebadania był tu rozleglejszy niż w przypadku pustostanu, więc prace mogły trwać nawet kilka dni. W końcu sprawca musiał nie tylko jakoś przeciągnąć ofiarę korytarzami, ale również dostarczyć tu wodę i balię. Nikt bowiem nie spodziewał się, by udało się ją znaleźć w remanencie sprzętu pozostawionego tu przez wojsko.

– Gotowa?

Dmitris jedynie uniosła kciuk i ruszyła za komisarzem. Pokonali kilkadziesiąt metrów korytarza, z którego sufitu zwieszały się pocięte kable oraz rury. Złomiarze sprzed lat zrobili swoje. Czas dopełnił dzieła zniszczenia.

Policjanci nie musieli przy tym się głowić, gdzie znaleziono kobietę, gdyż z nieodległego pomieszczenia niósł się cichy gwar rozmów, szcękanie rozmaitych sprzętów, a na korytarz padała łuna białego światła.

– Przytulne gniazdko dla prawdziwego zwyrodnialca – stwierdził Deryło. – Kiedyś czytałem, że przechowywano tu naprawdę sporo broni. Gdyby to pierdyknęło, wywaliłoby w kosmos las i parę tysięcy okolicznych mieszkańców.

Dmitris nie podłapała tematu. Pilnie rozglądała się wokół i chłoneła szczegóły otoczenia. Gdy weszli do pomieszczenia z balią, zatrzymała się tuż za progiem. Deryło niemal na nią wpadł.

– Co ty...

Zamilkł, gdy dotarła do niego cała groza miejsca. Balia stała przy jednej ze ścian, a na niej znajdował się drewniany stelaż przypominający kratę. Zapewne miał stanowić dodatkowe zabezpieczenie, by kobiecie nie udało się uciec. Na podłodze leżały jeszcze pasy folii zdartej z niej przez ratowników. Technicy pobrali już rozmaite ślady i ustawili tabliczki dowodowe. Czterdziestoletni kryminalista, który pracował na miejscu odnalezienia ostatnich zwłok wykonywał właśnie zdjęcia. Ukradkiem łypnął na komisarza oraz Dmitris, po czym wrócił do zajęć. Miał opuszczoną maseczkę, a pod jego nosem skrzyła się warstwa zapachowej maści. Najwidoczniej spodziewał się, że będą mieli do czynienia z następnym niezbyt świeżym trupem.

– Cholera jasna... – wycedził Deryło, omiatając wzrokiem całą scenę. Nagle uświadomił sobie makabryczną prawdę. Cicho zaklął.

53

– Co jest?

Dmitris łypnęła na komisarza. Deryło ciężko sapnął i poprawił kaptur kombinezonu. Był czymś wyraźnie poruszony. Ponownie kilkakrotnie zaklął pod nosem, wreszcie zrobił krok w głąb pomieszczenia.

– Co się stało? – dopytała, idąc za nim. – Wyjaśnisz mi, panie tajemniczy?

Komisarz odwrócił się i zerknął na łukowate wejście. Następnie odruchowo dotknął kieszeni, lecz przez kombinezon nie mógł do niej włożyć ręki. Wyprostował się, ponownie rozglądając dokoła.

– Te dzieciaki... – wyszeptał. – One musiały rozminąć się z mordercą co najwyżej o kilka minut. Albo...

Zawiesił głos, choć Dmitris doskonale wiedziała, co ma na myśli.

– Albo ten dewiant był tu, gdy ten chłopiec odnalazł jego ofiarę – powiedziała za niego. – Mógł go nawet obserwować. Gdyby się obawiał, że zostanie odkryty, nie wycofałby się, ale zaatakował.

– Chyba że jego moralność nie dopuszcza atakowania dzieci.

– Tak sądzisz? Masz jakiegokolwiek złudzenia?

– Wyrażam na głos swoje życzeniowe myślenie – skwitował Deryło. – Tym bardziej że dzieciaki ponoć grały w jakąś grę, w której wyznacza się cele do zaliczenia. ViSir będzie musiał ustalić, czy przypadkiem nie ściągnął ich tu umyślnie.

– Wszystko było już przygotowane – wtrącił się technik. Odszedł od statywu aparatu i wskazał w stronę balii. – Zupełnie jakby spodziewał się, że będzie się musiał szybko ewakuować. Tym razem nie ma pomazanych ścian ani niczego takiego. Mimo to zostawił nam swój podpis...

– Co takiego?

Technik dał ręką znać, by Deryło i Dmitris podążyli za nim. Minał walizkę z różnymi sprzętami, po czym obszedł balię. Przesunął jeden z reflektorów tak, by jego światło padło między jej rant a ścianę.

– Nie chciał, żeby to było widoczne na pierwszy rzut oka – odezwał się, mierzając palcem w metalowy bok wanienki. – Widzicie?

– Co takiego?

Deryło nachylił się, lecz nie dostrzegł niczego podejrzanego. Dmitris kucnęła tuż obok niego i zmrużyła oczy. To się odsuwała, to znów przysuwała bliżej balii, aż nagle energicznie się podniosła. Cofnęła się, po czym przesunęła reflektor.

– O co chodzi? – warknął zniecierpliwiony Deryło. – Czy kompletnie zdurniałem, czy oślepiłem?

– Ani jedno, ani drugie. Zapewne po prostu patrzysz pod niewłaściwym kątem. Cofnij się o pół kroku...

Komisarz posłusznie przesunął się i ponownie zerknął w stronę balii. Wtedy zrozumiał, co miała na myśli Dmitris oraz kryminalistyk.

Od metalowego boku kadzi do białej w ścianę żelaznej klamry przywiązano kilka cienutkich czerwonych nici. Gdy komisarz patrzył

z poprzedniej perspektywy, te całkowicie zlały mu się ze rdzawymi przebarwieniami. Teraz, gdy tło stanowiła ciemna ściana, widział je jak na dłoni. Nagle przypomniało mu się skojarzenie związane z Belialem. Odruchowo się cofnął, osłaniając sobą Dmitris.

– Sprawdziliście, czy nie są powiązane z jakimś materiałem wybuchowym?

– Oczywiście – odparł technik. – Po raz kolejny ten zwyrol zostawił jedynie symbol wymagający rozszyfrowania. Swój autograf... Ale na szczęście całkowicie niewybuchowy.

Dmitris zmarszczyła czoło i splotła ręce na piersi. Coś jej przyszło do głowy.

54

„Czerwone nitki mają wyjątkowe znaczenie dla kabały. A przecież od ortodoksyjnych żydów do kabały jest tylko jeden krok”.

Deryło raz po raz roztrząsał tę myśl wypowiedzianą przez Dmitris. Natychmiast po powrocie do domu otoczył się stosem książek i zagłębił w lekturze. Sprawa nie przedstawiała się tak prosto, jak można by uznać na pierwszy rzut oka. Czerwona nitka stanowiła raczej formę manifestacji zainteresowania kabałą niż prawdziwy dawny symbol mogący mieć związki z tymi nakreślonymi na zwłokach Bartoka.

Ponoć oryginalne amulety związane z rytym kabalistycznym tworzone przez owijanie sznurków wokół grobu Racheli, a następnie cięcie ich na krótsze kawałki. To właśnie z nich formowano bransoletki zakładane na lewe nadgarstki, co stało się swego czasu popularne wśród gwiazd Hollywood. Czerwona nitka miała mieć tajemną moc chronienia przed złymi duchami.

W porządku, abstrahując nawet od kwestii wiary, nic nie przemawiało za tym, by podobną moc miały nitki rozpostarte między

metalową balią a ścianą. Chyba że tę balię potraktować by jako grób. W końcu sprawca mógł się spodziewać, że jego ofiara nie zostanie odnaleziona żywa. Wówczas perspektywa nieco się zmieniała, ale wydawało się to dość naciągany tłumaczeniem.

Grób... Może to od niego powinno się zacząć poszukiwania właściwego punktu wyjścia do pojęcia rozumowania sprawcy. Opuszczone bunkry, balia, plac budowy i przestronne pomieszczenie, następnie metalowa klatka... Naturalny ciąg skojarzeń prowadził do grobu Racheli. Tyle że Deryło wiedział o niej bardzo niewiele. Pojedyncze przeblyski musiał uzupełnić rzetelnymi informacjami.

Uświadomił sobie jednak, że od rana niczego nie jadł. Nie czuł głodu, ale zmęczenie coraz mocniej dawało mu się we znaki. Porzucił książki i zniechęcony przeszedł do kuchni. W lodówce nie znalazł niemal nic, czym mógłby wypełnić pusty żołądek, więc sięgnął po zapasy rezerwowe. Spalaszował puszkę konserw, słoiczek kawioru oraz kawał czerstwej bagietki. Nadszedł najwyższy czas, by wybrał się na konkretne zakupy, lecz na razie nie było mu to w głowie.

Znał jednak uniwersalne lekarstwo na wszystko. Zrobił sobie kawę i z filiżanką czarnego jak smoła wywaru czym prędzej wrócił do gabinetu. Ze sprawnością zawodowego badacza przewertował Biblię oraz dwa obszerne komentarze teologiczne. Postać Racheli stawała się coraz wyraźniejsza, ale nadal nie potrafił dopasować jej do współczesnych wydarzeń.

Rachela była matką synów Jakuba i siostrą Lei. W wyniku intryg oraz istic fantastycznych zwrotów akcji uczestniczyła w rodzinnym dramacie patriarchy, stała się świadkiem plugawych knowań, a wreszcie sama spiskowała przeciw własnej siostrze. Trudno było ją określić jako postać jednoznacznie pozytywną. Przypominała raczej bohaterkę tragicznego romansu, ale komisarz nie zastanawiał się nad tym zbyt długo. Nie dziwił się jednak, że przypowieść nie weszła do kanonu najczęściej przytaczanych opowieści biblijnych.

Znacznie ciekawsze wydało mu się, że grób Racheli znajdował się na całkowitym odludziu. Jakub miał pochować ją pośrodku „niczego”, by

żydzi mogli zawsze do niego podróżować. Miał stanowić dla nich pocieszenie w chwilach wygnania lub załamania narodowego ducha. Z czasem symboliczne miejsce stało się obiektem kultu dla krzyżowców, potem dla muzułmanów, wreszcie – już w XX wieku – uczyniono z niego synagogę.

– Od grobowca do świątyni... – mruknął Deryło.

Zamknął grubą księgę i rozmasował skronie. Minęła już północ, ale nie czuł senności. Był gotów jechać do szpitala, by zdobyć najnowsze informacje o stanie zdrowia odnalezionej kobiety. Tyle że lekarze zapewniali, że skontaktują się z nim, gdyby cokolwiek się wydarzyło. Brak wiadomości w tym wypadku był dobrą wiadomością. Przynajmniej chciał tak myśleć. Również w kontekście Tamary.

Sięgnął po stojące na biurku zdjęcie i spojrzał w łagodną twarz swojej żony.

– Ewo... – wypowiedział cicho jej imię. Czasem wydawało mu się, że już nigdy nie będzie w stanie wydać z siebie tego dźwięku. Że już nigdy nie wybrzmi tak jak wtedy, gdy w tym mieszkaniu zwracał się do niej.

Odłożył zdjęcie na blat i obrócił je tak, by nie widzieć twarzy żony. Przymknął oczy, a jego ciałem wstrząsnął spazm rozpacz. Samotność nigdy nie wydawała mu się tak przerażająca.

[2] auto-da-fé – element procesu inkwizycyjnego, oparty na wyznaniu wiary lub zaparciu się

KOLEJNY DZIEŃ

55

Komisarz przespał może kilka minut, a może znacznie dłużej i tylko tak mu się zdawało. W każdym razie, gdy otworzył oczy, wciąż siedział na fotelu, z nogami wyciągniętymi daleko przed siebie i głową opartą na ramieniu. Kolejna noc bez odpoczynku w wygodnym łóżku odbiła się zdrętwieniem połowy ciała.

– Cholera...

Deryło zmusił się do wstania i wykonał kilka energicznych wymachów rękoma. Przeszedł po gabinecie, wziął prysznic i dojadł resztkę pieczywa pozostałego z poprzedniego wieczoru. Niestety słoiczek kawioru był całkowicie pusty. Pozostało mu uraczyć się podwójną porcją kawy i porannym świeżym powietrzem.

Komisarz otworzył okno w kuchni, po czym spojrzał na budzącą się do życia dzielnicę. Ledwo minęła szósta, a tego dnia nigdzie mu się nie śpieszyło. Nie miał żadnych koncepcji i pozostawało mu przede wszystkim czekać. Na kryminalistyków, na laboratorium, na ViSira...

Nie zamknąwszy okna, podszedł do szafki i wyciągnął z niej jedną z papierowych serwetek. Zaczął z niej kompulsywnie składać żurawia origami, lecz przez delikatny materiał całość co rusz się rozpadała.

– Pech... – wymamrotał, mnąc serwetkę w kulkę. Cisnął nią za okno i obserwował, jak powoli spada, wirując na wietrze. – Niech ją diabli.

W momencie gdy sięgał do klamki okna, usłyszał dzwonek telefonu. Czym prędzej przemknął do gabinetu i rozpoczął zmudne poszukiwania aparatu. Musiał przełożyć kilka książek oraz stos papierów, by wreszcie trafić na komórkę. Gdyby miał wyłączony dzwonek, jej odnalezienie graniczyłoby z cudem.

– Halo! – rzucił zadyszany, obawiając się, że telefonujący zdążył się rozłączyć. – Słucham?

– Doktor Wirski. Obiecałem zadzwonić, gdy coś się zmieni...

Zmęczony, niski ton lekarza brzmiał niczym wyrok.

– Jestem... – Deryło wyszeptał jedynie to słowo.

– Ta kobieta nie żyje. Niestety, mimo wysiłków, nie udało się nam jej uratować. Przykro mi...

– Przykro panu?

Deryło nerwowo się zaśmiał. Momentalnie jednak się opanował i odchrząknął.

– Przepraszam... Dziękuję za informację, doktorze.

Rozłączył się i jak zahipnotyzowany włożył komórkę do kieszeni. Stał, tępo spoglądając za wciąż otwarte okno. Mimo że ze śmiercią miał do czynienia mnóstwo razy, a słyszał o niej jeszcze częściej, zawsze robiła na nim wrażenie. Nie jako fakt medyczny albo nawet zjawisko emocjonalne. Chodziło o jego głęboką nieumiejętność pogodzenia się, że człowiek może zamordować człowieka. Wypadki, choroby, nawet samobójstwa... To wszystko potrafił zaakceptować, ale nie makabryczny, brutalny mord. Do tego nie taki, gdzie ofiarę owija się folią spożywczą i podtapia niczym na średniowiecznych torturach wobec czarownic.

Czarownic...

To pojedyncze słowo przykuło jego uwagę. Wszystkie myśli komisarza zawirowały wokół niego niczym proton i neutron wokół jądra atomu.

Czarownica?

Jakieś elementy równania wskoczyły na nowe miejsca, ale nie mogły przynieść rozstrzygnięcia. Niewiadomych było zbyt wiele. Luźne hasło pasowało do jakiegoś odległego skojarzenia, którego nie potrafił teraz uchwycić.

Był zagubiony. Obawiał się, że nie potrafi analizować tak przenikliwie jak niegdyś. Czuł się słaby i żalony.

Zatrzasnął okno tak mocno, że niemal wyleciała z niego szyba. Nie miał prawa się zadrećzać ani szukać usprawiedliwiania. Mógł być głupi i słaby, lecz musiał działać. Tym bardziej że jedno ze skojarzeń mogło okazać się słuszne.

56

– Wiem.

To jedno słowo wypowiedziane przez Dmitris sprawiło, że między nią i Deryłą opadła niewidoczna kurtyna. Spojrzeli na siebie tak samo bezradnie i jednocześnie zacisnęli usta. Byli zdruzgotani.

Komisarz usiadł w swoim fotelu i zabębnił palcami o blat biurka. Był wściekły, że śmierć dopadła kolejną osobę, że nie udało mu się nic z tym zrobić i że do komisariatu musiał jechać taksówką. W ogóle był wściekły na cały świat.

– Powiedziałaś coś ciekawego – odezwał się po kilku minutach milczenia. – O auto-da-fé i inkwizycji... Zwróciłaś moją uwagę na pewien aspekt.

– To znaczy? – Dmitris spojrzała na niego sponad pliku dokumentów, które wertowała. – Jaki aspekt?

– A jeśli morderca to typowy typ mesjasza? Człowieka, który chce wybawić świat od jakiegoś konkretnego zła?

– Zabijając kobietę i taksówkarza? Właśnie wertuję wszelkie informacje o Bartoku. Nikt nigdy nie powiedział na niego złego słowa. Oczywiście poza paroma klientami, ale i tym chodziło o drobnostki i pieniactwo dla sportu, z nadzieją zwrotu mamony za kurs...

– Zło miewa postać subiektywną – skwitował Deryło. – Może objawiać się choćby w tym, że jest się taksówkarzem.

– A ta kobieta?

– Poczekajmy, aż ją zidentyfikują... Ale zmierzałem do tego, że znaki kabalistyczne mogą stanowić swoisty akt oskarżenia.

Dmitris oparła łokcie na dokumentach i z zaintrygowaniem przysłuchiwała się komisarzowi.

– Nie potrafię tego jasno wyrazić, ale mam wrażenie, że sprawca oskarża ich i jednocześnie się podpisuje. Mówi: „Ja to zrobiłem, już wy wiecie dlaczego”. Choć jednocześnie ukrywa to na boku balii tak, żeby zabrać nam czas potrzebny do zrozumienia jego intencji...

– W sensie, że to jest przesłanie do ofiar? Brzmi niczym argumentacja kogoś kompletnie odklejonego od rzeczywistości.

– A może chodzi o nas? O mnie i o ciebie?

Deryło nagle obrócił się w fotelu i lekceważąco machnął ręką.

– Głupoty... Pewnie jedynie niepotrzebnie mieszam. Na Citroënie nie znaleziono śladów czyjejkolwiek ingerencji. To mógł być po prostu wypadek... W każdym razie będzie naprawiony jeszcze dzisiaj.

Dmitris wróciła do przeglądania dokumentów. Przełożyła kilka z nich i ponownie zerknęła na komisarza.

– Nie możesz się doczekać? – zapytała z lekkim uśmiechem. – To jak rozstanie z najlepszą kochanką, co?

– Raczej z dobrym kumplem, z którym lubię spędzić trochę czasu w milczeniu.

– To auto chyba nigdy nie milczy. Gdy uruchamiasz silnik, słysząc cię dwie dzielnice dalej.

– Ale ma styl, ma klasę, ma... – Deryło wzruszył ramionami. – Wszystko, czego oczekujesz po drobnym kumplu.

Dmitris ponownie przełożyła jakieś kartki i poprawiła ozdobną wsuwkę do włosów.

– Mów... – mruknął Deryło. – Widzę, że odkąd przyszedłem, coś cię męczy...

Kobieta nie pozwoliła się dłużej namawiać. Wstała z fotela i zadumana przeszła kilka kroków.

– Myślałam o tym Meir Aronie – odezwała się, stając przy biurku komisarza.

– Masz ciekawy gust. Ale faktycznie, mógł się podobać...

Dmitris spojrzała na niego z ukosa i westchnęła. Nie zamierzała wdawać się w tę dyskusję.

– No mów! – ponaglił ją Deryło.

– Powiedział, że rozmowa o śmierci nie jest mu miła. Ujął to jakoś tak... To ciekawe, biorąc pod uwagę...

Słowa komisarz zagłuszyło szczęknięcie klamki i gwałtowne otwarcie drzwi do gabinetu. W progu stanęła posterunkowa Nowak. Miała bladą twarz i rozwichrzone włosy. Przeszła z nogi na nogę niczym zawstydzona dziewczynka w trakcie recytacji wierszyka na forum klasy.

– Wyrzucisz z siebie, co się stało? – burknął Deryło. – Czy przeżyłaś taką traumę, że nie wydusisz już z siebie nawet słowa?

Nowak weszła do gabinetu i zamknęła za sobą drzwi. Zrobiła to cicho jak nigdy.

57

– Nie widzieliście ostatniego maila z laboratorium, prawda? – Nowak powiodła wzrokiem od Dmitris do Deryły i z powrotem. – Macie w gabinecie wyłączony telefon...

– Dajmy spokój telefonom – warknął Deryło. – Co jest w tym mailu?

– Proszę samemu przeczytać, komisarzu. Nie chcę czegoś przekreślić. Choć wszystko zdaje się zupełnie jasne.

Posterunkowa Nowak, nazywana posterunkową gestapo, słynęła nie tylko z żołnierskiej postawy, ale również z klarowności komunikatów. Podobnie również jak trep nie lubiła wypowiadać się na tematy, których nie rozumiała.

Dmitris natychmiast usiadła przy komputerze i uruchomiła skrzynkę pocztową. Niemal od razu zaczęły spływać do niej zaległe

wiadomości. Odkąd skoro świt pojawiła się w komendzie, zapomniała o jej istnieniu. Pochłoneły ją dokumenty oraz skrzętnie opracowywany profil sprawcy. Nie spodziewała się, że jakiekolwiek informacje od kryminalistów mogły spłynąć o tak wczesnej porze.

– „Wyniki badania próbki dowodowej A12” – odczytała, po czym zamilkła, zastanawiając się nad czymś. Deryło zauważył, że miała podobny odruch do Haler i kiedy się skupiała, przymykała oczy. – Tabliczka A12 znajdowała się niedaleko balii. Zdaje się, że po prawej stronie, patrząc od wejścia...

– I co to za próbka?

Komisarz stanął za jej plecami i oparł się o fotel. Aby dostrzec litery na monitorze, musiał się pochylić. Od pewnego czasu zauważył, że miał coraz gorszy wzrok, jednak nie zamierzał się do tego przed nikim przyznać. Przede wszystkim nie przyznawał tego przed samym sobą i wykluczał noszenie okularów. Przynajmniej innych niż przeciwsłoneczne.

– Wszyscy już mówią o jakichś satanistycznych znakach – bąknęła Nowak. – To prawda?

Dmitris zerknęła na nią ponad laptopem, ale się nie odezwała. Deryło również milczał. Na ekranie właśnie wyświetliła się notatka z laboratorium. Załączono do niej zdjęcie miejsca, z którego pobrano dowód. Tak jak twierdziła Dmitris, znajdowało się ono tuż nieopodal balii, gdzie było widać jedynie kawałek odłupanej posadzki. Adnotacja wskazywała, że próbkę pozyskano po sprawdzeniu pomieszczenia światłem ultrafioletowym.

– Krew? – zagadnął komisarz. – Ślady krwi?

– Tak jakby...

Dmitris pośpiesznie przeleciała wzrokiem po liniijkach analizy, wreszcie poprawiła się w fotelu i odwróciła do komisarza. Jej regularne rysy nie potrafiły ukryć wyrazu zadumy. Nad nosem pojawiła się pionowa zmarszczka, duże oczy zapłonęły jakimś niezwykłym blaskiem, a starannie wyrównane brwi uniosły się wysoko.

– Przy wannie znaleziono ślady krwi, ale... – Przechyliła głowę jakby sama nie była pewna właściwego doboru słów. Wreszcie dodała najprościej jak to było możliwe: – To nie jest ludzka krew.

58

Laboratorium kryminalistyczne mieściło się w budynku komendy przy Narutowicza. Deryło postanowił udać się tam osobiście, aby zdobyć więcej informacji. Obawiał się, że próby uzyskania telefonicznych wyjaśnień mogłyby przypominać zabawę w głuchy telefon. Tym bardziej że jego wiedza medyczna ograniczała się do absolutnych podstaw.

Na szczęście w zakładzie pracowała jego dawna dobra znajoma, która obiecała udzielić mu wszelkich wyjaśnień. Aby nie tłumaczyć niczego dwa razy, komisarz zabrał ze sobą Dmitris. Przedstawił ją rudowłosej laborantce, a ta z delikatnym uśmiechem uścisnęła jej dłoń.

– Nowe wsparcie dla naszego komisarza? – zapytała przyjaźnie. – Trzeba mu kobiecej dłoni...

– Robię, co mogę – odparła Dmitris. – Zaczęłam od zapanowania nad chaosem w dokumentach i powoli idziemy w dobrą stronę. Jak z dzieckiem.

– Hola, hola! – wtrącił się Deryło. – Skoro się tak od razu zaprzyjaźniłyście, na plotki znajdziecie czas. Ale teraz mamy co innego do roboty...

– Jasne, panie raptus. Proszę.

Laborantka wyciągnęła wydruk zawierający niewiele więcej treści od dokumentu, który załączono do maila. Komisarz natychmiast zerknął na nagłówek oraz kolejne linijki.

Znajdowali się w niewielkiej pracowni na uboczu zakładu. Całą jedną ścianę zajmowały szafki, a wzdłuż drugiej ustawiono metalowy

stół z mikroskopem oraz kilkoma plastikowymi kasetkami pełnymi narzędzi. Na biurku wciśniętym między stół oraz drzwi stały aż trzy, otwarte teraz, laptopy.

– Dajmy spokój dokumentom, to bełkot... – nagle poprosił Deryło. – Jak zwykle oficjalnie błagam, żebyś opowiedziała mi wszystko w ludzkich słowach.

Laborantka odłożyła kartki i splotła ręce na piersi.

– Rzecz się ma tak, że zabezpieczyliśmy trzy krwawe rozbryzgi.

– Ale krew nie jest ludzka, to wiem...

– Poczekaj. – Techniczka oderwała jeden z palców od przedramienia drugiej ręki. – To, że nie jest ludzka, to tylko jedna sprawa. Wymaga to chwili zastanowienia, wzięwszy pod uwagę, że możecie nie znać szerszego kontekstu.

– Kontekstu? Co masz na myśli?

Laborantka obróciła się i przysunęła jeden z laptopów. Dała znać, by policjanci stanęli przy niej. Sprawnie przełączyła kilka aplikacji, po czym wyświetliła na cały ekran zdjęcie miejsca, gdzie znaleziono ślad krwi.

– Dostrzegliśmy ją w ultrafiolecie – oznajmiła. – Wcześniej nie było jej widać.

– Została zmyta? – zapytała Dmitris. – Czy starta? Wiem, że można to ocenić...

– Zmyta – przyznała techniczka. – Ale tak, że na brudnym podłożu i tak został ślad.

– Zaraz, zaraz...

Deryło nerwowo potarł podbródek.

– Myślałem, że skoro to nie jest krew ludzka, to pochodzi od zwierzęcia. Nie widzę innej możliwości. A wtedy... po jaką cholere ktoś miałby się trudzić, aby starać się ją usunąć? – Nerwowo sapnął i mówił dalej: – Nie sądzę, żeby zwyrodnialec mordujący ludzi przejmował się ewentualną sprawą o znęcanie nad zwierzętami.

– Pomyślałam dokładnie o tym samym – oznajmiła laborantka. – Kompletnie nie rozumiem, dlaczego to zrobił. Tyle że na razie nie

mamy też pojęcia, jakiego stworzenia to krew...

Deryło spojrział na nią spode łba. Do głowy przyszedł mu pewien pomysł, ale wydawał się on całkowicie szalony.

59

– A jeżeli to krew jeszcze innej ofiary?

Pytanie Deryły zawisło w powietrzu i skupiło uwagę obu kobiet. Dmitris wymieniła spojrzenie z techniczką, jakby chciała ją nakłonić do ustosunkowania się do tych słów. Laborantka jednak milczała.

– Zdaje się, że krew człowieka można pozbawić grupy – kontynuował komisarz. – Przynajmniej na takiej zasadzie, że nie da się jej ustalić, czyż nie?

– Serologicznie jest to dopuszczalne, o ile...

Deryło natychmiast przerwał laborantce.

– Właśnie. W takim razie może krew pochodzi od nieznaney nam ofiary, a służy w jakimś rytuale? Coś jak ofiara całopalna? W końcu jesteśmy w kręgu starotestamentowym, a wtedy, zdaje się, z całym rozmysłem składano ofiary z ludzi.

– Nie do końca – zaprotestowała Dmitris. – O ile wiem, w tej kwestii trwają zresztą spory, ale to zasługa czarnego piaru zrobionego żydom w średniowieczu. Bóg przecież nie pozwolił złożyć Izaaka w ofierze.

– Ale składano ofiarę z synów pierworodnych.

– Metaforycznie. Raczej chodziło o złożenie pewnych datków pieniężnych jako zdobycie łaski Boga... czy raczej kapłanów.

– Może to zły piar, a może w legendzie tkwi ziarno prawdy. Poza tym sprawca może działać według własnej wykładni Biblii.

Laborantka usiadła na obrotowym fotelu i przysłuchiwała się wymianie zdań Deryły z Dmitris. Ci zdawali się nie dostrzegać teraz

jej obecności. Przerzucanie się pomysłami całkowicie pochłonęło ich uwagę.

– To nie odpowiada profilowi – oznajmiła Sofia. – Sprawca epatuje swoimi czynami, pokazuje nam ofiary i niczego nie ukrywa. Cieszy go gra, którą z nami prowadzi. To element jego *modus operandi*.

– A jednak zmazał ślad krwi.

– Tak, że ten nadal był widoczny. To również mógł być jedynie element zabawy.

– Chyba że... – Deryło odwrócił się do laborantki i włożył prawą dłoń do kieszeni. – Chyba że to krew jakiegoś zwierzęcia, która ma nas zmylić. Na identyfikację stracimy jedynie niepotrzebnie czas.

Techniczka kiwnęła głową, przyznając mu rację.

– Wbrew pozorom, pomimo całej naszej technologii, zidentyfikowanie krwi nie jest takie łatwe – stwierdziła. – Jeżeli nie wiadomo, na jakim polu się poruszać, analizy mogą trwać tygodniami. Nie wiem, czy macie o tym pojęcie, ale na przykład psy europejskie mają odmienne cechy krwi od psów australijskich. I to wcale nie są drobne różnice. Abstrahując od tego, że można mówić o dwudziestu kilku grupach krwi...

– Ale z tymi nie mamy problemu? – sparował komisarz.

– Wcale nie. Wiemy, że krew pozbawiona jest ludzkiej grupy krwi, ale nie rozszerzyliśmy jeszcze badań.

Dmitris dotknęła mikroskopu i zadumana pogładziła rant okularu.

– A jeżeli to zwierzę gospodarskie? – zagadnęła. – Któreś z pakietu tych najczęściej składanych w ofierze. Jagniąt, owiec, krów i tak dalej.

– Musiałabym zlecić konkretne badania. Ale rzeczywiście to chyba całkiem możliwe. Nawet miałoby sens...

Deryło uznał to za dobry pomysł. Zacisnął usta i założył dłonie za plecy. Co mogłaby oznaczać taka ofiara? Kilka kropli krwi, które zaprzętały ich uwagę, a poza tym...

Przerwał, czując wibrację telefonu. Poprzedniego wieczora wyłączył dzwonki i pewnie dlatego nie słyszał porannego połączenia od Nowak.

Gestem przeprosił towarzyszące mu kobiety, po czym sięgnął po komórkę.

– Gawiński – wyszeptał, dostrzegłszy nazwę kontaktu przypisaną do numeru. – A to ciekawe.

Przecucie mu podpowiadało, że patolog ma do przekazania niezwykle ciekawe wieści. A niestety rzadko kiedy miewał złe przeczucia.

60

– Jak zwykle nie chciał rozmawiać przez telefon. – Deryło niemal biegł w stronę zakładu medycyny. – Powinienem go jakoś zdyscyplinować. Straciłem przez niego w życiu już mnóstwo godzin... Cholerny dziobak.

– Może minął się z powołaniem. – Dmitris starała się zażartować. – Szkoła dramatyczna stałaby przed nim otworem.

– Chyba tragiczna... On nigdy nie ma dobrych wieści. Mogą być co najwyżej ciekawe, ale zawsze są również tragiczne.

– Mimo to masz do niego zaufanie.

– Pełne – przyznał Deryło. – Już ci mówiłem, że jest jednym z najlepszych specjalistów, na których trafiłem w życiu. A do tego wyjątkowo porządnym człowiekiem.

Dmitris przyjęła tę uwagę z pełną zrozumienia powagą. Osądy komisarza, w tym uznanie kogoś za porządnego człowieka, nie były słowami rzucanymi na wiatr. Nie miała wątpliwości, że Gawiński solennie sobie zasłużył na ten tytuł. Mimo to gdy po przekroczeniu progu zakładu medycyny sądowej o mało na siebie nie wpadli, przebiegł ją nieprzyjemny dreszcz. W rzeczywistości widok zwłok oraz uczestniczenie w autopsjach nigdy nie robiły na niej wrażenia, więc uczucie musiało dotyczyć czegoś innego. Nie potrafiła pojąć czego. Czy

przez głowę przebiegła jej jakaś istotna myśl, której nie udało się jej uchwycić?

– Pani Greczynka. – Gawiński serdecznie skinął do niej głową. – Cieszę się, że widzę panią ponownie.

– Wzajemnie, choć okoliczności nie są najprzyjemniejsze do ugruntowywania zażyłych stosunków.

– Na to przyjdzie jeszcze czas. Przecież specjalnie was tutaj ściągnąłem, aby móc was zobaczyć. Rzadko widuję tu kogoś rozmownego.

– Swoją drogą mój ojciec był Macedończykiem – dodała Dmitris.

– He? Tak zwanym Grekiem północnym?

– Za te słowa byłby gotów mordować. Słowo daję.

Deryło przyzwyczał się do tego, że Gawiński młodnieje przy kobietach, ale nigdy nie widział go tak rozanielonego. Spoglądał na Dmitris niemal jak na starożytne bóstwo. Z galanterią przepuścił ją w drzwiach do gabinetu. Zabrzęczał kluczami, po czym skinął do Deryły, by usiedli.

– Nie idziemy do twoich trupich szuflad? – zdziwił się komisarz. – Myślałem, że znowu chcesz nam zaprezentować denata.

– Tym razem wolałbym po prostu o nich porozmawiać. Coś zwróciło moją uwagę, a obawiam się, że w raporcie mogłoby nam to umknąć.

– Coś? Czyli nie chodzi o znaki na kolejnym ciele?

Gawiński nie zważał na nerwowy ton komisarza. Przyzwyczał się do jego ekscesów oraz narwania i z całkowitym spokojem podszedł do niewielkiego ekspresu.

– Kawy? – zaproponował. – Tej chyba nigdy nie odmawiacie? Zawsze przyjemniej rozmawia się, mając, czym przepłukać usta. Tym bardziej że zmarli nigdzie już nie uciekną.

– Ale żywi owszem – bąknął Deryło. – To ich boimy się najbardziej.

Patolog podstawił filizankę pod dyszel ekspresu, ale nie uruchomił maszyny. Tknięty uwagą komisarza, ciężko westchnął. Poprawił okulary i zawrócił do biurka, przy którym usiedli policjanci. Otworzył

górną szufladę, po czym wyjął z niej cieką teczkę. Otworzył ją i ostentacyjnie rzucił na blat.

– Macie przed sobą analizę porównawczą obrażeń denatów – oznajmił. – Rzadko to robię, ale w tym przypadku wydało mi się to intrygujące. W tej formie wszystko lepiej widać. Rozumiecie już, w czym rzecz?

Dmitris i Deryło jednocześnie pochylili się nad teczką. Po chwili wymienili porozumiewawcze, zaskoczone spojrzenia.

61

– Widzicie te punkty? – Gawiński zsunął okulary na czubek nosa i delikatnie się uśmiechnął. Przypominał teraz szczura po operacji plastycznej warg. – To zrosty kostne. Zaznaczyłem je na czerwono na schematach obu ciał.

– Chodzi o miejsca, w których dawniej były złamania? – upewnił się Deryło. – A do tego na tyle stare, że kości się zrosły i zewnętrznie praktycznie nie było po nich śladu?

– Pełna racja, komisarzu. Dodam, że statystycznie mniej, niż co drugi człowiek doznaje w życiu jakiegokolwiek złamania.

– A w tym przypadku statystykę diabli biorą – wtrąciła Dmitris. – Mamy dwie ofiary i łącznie siedem... nie, osiem złamań.

– Zgadza się. A poza tym kilka odprysków kostnych oraz innych śladów dawnych obrażeń, nad którymi nie będę się dłużej rozwodził.

Deryło odchrząknął. To był najczystszy absurd. Nie potrafił do siebie dopasować kolejnych elementów układanki, lecz ten orbitował poza sferą jakiegokolwiek sensu.

– Sprawca poluje na osoby, które miały złamania? – zagadnął, nie dowierzając. Gawiński momentalnie uniósł dłonie, nie chcąc brać udziału w domysłach, więc komisarz zerknął na Dmitris. – To marna

próbka, aby usiłować wyciągać konkretne wnioski, ale co na ten temat mówi twój profil?

– Mój profil w ogóle nie dopuszczał takiego scenariusza – przyznała policjantka. – Nigdy w życiu nie słyszałam o podobnym sposobie doboru ofiar.

– Chyba że właśnie „ofiara” to słowo klucz. Może... – Deryło nagle pstryknął palcami. – A jeśli to ślady dawnych napaści? Czy to możliwe?

Gawiński niechętnie ponownie przysunął się do biurka. Swoim zwyczajem położył dłoń na dłoni i zerknął na leżące obok opakowanie papierosów. Powstrzymał się przed sięgnięciem po jednego z nich.

– To prawdopodobne – odparł spokojnie, po chwili jednak mlasnął. – Obrażenia powstały mniej więcej w tym samym czasie, choć trudno dokładnie stwierdzić kiedy.

– Sprawca powracający po latach, by dopełnić swoje dzieło? – Dmitris nie była przekonana.

– Brzmi to mało logicznie, biorąc pod uwagę, że złamania mogą być raczej śladem tortur niż nieudolnej próby zabójstwa. A te raczej zostałyby zgłoszone...

Deryło przeczesał palcami krótkie włosy i westchnął. Miał wrażenie, że poruszają się kompletnie po omacku, a do tego ktoś rzucał im pod nogi piłeczki, o które mogli się potknąć. Lawirowali między nimi, czasem na nie stawali, ale przede wszystkim tracili czas, by uniknąć upadku.

– Chyba że istnieje jakiś rytuał łamania sobie kości? – głośno sformułował nagłą myśl. – Może mamy do czynienia z jakimiś wewnętrznymi porachunkami sekty? Złamana piszczel, kości goleniowe, kość strzałkowa... Istnieją południowoamerykańskie plemiona, w których próby bólu stanowią główne wyzwanie dla aspirującego wojownika.

– W tym przypadku mówimy o taksówkarzu i młodej kobiecie. – Dmitris sprowadziła go na ziemię. Zerknęła na Gawińskiego

i pochyliła się w jego stronę. – Czy wertował pan dokumentację medyczną Bartoka?

Lekarz pokręcił głową. Nie wytrzymał i wreszcie sięgnął po papierosa.

– Czekam na nią... Tak samo jak na rezultaty kwerendy obrażeń tej kobiety. Może dzięki nim uda się ją zidentyfikować. Ale to potrwa... Oczywiście niczego nie mogę przyspieszyć ani zagwarantować.

Gawiński wsunął papierosa do ust i odpalił go benzynową zapalniczką. Łapczywie się zaciągnął, po czym wypuścił ku sufitowi kłęb gęstego dymu. Zakaszłał.

– Nie omieszkam was poinformować jako pierwszych. Ale na ten moment nie mogę wam pomóc w niczym więcej. – Odkaszlnął raz jeszcze, po czym strzepnął popiół. – Przepraszam, muszę dalej taplać się w tym syfie...

Nagle oczy Deryły zabłysły. Komisarz niczym szalenciec coś mruknął i zerwał się do wyjścia.

62

– Taplać się w syfie, taplać się w syfie...

Komisarz powtarzał to raz za razem niczym opętany. Pędził korytarzami zakładu medycyny do wyjścia. Dmitris starała się za nim nadążyć i co chwilę podbiegała. Gawiński jedynie odprowadził ich zdziwionym spojrzeniem, ale nie zamierzał o nic dopytywać. Starannie zamknął drzwi do gabinetu i skierował się do sali sekcyjnej.

Tymczasem komisarz wypadł na dwór i głęboko wciągnął powietrze. Na jego policzki wystąpił rumieniec, a oczy lśniły jeszcze intensywniej niż przed chwilą.

– Prawda objawia się pod warstwą czystości, a nie brudu – wymamrotał, po czym dodał: – Ale pod nią też znika wraz z życiem.

– Tak, jeszcze to pamiętam. Co z tego?

– Od razu skądś kojarzyłem te słowa, ale dopiero teraz wiem z czym! Przecież to parafraza przemówienia któregoś z biblijnych proroków. Chodziło o zapowiedź nadejścia Syna Bożego, który zbawi świat, lecz dla grzeszników jego słowa okryje pył czy jakoś tak...

– Kojarzę scenkę, ale nie rozumiem nawiązania – stwierdziła Dmitris. – Chyba mam lepsze rozeznanie w mitologii greckiej niż chrześcijańskiej.

Deryło zatrzymał się nieopodal służbowego bmw. Potrząsnął kluczykami, obrócił się wokół własnej osi, po czym zatarł ręce.

– Brud może zmyć woda życia... – bełkotał. – Najpierw dokonuje się całopalenia, a potem obmycia szczątków... Właśnie to miała symbolizować balia, rozumiesz? Czerwona nitka nawiązuje do grobowca Racheli, ale nie chodzi o kabałę.

Komisarz nie miał czasu tłumaczyć Dmitris wszystkiego, co wyczytał poprzedniego dnia o znaczeniu nici oraz przypowieści biblijnej. Otworzył auto, ale nie wsiadł do środka. Zabębnił palcami o drzwi. Nagle się odwrócił i ponownie spojrzał na kompletnie zaskoczoną partnerkę.

– Komunikat przy pierwszej ofercie prowadził nas do drugiej, a przynajmniej zapowiadał, że taka będzie – oznajmił podekscytowany.

– Natomiast nic jest kolejnym elementem. Grób... Obmycie się w grobie! Cholera...

Sięgnął do schowka i wyjął z niego mapę samochodową. Rozłożył ją, oparł o maskę nieoznakowanego radiowozu, wreszcie zirytowany zmiął ją niczym śmieć.

– Masz na telefonie tę aplikację z mapą satelitarną? – zapytał, lecz nim Dmitris zdążyła odpowiedzieć, cicho zaklął. – Nie, to teraz całkowicie zbędne. Znajdziemy ją.

– Kogo? – dopytała policjantka. – Zaczнеш mówić jasno czy powinnam szukać środków na uspokojenie?

– Nie kogo, tylko co – poprawił ją komisarz. – Chodź, jedźmy szybko! Może sami ją znajdziemy. Albo nie... Lepiej dzwoń po wsparcie. Ściągnij do nas kryminalistów, strażaków i kogo tam dasz radę...

Dmitris uznała, że na razie nie ma sensu o nic dopytywać. Wsiadła do samochodu i przezornie natychmiast zapięła pasy. Tak jak się spodziewała, komisarz ruszył jak szalony.

63

– Dostaliśmy kilka map geodezyjnych oraz jakieś stare plany wojskowe – oznajmił Brzeski. – Nie pytajcie nawet, jakim cudem udało się je zdobyć, ale są na nich zaznaczone wszelkie obiekty infrastruktury technicznej.

– Studnie? – dopytał gorączkowo komisarz.

– Niestety, te raczej nie... Nie stanowią ujęć wody w ogólnym rozumieniu. Nie są powiązane z żadnymi instalacjami, a poza tym nie sędzę, żeby jakakolwiek znajdowała się na terenie jednostki wojskowej.

– Aspirant znacząco odchrząknął i łypnął na Dmitris. – Od jakichś trzystu lat studni nie używa się już jako elementu fortyfikacji, komisarzu.

– A niech to szlag, jak się ich używa. Jeśli nie element fortyfikacji, to nawodnienia. Szukajcie czegokolwiek, co mogło za nie służyć.

– Jasne.

Paru strażaków, technicy kryminalistyczni oraz policjanci ruszyli ze zniechęconymi minami w teren. Wszyscy znajdowali się wśród drzew, nieopodal betonowych budynków dawnej jednostki wojskowej. Deryło pośpiesznie zwołał naradę i w kilku zdaniach objął swój tok rozumowania. Być może bazował on na błędnych przesłankach, ale wydawał się całkiem prawdopodobny. Gdyby dokonywać interpretacji według klucza biblijnego, kolejne elementy prowadziły do grobowca,

a ten – według przypowieści – powinien znajdować się na odludziu i być wypełniony wodą. Skojarzenie ze studnią nasuwało się samo, choć mogło nie być akuratne.

Dmitris po krótkich wyjaśnieniach komisarza starała się dopasować je do tworzonych profili sprawcy. Owszem, racjonalnym było przyjęcie, że od jednej swojej ofiary kierował śledczych do następnej. W ten sposób działało wielu morderców. Znany był przypadek amerykańskiego zabójcy, który do kieszeni swoich ofiar wkładał karteczkę z inicjałami osoby, którą zabijał jako następną. Przykładów zresztą można było mnożyć. Mimo wszystko Dmitris najbardziej frasował fakt obrażeń przywołanych przez Gawińskiego. Jeżeli dwie dotychczas zamordowane osoby doznały złamań w mniej więcej tym samym czasie, mogło to stanowić uzasadnienie tego, by zginęły w podobnym czasie. Przynajmniej uzasadnienie w oczach szalonego sprawcy. Wszelkie rozważania sprowadzały się do liczby osób mających ze sobą te mgliste, niejasne powiązania. Te myśli pochłonięły ją tak bardzo, że niemal nie dostrzegała tego, co dzieje się wokół. Podążała za Deryłą, który z krótkofalówką w dłoni oczekiwał na kolejne meldunki. Te jednak nie nadchodziły.

Po ponad półgodzinie poszukiwań nadal nie trafiono na nic konkretnego. Komisarza zaczęło dopadać zniechęcenie i coraz częściej nerwowo wzdychał. Zmieniał kierunek marszu między drzewami, wchodził w wąwozy oraz jary. Gdyby las był większy, bez wątpienia już by się w nim zgubili. Tymczasem co rusz wychodzili na jeden z wydeptanych traktów, który zapewne prowadził w stronę któregoś z lubelskich osiedli lub do pobliskich wsi.

– Po czym wnioskujeś, że ta studnia znajduje się w zasięgu krótkiego marszu? – zapytała w końcu Dmitris. – Nawet jeśli masz rację, może chodzić o obiekt po drugiej stronie miasta albo w ogóle w innej części Polski.

Deryło pokręcił głową.

– On kieruje się przypowieścią o Racheli – stwierdził, siłąc się na to, by brzmieć jak najpewniej. – Porzucona budowa znajduje się dokładnie

o kilometr i sto metrów od bunkra, gdzie znaleźliśmy tę kobietę. Na bezludziu to zasięg wzroku – a dla judaistów grób musiał znajdować się w zasięgu wzroku od miejsca śmierci i miejsca życia rodziny. Po prostu stosuję ten sam klucz, choć nie wiem, jaki jest punkt wyjścia. Może on leżeć w połowie drogi między tymi miejscami...

– Albo być całkowicie gdzie indziej.

– Te elementy do siebie pasują, rozumiesz? Nie mamy nic innego.

– Liczymy na biblijny cud? Czy dopasowujemy poszczególne dowody do teorii, byle tylko nam pasowała?

Deryło nie odpowiedział. Gniewnie kopnął leżącą na drodze zaschniętą gałąź i skręcił w boczną, ledwie wydeptaną ścieżkę. Wtedy w jego krótkofalówce rozległ się szmer. Nagle dobiegło krótkie piknięcie oznaczające, że ktoś chce się połączyć. Deryło nacisnął czerwony przycisk odbioru i zwolnił kroku.

– Chyba coś mamy – odezwał się jeden ze strażaków.

– Czyżby cud? – Deryło wyszeptał do Dmitris. Następnie mocniej chwycił krótkofalówkę. – Mów, gdzie jesteście. Będziemy tam błyskawicznie.

64

Deryło i Dmitris bez problemu odszukali miejsce wskazane przez strażaka. Poszukiwania przebiegły tym łatwiej, że wysłał on oznaczenie swojej pozycji na telefon policjantki.

Ledwie kilka minut po zawiadomieniu przez krótkofalówkę Deryło dostrzegł kilku mundurowych. Chodzili między drzewami, spoza których wyłoniła się betonowa konstrukcja, ogrodzona metalową siatką.

– To cholerny zbiornik retencyjny – fuknął komisarz. – Dlaczego nikt o nim nie wiedział?

Niczym spod ziemi pojawił się przy nim Brzeski. Jak zawsze nienagannie ubrany, świeży i uśmiechnięty, teatralnie rozłożył dłonie.

– To inwestycja zakończona raptem kilka tygodni temu. Wcześniej znajdował się tu niewielki zamulony staw. Nikt o nim nie pomyślał...

– Na bezrybiu i rak ryba. A raczej zbiornik.

– W promieniu dwóch kilometrów nie ma tu żadnych konstrukcji przypominających studnie lub zbiorniki wodne – wtrącił jeden ze strażaków. – Chyba że wliczyć te znajdujące się na kilku prywatnych posesjach.

– Nie, nie... – Deryło niedbale machnął ręką. – To na razie nie wchodzi w grę. Przynajmniej do czasu.

– Aż? – zapytała Dmitris. Wysforowała się naprzód i przeszła przez furtkę, z której usunięto kłódkę. – Będziesz podążał za swoim instynktem, choćby prowadził cię na kompletne manowce?

Deryło łypnął na nią spode łba i wzruszył ramionami. Po chwili zatrzymał się tuż obok Sofii nad brzegiem zbiornika. Kilku strażaków wyposażonych w odpowiedni sprzęt – reflektory podwodne, radar i echolokator, właśnie schodziło do wody.

– Czy pozostało nam cokolwiek innego? – zapytał ponuro. – Jeśli masz jakikolwiek pomysł, proszę, powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja.

– Po pierwsze powinieneś skończyć z tym dowcipkowaniem na temat religii. To nie jest zabawne.

– Dowcipkowaniem? – Deryło rozbawiony spojrzał na Dmitris. – Czyżby znalazła się pani świętojebliwa? Ja jedynie cytuję mądrości, których wielu kościółkowych nie jest w stanie pojąć. To ty nazwałaś je mitologią.

– Proszę, skończ.

Dmitris zadziornie spojrzała na komisarza. Po raz pierwszy wymiana ich zdań przebiegała tak ostro i zmierzała ku, zdawać by się mogło, nieuchronnej katastrofie. Na szczęście w tym momencie z wody wynurzył się jeden ze strażaków. Podniósł maskę tlenową i delikatnie rzucił coś na brzeg.

– Kości! – krzyknął. – To wszystko, co mamy, ale jest ich kilka.

W stronę znaleziska natychmiast ruszyło dwóch techników. Deryło po raz kolejny łypnął na Dmitris i skierował się w ich stronę. Wśród zgromadzonych przemknął szmer podekscytowania. Wtem jeden z kryminalistyków wyprostował się znad wyłowionej kości i pokręcił głową.

– To resztki truchła jakiegoś zwierzęcia. Obstawiam małą sarnę.

Deryło stanął jak wryty. Wciągnął przez zęby powietrze i momentalnie zawrócił.

– Nie ma tam nic więcej? – zapytał strażaka, który właśnie zdejmował kombinezon. – Na pewno?

– Niestety, panie komisarzu...

– Niech to szlag.

Szybkim krokiem ruszył w głąb lasu, do miejsca, gdzie zaparkował samochód. Zostawił w nim telefon komórkowy, a nagle ogarnęło go przecucie, że ten bardzo mu się przyda. Miał niemal fizyczną potrzebę sprawdzenia ewentualnych wiadomości. Złe przecucie narastało z każdym krokiem, dlatego niemal biegł. Kilkadziesiąt metrów przed autem dogoniła go Dmitris, ale komisarz nawet na nią nie spojrzał. Pochylił głowę i jeszcze przyśpieszył kroku.

– Przepraszam – bąknął, chwytając klamkę. Otworzył drzwi i natychmiast sięgnął do schowka.

Komórka leżała tam, gdzie ją zostawił. Przed kilkoma minutami dzwonił do niego doktor Gawiński. Dwukrotnie, co zdarzało się tylko w najpilniejszych sytuacjach.

– Jeśli każesz mi teraz przyjeżdżać do zakładu medycyny, przyjadę tam, ale obiecuję, że zatłukę cię bez oglądania się na twój wiek oraz

nasze dotychczasowe doświadczenia. Rozumiesz?

– Wie pan, że groźby nie robią na mnie najmniejszego wrażenia?

– A ich spełnienie?

Pytanie Deryły zawisło na linii. Komisarz zerknął na Dmitris i widząc jej karcące spojrzenie, przepaszająco przewrócił oczami. Ponosiło go. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę i wstydził się tego. Nie powinien powiedzieć tego wszystkiego, co palnął przy zbiorniku retencyjnym. Właściwie nie miał pojęcia, dlaczego to zrobił. Od początku Dmitris przypadła mu do gustu, a jednak jakiś element jego osobowości nakazywał mu trzymać ją na dystans. A nawet robić wszystko, by zrazić ją do siebie. Z Gawińskim zresztą bywało tak samo.

– Wybacz – mruknął, nieco łagodniejąc. – Chyba to wszystko zaczyna mnie przerastać.

Po raz pierwszy zdobył się na takie wyznanie i natychmiast tego pożałował. Był typem mężczyzny, który wyznawał zasadę, że wyznania można czynić co najwyżej do lustra.

– Chrzanić mnie – ciągnął. – Chodzi o czas. Jeśli masz coś ważnego do powiedzenia, zrób to teraz i nie bawmy się w kota i myszkę. Proszę.

– To rezultat wypadku – bąknął Gawiński *ad hoc*.

– Nie, nie... – Deryło gorliwie zaprzeczył. – Nic mi się nie stało, po prostu mam od cholery roboty, a ta kobieta...

– Przestań myśleć o sobie – przerwał mu kategorycznie patolog. – Chodzi o te zamordowane osoby. Kobieta oraz mężczyzna mieli obrażenia powstałe na skutek wypadku drogowego.

– Co takiego?

Komisarz dał znać Dmitris, by weszli do auta i przełączył telefon na tryb głośnomówiący. Skoro doktor zaczął mówić sam z siebie, on również wolał zaoszczędzić czas na powtarzaniu jego słów.

– Przeanalizowałem dokładnie charakter tych złamań oraz odprysków kostnych – mówił Gawiński. – Swoją drogą dzień dobry ponownie, panno Dmitris.

– Pani Dmitris – poprawiła go Sofia. – I ten dzień, nie taki dobry...

– Oho, widzę macie podobne humory.

– Przebywamy ze sobą od samego rana.

Lekarz cicho się zaśmiał, po czym wrócił do podjętej relacji.

– Charakterystycznym skutkiem wypadków komunikacyjnych są złamania piszczeli, uszkodzenia kolan oraz kości biodrowych. Poza tym u kierowców występują rozmaite urazy nadgarstków i kości przedramiennych. Oczywiście to rezultat odruchowego zaparcia się o kolumnę kierownicy...

– I właśnie takie obrażenia mieli Bartok oraz ta kobieta? – Deryło wymienił z Dmitris skonsternowane spojrzenia. – Czy wiemy coś o wypadkach, w których brali udział?

Gawiński głośno siorbnął, upijając jakiś napój.

– Niebawem powinienem wreszcie otrzymać dokumentację medyczną tego mężczyzny – oznajmił. – Wydaje mi się, że może ona przynieść więcej ciekawostek, niż się spodziewamy, ale oczywiście na razie to głównie wróżenie z fusów. Ponownie składamy nasze losy w ręce statystyki.

– Wykorzystaliśmy dziś pulę błędów – wtrącił Deryło. – Swoją drogą skoro mowa o wypadkach oraz obrażeniach z nimi związanych...

– Na razie tylko potencjalnie – wtrącił Gawiński.

– Jednak zakładając, że okaże się to prawdą... Czy na tej podstawie moglibyśmy zidentyfikować tę kobietę? Przeprowadzając to na odwrót niż zwykle, czyli od ewentualnego wypadku do osoby...

– Myślę, że nie będzie trzeba aż takiej ekwilibrystyki, komisarzu. Charakter obrażeń jest na tyle indywidualny, a jednocześnie mieszczący się w pewnym schemacie, że również w tej kwestii liczę na rychły zwrot informacji z bazy danych.

– Jak długo trwa owa „rychłość”?

– Też pragnąłbym, by trwała jak najkrócej. Zapewniam pana.

Po tych słowach Gawiński bez pożegnania się rozłączył.

– Po jaką cholere morderca miałyby kierować się kluczem osób, które odniosły obrażenia w wypadkach? Słyszałaś o czymś podobnym?

Deryło jechał bardzo powoli, uważając, by nisko zawieszone auto nie wpadło do którejś z ogromnych wyrw w leśnej nawierzchni. Mimo jego manewrów pojazdem co rusz wstrząsało niczym na off-roadzie.

Odkąd Gawiński się rozłączył, Dmitris pograżyła się w rozmyślaniach. Po jej chwilowej złości na komisarza nie było już śladu. Pozostało jedynie bezgraniczne, jednak najwyraźniej również bezefektywne skupienie.

– Nie jestem w stanie tego pojąć – odezwała się po chwili. – Ale nie tylko dlatego, że chodzi o wypadki... Po prostu zbieżności jest zbyt wiele.

– Zbieżności? Chyba masz na myśli różnice?

– Właśnie nie. Jeszcze niedawno nie mieliśmy punktów wspólnych lub uważaliśmy je za robione na wyrost. Tymczasem oprócz jakiegoś mianownika religijnego pojawia się kwestia wypadku.

– Co w tym dziwnego?

Dmitris mlasnęła i oparła głowę o szybę. Przez chwilę zdawało się, jakby chciała wytrwać w bezwładnej pozycji, w której podskakiwała w fotelu niczym szmaciana lalka.

– Wiem, że uważasz statystykę za naukę dla desperatów szukających porządku w chaosie – stwierdziła. – Ale wiem również, że są pewne schematy, które nigdy nie znajdują odstępstw.

– Albo prawie nigdy – zauważył Deryło.

Dmitris ponownie się wyprostowała i zagryzła wargę.

– Nie. Statystyka pokazuje, że ofiary powinny mieć jedną cechę wspólną, a każda kolejna jest jedynie stygmatem sprawcy.

– Chyba nie rozumiem.

– Chodzi o to, że na pewnym etapie sprawy spogląda się na ofiary mordów przez pryzmat mordercy. Tak jakbyś oglądał świat przez

przeźrocze aparatu. Czasem różnica bywa subtelna, ale zawsze istnieje.

– Twierdzisz, że sprawca mógł kiedyś doprowadzić do wypadków, by nimi naznaczyć przyszłe ofiary? To przecież bez sensu.

– Albo mógł stworzyć wokół nich całą otoczkę religijną. Symbole, całuny, charakter zadawania śmierci...

– Aby?

– No właśnie – parsknęła Dmitris. – Nie mam zielonego pojęcia. A jeżeli to zrozumiemy, mam wrażenie, że nie tylko zrozumiemy sprawcę, ale również będziemy mogli go dorwać. To równie ważne, co poznanie jego imienia i nazwiska.

Deryło, słysząc w głosie partnerki lekką nutę pompatyczności, delikatnie się uśmiechnął. Wydawało mu się, że to wyjątkowo życzeniowe rozumowanie, lecz postanowił tego nie komentować. Sprawa z pewnością była nad wyraz złożona, a liczba zmiennych zawsze zaciemniała obraz śledztw. Najprostsze z nich wiodły od zwłok, przez młotek oraz rozbity kieliszek, do leżącego w pobliżu pijaka. Abstrahując od tego, że i w tym równaniu mogły pojawić się niewiadome oraz ślepe tropy.

A Ewa? Jej śmierć nie była przypadkowa, choć wszyscy starali się mu to wmówić. Kierowca ciężarówki, który w nią wjechał, zbiegł z miejsca zdarzenia. Nigdy go nie odnaleziono, a spedytor nie potrafił pomóc w jego zidentyfikowaniu. Tłumaczył się błędami w dokumentacji, która okazała się sfałszowana. Przez kogo i po co? Oficjalnie uznano, że chodziło o oszustwa podatkowe oraz zatrudnienie na czarno. To było owym najłatwiejszym wytłumaczeniem wiodącym od zwłok przez młotek do sprawcy. Deryło nie miał jednak wątpliwości, że w tle kryły się pieniądze oraz łapówka. Nie potrafił tego udowodnić, lecz przeczucie było tak mocne, iż graniczyło z pewnością. Niestety prowadzone przez niego na własną rękę śledztwo utknęło w martwym punkcie. Jego kontynuowanie mogło zakończyć się wyrzuceniem ze służby, co zresztą nie wydawało mu się najgorsze. W międzyczasie spedytor popełnił budzące

wątpliwości samobójstwo i nagle zabrakło jakichkolwiek osób mogących naprowadzić go na trop sprawcy. Kierowca zapewne również zginął lub wrócił na Ukrainę bądź Białoruś. Krótko mówiąc, przepadł jak kamień w wodę.

Z zamyślenia komisarza wyrwało piknięcie komórki. Nie odrywając wzroku od drogi, wyjął ją i odblokował. Łypnął na ekran. Wiadomość nadana przez Gawińskiego była bardzo krótka.

„Zidentyfikowałem ją”.

Gdy jeszcze trzymał telefon w dłoni, nadszedł kolejny esemes. Równie lakoniczny jak pierwszy, ale o znacznie bardziej wymownej treści.

67

Zgodnie z rozkazem Deryły Nowak oraz Brzeski mieli na niego czekać w sali konferencyjnej komendy. Gdy się w niej wreszcie znalazł, wszystko było przygotowane. Tablica z markerami, stosy wzorowo posegregowanych przez posterunkową dokumentów, mapa z zakreślonymi miejscami istotnymi dla śledztwa, nawet rzutnik i podpięty do niego laptop. Najwyraźniej wybrano zbędny przepych, byle tylko nie narazić się na złość komisarza.

– Wydrukowaliście to, co przesłał Gawiński?

Nowak bez słowa sięgnęła po jedną z teczek i podała ją Deryle. Komisarz pośpiesznie ją otworzył, wyjął kilka kartek, po czym zaczął pobieżnie je czytać. Już w drodze Dmitris pobrała zawartość załączników maila wysłanego przez patologa. Dzięki temu mogli natychmiast przystąpić do burzy mózgów.

– Sonia Rita – odczytał komisarz. – Czy jesteśmy pewni, że w tym przypadku Sonia to imię, a Rita nazwisko?

– Sprawdziłam to w rejestrze – potwierdziła Nowak.

– Poza tym rachunek prawdopodobieństwa każe...

Brzeski urwał w pół zdania, widząc wściekły wzrok Deryły. Rachunki prawdopodobieństwa oraz statystyka działały teraz na niego niczym płachta na byka. Miał jednak w tym momencie na głowie coś poważniejszego od łajania podwładnego.

– Dwadzieścia cztery lata, niezamężna, niekarana – zreferował. – Studiowała w szkole teatralnej, zdobyła nawet kilka nagród, ale nagle coś się wydarzyło. Rzuciła aktorstwo, zerwała większość kontaktów, zaczęła zadawać się z nowym towarzystwem. Z grzecznej dziewczynki stała się got...

– Gotką – wyjaśnił Brzeski. – To taka subkultura, z której wyrasta większość dzieciaków w wieku, gdy ona dopiero się nią zainteresowała. Rzępolenie, fascynacja śmiercią, czarne worki pokutne... To niczym ich dekalog. Ale ogólnie z doświadczenia wiem, że to bardzo porządni ludzie.

Deryło nie zwrócił uwagi na jego ostatnie zdanie. Przełożył kilka kartek, po czym przyjrzał się wydrukowanym zdjęciom. Pochodziły z kont internetowych w mediach społecznościowych kobiety. Rzeczywiście można było na nich zaobserwować zaszłą zmianę. Z zafascynowanej aktorstwem ładnej, ale nieco szaromyszowatej blondynki, zmieniła się w czarnowłosego wampa pozującego na tle mrocznych plakatów.

– Zdobyliście namiary na jakichś znajomych? – zapytała Dmitris, która dotąd w milczeniu zerkała komisarzowi przez ramię. – Myślę, że powinni nam co nieco powiedzieć o denatce... Tym bardziej że na wielu fotografiach pozowała z tymi samymi osobami.

– Już ustalamy na nich namiary – odparł Brzeski.

– ViSir obiecał dostarczyć konkrety w ciągu paru godzin – dodała Nowak. – Nie sprecyzował, czy parę to dwie, czy więcej.

Deryło z politowaniem zerknął na posterunkową, lecz po chwili ponownie pochłonięty go zdjęcia oraz dokumenty. Przeglądał je przez kolejne kilka minut, a nikt nie odważył się w tym czasie odezwać.

– Oczywiście raport Gawińskiego wiele tłumaczy – stwierdził wreszcie. – Nawet jeżeli miałbym znowu użyć tego słowa... – Zerknął na Dmitris, po czym dodał: – Statystyka jest nieubłagana, prawda? Chyba nie możemy mówić o zbiegu okoliczności?

– Raczej nie – przyznała komisarz.

– Właśnie. Wobec tego chyba powinniśmy przejść do tego, co zdaje się, że wszyscy uważamy za najważniejsze. Jakkolwiek by to nie brzmiało.

Brzeski oparł się o ścianę i cicho gwizdnął. W tym czasie Nowak sięgnęła po kolejną teczkę, a następnie uroczyście przekazała ją Deryle.

– Tu jest wszystko, co udało się nam zdobyć, zanim wrócił pan do komendy.

– Zanim wróciliśmy. – Komisarz poprawił ją, spoglądając na Dmitris. Tym samym w tej ponurej chwili oficjalnie z jego namaszczenia awansowała na członka zespołu. – Nie dziękuj ani się nie rozczulaj. Po prostu przejdźmy wreszcie do sedna...

68

– Zmiana w życiu Soni Rity vel Rity Soni nastąpiła po wypadku samochodowym, w którym brała udział. – Deryło rzucił dokumenty na biurko i powiódł wzrokiem po zebranych w sali konferencyjnej. – W tym swym wypadku brał udział Witold Bartok, co w niezaprzeczalny sposób łączy obie ofiary...

– I zarazem nie daje żadnych odpowiedzi – stwierdziła Nowak. – Bartok oraz Rita odnieśli w wypadku obrażenia, ale jest też trzecia osoba. Pieszcy.

– Właśnie. – Brzeski pstryknął palcami i zbliżył się do tablicy. Najwyraźniej chciał pokazać, że odrobił swoją pracę domową. – Auta

Bartoka oraz Rity zderzyły się tak niefortunnie, że forda tej kobiety zarzuciło na pobocze. Wówczas skosiła idącą nim pieszą. Kobiecie dosłownie urwało rękę oraz zmiażdżyło kawał miednicy. Co ciekawe, gdy przyjechało pogotowie, jeszcze żyła. Sonia Rita, mimo połamanych nóg, dowlekła się do niej i usiłowała ją reanimować.

– Tymczasem Bartok stracił przytomność, a jego auto zaczęło się palić. Wyciągnął go z niego przypadkowy świadek. Całe szczęście, że Bartok jechał wtedy bez pasażera, bo tył taksówki zaliczył latarnię i został kompletnie zmiażdżony.

– Fart w niefarcie – dodał aspirant.

– Ano – skwitowała Nowak.

Deryło wysłuchał ich relacji i zerknął na Dmitris. Kobieta przygryzła usta, ale nic nie powiedziała. Przez dłuższy moment w pomieszczeniu panowała cisza mącona jedynie buczeniem klimatyzatora. Wreszcie komisarz podszedł do tablicy, nakreślił na niej wielki znak zapytania i odwrócił się do reszty.

– Żadnych koncepcji? – zapytał. – Naprawdę?

– W wypadku nie brały udziału żadne inne osoby ani pojazdy – rzuciła Dmitris. – Ale chyba nie widziałam wyroku karnego...

– Nie przesłano go nam – natychmiast wytłumaczyła się Nowak. – Jednak mamy wydruki z rejestrów karalności. Wynika z niego, że żaden z kierowców nie był pod wpływem alkoholu ani innych używek. O spowodowanie wypadku oskarżono Sonię Ritę, lecz ze względu na ogół okoliczności wyrok był dosłownie symboliczny.

– To wszystko co wiemy?

Nowak zerknęła na Brzeskiego, a ten ukradkiem skinął do niej głową.

– Mów – szepnął.

Posterunkowa odchrząknęła. Zauważyła, że Deryło dostrzegł ich interakcję, przez co nie miała wyboru.

– Wiem, że to nie najlepsze źródło informacji... – odezwała się z ociąganiem. – Ale, jak to mówią, rydz jest lepszy niż nic, więc...

– Wyrzuć to z siebie – rzucił ostro komisarz. – Mów!

– Sprawdziłam doniesienia prasowe – wyjaśniła Nowak natychmiast.
– W internetowym wydaniu dziennika jest wzmianka o tym wypadku i przypuszczalnej wersji jego przebiegu.

– Jaka to wersja?

Deryło zacisnął szczęki i siląc się na cierpliwość, niemal złamał trzymany marker.

– Rita minimalnie przekroczyła prędkość, co uznano za pośrednią przyczynę. Główną była gałąź, którą wichura zvaliła na drogę tuż przed nią. Musiała ją wyminąć, wpadła w poślizg i zaliczyła czołówkę z Bartokiem. A potem poszło już jak w dominie. Zwykły pech.

– Pech...

Deryło westchnął. Odłożył marker do rynienki i przeszedł w tę i z powrotem w poprzek sali. W pewnym momencie, gdy minął Brzeskiego, szeroko otworzył oczy. Spojrzał na aspiranta, chwycił go za kołnierz i przyciągnął do siebie. Głęboko wciągnął powietrze.

– Co pan wyprawia? – Brzeski usiłował uwolnić się z uścisku, a pozostała dwójka – przekonana, że Deryło zwariował – rzuciła się aspirantowi na ratunek.

69

– Jakich perfum używasz?

Pytanie kompletnie zaskoczyło Brzeskiego. Cofnął się, nie mając już żadnych wątpliwości, że pod wpływem stresu komisarzowi pękło jakieś istotne naczynie w mózgu. Nowak przyjęła postawę służbową, obserwując rozwój wydarzeń. Jednak słowa Deryły sprawiły, że Dmitris nagle dopadła do wydrukowanych akt i zaczęła je kartkować.

– Myślisz o tym samym co ja? – zagadnął komisarz. – O intensywnej mieszance zapachów?

Dmitris kiwnęła głową. Przeglądała kolejne stronicę, aż nagle zastygła w bezruchu. Wskazała palcem jakiś fragment tekstu.

– Mamy go – oznajmiła. – To niemożliwy przypadek...

– Każdy przypadek jest możliwy – odparł komisarz filozoficznie i stanął tuż przy niej. Zerknął na dokument, po czym głośno mlasnął.

– Ale rzeczywiście, to... Znamienne? Użyłabyś tego słowa?

Brzeski zerknął na Nowak, ale ta przysłuchiwała się rozmowie Deryły i Dmitris z równym zdziwieniem co on. Jej wewnętrzny regulamin najwidoczniej nie przewidywał zadawania w podobnych chwilach pytań. Wytrzeszczyła oczy, rozdziawiła usta, lecz milczała. Aspirant jednak nie zamierzał czekać na wyjaśnienia ani chwili dłużej. Podszedł do biurka i zerknął na dokument wyjęty przez Dmitris z teczki.

– Protokół oględzin miejsca zdarzenia? – zapytał. – O co chodzi? Wiem, że mój zapach może być inspirujący, ale że aż tak?

– Wytłumacz im. – Deryło rzucił do Dmitris, a sam wybrał w telefonie jakiś numer. Przytknął komórkę do ucha i mamrocząc coś pod nosem, czekał na połączenie.

Komisarz kiwnęła głową. Przesunęła teczkę z dokumentami i usiadła na skraju biurka. Odruchowo założyła za ucho pukiel włosów.

– Rozmawialiśmy z mężczyzną, który zamówił taksówkę potencjalnemu sprawcy – wyjaśniła. – A przynajmniej komuś, kto miał na pieńku z Bartokiem i komu zależało, aby to właśnie on wykonał kurs.

– Tak, widziałem to w raporcie – przyznał Brzeski, kątem oka obserwując Deryłę. – Ale jak to się ma do mojego zapachu?

– Lorenc zwrócił uwagę, że tamten mężczyzna nietypowo pachniał. To mogło być nieistotne, ale mieszanka aromatu drzewa sandałowego z miętą rzeczywiście mogła zwrócić uwagę.

– Dalej nie rozumiem.

– To proste, o ile się dostrzeże pewien klucz. Swoją drogą sprawdziłam w internecie i nie ma takiej mieszanki perfum, gdyż te

aromaty po prostu się gryzą. Dlatego zapewne chodziło o dwa źródła zapachu...

Brzeski utkwiał spojrzenie w Dmitris. Deryło właśnie zaczął z kimś rozmawiać, lecz wyjaśnienia komisarz wydawały mu się znacznie bardziej interesujące.

– Dwa źródła. – Dmitris uniosła dwa palce, po czym jeden opuściła.

– Perfumy o zapachu drzewa sandałowego, to po pierwsze. A po drugie, maść tłumiąca nieprzyjemne aromaty.

– Co takiego? – wybełkotała kompletnie skołowana Nowak. – Przepraszam, to brzmi jak rebus...

– Technik kryminalistyki Wiktor Krug – odezwał się nagle Deryło. Zakończył już rozmowę telefoniczną i poprawił marynarkę. – Zwróciliśmy uwagę, że używa mocnych perfum i odruchowo zawsze w trakcie pracy smaruje się maścią miętową. Był na miejscu obu zbrodni, a wcześniej pracował przy wypadku z udziałem Rity i Bartoka. Tyle że parę godzin temu zwolnił się i podobno nagle pojechał do domu... Nie patrzcie tak na mnie. Mam jego adres.

70

– Knap albo prokurator będą ci suszyć głowę. Powinieneś ich o tym zawiadomić...

– Suszyć głowę? – Deryło się uśmiechnął. – Podoba mi się twoje stonowanie. Powiedziałbym raczej, że zrugają mnie jak burą sukę.

– Zrugają? Nie powiem, żebyś i ty wyrażał się według powszechnie przyjętych standardów.

– Brzydzą się przekleństwami używanymi przez większość Polaków. Powszechną kurwę można zastąpić koćpiergałą.

– Że co?

– Metresa, córa Koryntu...

Komisarz zerknął na ekran nawigacji. Wiktor Krug mieszkał w niewielkim apartamentowcu w pobliżu miasteczka akademickiego. Dotarli tam w niespełna kwadrans, odkąd wyjechali z parkingu komendy. Deryło pędził na sygnale, lecz stanowczo odmówił prośbie Dmitris, by powiadomić przełożonych. Dlatego nie mieli żadnego wsparcia, a o całej akcji wiedzieli jedynie Brzeski oraz Nowak. Komisarz argumentował to mglistością poszlak i potencjalnie niskim niebezpieczeństwem.

– Chcesz tam po prostu wejść i z nim porozmawiać? Poprosić o buteleczkę ostatnio używanych perfum?

– Jeszcze nad tym nie myślałem. Lubię improwizację.

Dmitris pokręciła głową i odruchowo dotknęła kabury. Rzadko nosiła przy sobie broń, ale teraz od razu poczuła się z nią bezpieczniej.

– A obawiałam się, że w Lublinie będzie nudno.

– Nudno? W ciągu ostatnich pięciu lat grasowało tu więcej seryjnych morderców niż w reszcie Polski razem wziętej... A pewnie i w całej Europie.

Deryło wyłączył syreny i ostatnie kilkadziesiąt metrów pokonali bez zbędnej pompy. Zatrzymał auto niemal na środku chodnika, po czym ruszył ku głównemu wejściu do budynku. Dmitris pobiegła za nim.

– Jest portiernia... – Komisarz nacisnął przycisk domofonu. Po chwili odezwał się w nim starczy głos. – Proszę nas wpuścić. Policja.

Rozległ się brzęczyk, po czym policjanci wpadli do przestronnego holu. Deryło natychmiast skierował się do sędziwego portiera łypiącego to na nich, to na ekran telewizora zawieszzonego obok recepcji.

– Czy Wiktor Krug jest w mieszkaniu? – zapytał komisarz.

– Chyba tak... – odparł portier. – Nie prowadzę księgi wejść oraz wyjść, ale zdaje się, że jakiś czas temu go widziałem.

– Numer mieszkania?

– Słucham?

– Jaki numer ma jego mieszkanie?

Portier kiwnął głową i wskazał dłonią w głąb korytarza.

– Trzy. Parter, w rogu budynku.

Deryło, podobnie jak Dmitris, przezornie odpiął klapkę kabury i ruszył we wskazanym kierunku. Gdy znaleźli się przed drzwiami z ozdobną mosięzną „trójką”, energicznie zapukał. Odpowiedziała mu głucha cisza. Zapukał raz jeszcze i przez kilka sekund nasłuchiwał.

– Nic...

Nacisnął klamkę i ku jego zdziwieniu drzwi ustąpiły. Zerknął na Dmitris, po czym dał jej na migi znać, by go osłaniała. Pchnął szerzej drzwi. Zobaczył fragment pełnego obrazów korytarza oraz znajdujący się naprzeciw wejścia jasny salon.

– O kurwa! – krzyknął, zapominając o koćpierałach oraz o swoim wyznaniu sprzed paru minut.

Nie zważając na ryzyko, rzucił się do środka mieszkania. Dmitris wyciągnęła pistolet i natychmiast podążyła za nim.

71

– Wzywaj karetkę! Szybko!

Deryło nachylił się nad mężczyzną leżącym na biedermeierowskiej eleganckiej sofie. Krug miał szeroko otwarte oczy, z których uleciał już blask życia. Lekko rozwarte usta zdawały się zastygnięte w trakcie mówienia. Obie ręce zwieszały się z oparcia, a pod nimi zebrała się wielka plama krwi.

Mężczyzna miał wysoko podwinięte rękawy, które odsłaniały dwie długie rany prowadzące wzdłuż przedramion. Rozprute żyły oraz ścięgna były widoczne pomiędzy warstwami skóry. Na podłodze leżała brzytwa z drewnianą rączką oraz długim ostrzem. Była otwarta na pełną szerokość.

Już na pierwszy rzut oka Krug był martwy, lecz Deryło odruchowo dotknął jego szyi, by sprawdzić puls. Kiedy tylko to zrobił, ciało

straciło punkt oparcia i zważyło się z sofy na podłogę.

– Szlag...

Komisarz się cofnął i zerknął na Dmitris. Kobieta właśnie schowała telefon. Uklęknęła, by lepiej przyjrzeć się martwemu mężczyźnie. Przeniosła wzrok z jego bladej twarzy na plamę krwi, a potem znów na Kruga.

– Samobój? – parsknął Deryło. – Uwierzyłabyś w to?

– Nie wiem.

– *A modus operandi?*

Dmitris podniosła się i spojrzała na zwłoki z odległości kilku kroków. Kątem oka dostrzegła, że przy drzwiach przesunął się czyjś cień. Gwałtownie się odwróciła i zmierzyła się wzrokiem z portierem. Starzec stał jak wryty, z pękiem kluczy w ręce. Miał rozdziawione usta, a jego oczy zdradzały bezgraniczne zdumienie.

– Proszę się cofnąć. Niech nikt nie wchodzi do tej części korytarza – zastrzegła Dmitris. – Poza tym niech pan czeka na przyjazd innych służb. Proszę zabezpieczyć monitoring...

– Ale...

Starzec zamrugnął, lecz nadal się nie poruszył. Przypominał bajkowego klucznika zamienionego w figurę z kamienia. Zdawało się nawet, że nie oddycha.

– Proszę to zrobić jak najszybciej! – Dmitris nakazała bardziej stanowczo. – To bardzo ważne.

Portier nagle drgnął i kiwnął głową. Jeszcze raz zerknął w głąb mieszkania, jakby miał nadzieję, że dostrzeże coś innego niż przed paroma sekundami, a następnie, szurając butami, ruszył w stronę recepcji. Komisarz się odwróciła i dostrzegła, że Deryło szuka czegoś w kieszeni. Po chwili wyciągnął opakowanie chusteczek. Obrócił je między palcami, jakby dotykał bezcennego okazu sztuki. Dmitris zmrużyła oczy.

– Co się stało? – zapytała, widząc, że komisarz ostrożnie nachyla się ku zwłokom. – Co robisz, u licha? Chcesz dopisać kolejne przewinienie do całej listy swoich dzisiejszych wykroczeń?

Deryło bardzo powoli sięgnął do kieszeni Kruga i przez chusteczkę wyciągnął z niej złożoną na cztery części kartkę. Zaintrygowany położył ją na stoliku, po czym nadal używając chusteczki niczym rękawiczek, rozgiął kolejne rogi. Dmitris, nie mówiąc nic więcej, stanęła tuż przy nim i w napięciu obserwowała kolejne poczynania komisarza. Ten obrócił kartonik z zapisaną na nim krótką wiadomością. Przebiegł ją wzrokiem i zerknął na partnerkę.

– Czyżbym niedawno wspominał o *modus operandi*? – sarknął ponuro.

72

– Gdyby podążać za tokiem rozumowania Kruga, można by dojść do zaskakujących wniosków. – Deryło ugryzł ogromnego burgera i obserwował, jak Dmitris z konsternacją spogląda na swojego. – Wyglądasz, jakbyś nigdy nie jadła fast fooda.

– W zasadzie to nie byłoby kłamstwem.

– Wyrosłaś pod kloszem? W jakimś laboratorium? A może importowali cię z tej Macedonii razem z przekonaniem, że je się tylko baranie kebaby?

– Tam też są burgery. Ale wyglądają nieco atrakcyjniej.

Dmitris z samobójczym błyskiem w oczach wgryzła się w opływającą sosem bułkę. Ostentacyjnie zaczęła przeżuwać kąsek, jakby dokonała właśnie czegoś nad wyraz bohaterskiego. Przełknęła go i popiła colą. To był jej kolejny tryumf. Choć lokal nie prezentował się zanadto elegancko, a jedzenie podawano na tekturowych tackach, musiała przyznać, że było zaskakująco dobre. Wzięła kolejny gryz, przy czym delectowała się nim znacznie dłużej niż pierwszym.

– Widzisz? – Deryło otarł usta serwetką i się uśmiechnął. – Od tego się nie umiera.

– Dostaje się jedynie niestrawności?

– Po to pijesz colę. Trucizna wraz z remedium. To starożytny sposób radzenia sobie z fast foodami. W Polsce zapijamy je czasem wódką, ale to temat na inną rozmowę... Osobiście nie cierpię czystej.

Dmitris wypila niemal całą zawartość sporego kubka. Gdy zaczęła siorbać, odstawiła go i umoczyła frytkę w keczupie.

– Zanim podekscytowałeś się obserwowaniem tego, jak jem, mówiłeś o podążaniu tokiem rozumowania Kruga i zaskakujących wnioskach – przypomniała.

– Powiedziałem, że „gdyby podążyc” za tym tokiem rozumowania. Ale wydaje mi się to niemożliwe. – Deryło sięgnął po telefon i otworzył zdjęcie kartki, którą znalazł w kieszeni mężczyzny. – „Chciałem zbawić świat od przypadku. Nadszedł czas zbawić siebie” – przeczytał.

– Tym przypadkiem był oczywiście wypadek samochodowy.

– Mówisz, jakbyś nie miała co do tego żadnych wątpliwości... Ale niech będzie.

– W takim razie o jakie zbawienie chodzi? A raczej kogo chciał zbawić?

– Ty mi to powiedz. – Deryło zerknął na smukłą kelnerkę, która postawiła tacę z zestawem przekąsek na stoliku obok. Uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała sympatycznym uśmiechem. Kiedy tylko kobieta odeszła, ponownie zwrócił się do Dmitris: – Zajmujesz się tworzeniem profili, masz pojęcie o psychologii, a pewnie nawet o psychiatrii...

– I w tym tkwi szkopuł. Choć z Krugiem zamieniłam łącznie kilka zdań, nie zauważyłam, by wyglądał na szaleńca. – Dmitris splotła ręce i przyłożyła czubki palców do podbródka. – Działał bardzo wyrachowanie. Nawet to smarowanie maścią miało znamiona rytuału, choć wbrew pozorom właśnie tacy ludzie bywają bardzo nieprzewidywalni. Tyle że nadal nie rozumiem, po co? Na kartce wyłuszcza swoje motywacje w taki sposób, że nie sposób go pojąć. Szaleńcy jednak nader rzadko starają się tłumaczyć...

– Może to wyznanie, a nie tłumaczenie.

Sofia opuściła dłonie i uważnie spojrzała na komisarza.

– Co przez to rozumiesz?

– Napisał, że „chciał” zbawić świat. Pomiędzy „chcieć coś zrobić” a „coś zrobić” jest wyraźna różnica.

– Może... Poza tym to wygląda trochę, jakby obwiniął samego siebie. Aby się zbawić, trzeba mieć od czego... – Dmitris nagle zagryzła usta i cicho cmoknęła. – A jeśli to element gry? Nawet po jego śmierci ktoś w niej uczestniczy? Przyjmijmy, że miał jakiś związek z wypadkiem albo że ten wcale nie był przypadkowy.

– Naprawdę chcesz dywagować? Powinniśmy poczekać na analizy kryminalistów oraz...

Ekran leżącego przed Deryłą telefonu się podświetlił. Po chwili pojawił się na nim numer dzwoniącego, który nie był przypisany do żadnego kontaktu. Komisarz przez chwilę się wahał, wreszcie odebrał i przyłożył komórkę do ucha.

– Halo?

– Dzwonię ze szpitala – odezwał się smętny damski głos. – Obawiam się, że jeśli chce się pan pożegnać z panią Haler, jest na to ostatni moment...

73

Deryło mglistymi półsłówkami przeprosił Dmitris i wypadł z baru. Nie zważając na nagięcie procedur, nawet nie zastanawiał się nad użyciem służbowego auta. Wsiadł do bmw i na sygnale wyjechał z zatłoczonego parkingu. W jednej chwili zapomniał o Krugu, o zabójstwach oraz o dziwnej wiadomości umieszczonej w kieszeni zmarłego.

Przed oczami stanęła mu kobieta, z którą przepracował ostatnie dwa lata. Łączyło ich zresztą coś więcej niż dziesiątki rozwiązanych spraw,

mnóstwo sukcesów oraz godziny rozmów. Przed nikim nie otworzył się tak bardzo, jak przed Haler. Tamara miała w sobie coś ujmującego i coś, co sprawiało, że zostali we dwoje outsiderami, dla których nie liczyła się reszta świata. Działali wedle siebie tylko pojmowalnych reguł oraz schematów. Stali za sobą murem i rozumieli się bez słowa. Poza tym, choć Haler miała znacznie bardziej restrykcyjne postrzeganie procedur, przymykała oko na sposób postępowania komisarza.

Powstała pomiędzy nimi wyjątkowa więź. Nie było mowy o żadnym romansie, choć niektórzy złośliwie roznosili o nim plotki. Tamara była młodsza od Deryły niemal o dwie dekady, przez co postrzegał ją raczej jak córkę niż jak partnerkę. Nie pozostawała mu dłużna. Nazywała go „tatuśkiem” i traktowała niczym niekwestionowanego mentora. Ufała mu i garściami chłoneła jego sposób postrzegania rzeczywistości. Napawała się nim.

Choć była niesamowicie inteligentna i przypominała chodzącą encyklopedię, nie potrafiła się odnaleźć w życiu. Z trudnością zawierała znajomości, czuła się wyobcowana, a nawet skrajnie introwertyczna. Właśnie to było kolejnym czynnikiem, który zbliżył ich z komisarzem w sposób szczególny.

Najgłębszą niesprawiedliwością było, że tak szlachetna osoba cierpiała na nieuleczalną chorobę. Późno zdiagnozowana, zaczęła czynić szybkie i pustoszące jej organizm postępy. Początkowe drżenia zamieniły się w gwałtowne tiki, do których dołączyły objawy otępienia oraz częste wrażenie zagubienia. Mimo to długo nie dawała po sobie niczego poznać. Komisarz domyślał się czegoś i wiedział również, jaka towarzyszyła jej obawa. Haler była gotowa rzucić służbę, by wyjechać tak daleko, by nikt jej bliski nie musiał obserwować jej cierpień. By nikt nie musiał się o nią troszczyć ani jej opłakiwać. Właśnie dlatego kiedyś wyjechała z Krakowa do Lublina. Jednak tu sprawy przybrały zbyt szybki obrót. Jej głównym zmartwieniem stało się to, by przez jej chorobę nie narazić życia innych ludzi, w tym przede wszystkim Deryły. Chciała powiedzieć „pass”, lecz przegapiła właściwy moment.

Obrażenia odniesione w trakcie ostatniego śledztwa przyśpieszyły rozwój choroby, a jej objawy nałożyły się na ich konsekwencje.

Deryło zerknął na motocyklistę, który zjechał, ustąpiwszy mu pierwszeństwa. Haler również przemieszczała się na ogromnym turystycznym motocyklu, lekceważąc bezpieczeństwo oraz przepisy prawa. Był to wyraz jej drobnego buntu przeciwko naturze oraz losowi. Nie bała się śmierci, a nawet chciała pokazać, że jest gotowa na nią w każdej chwili. Kiedyś powiedziała komisarzowi, że gdy nadejdzie czas, „z pełną prędkością wjedzie motocyklem w ścianę”. Zapamiętał tamten moment i brzmienie jej głosu. Brzmiał tak poważnie, że nie miał wątpliwości, że nie były to jedynie ciche słowa, a wynik długotrwałych przemyśleń. W końcu Haler miała na nie kilka lat...

Kilka lat, a on nigdy szczerze z nią o tym nie porozmawiał. Zawsze czynił umizgi, żartował lub zmieniał temat. Na co dzień był bezkompromisowy i odważny, lecz w zetknięciu z nieszczęściem bliskich stawał się chłopcem, który zasłania oczy, licząc, że w ten sposób znikną wszystkie otaczające go demony. Wiedział o tym, lecz nie potrafił przemóc tej słabości.

– No, dalej – rzucił, zwalniając przed bramką prowadzącą na teren szpitala.

Na widok radiowozu na sygnale parkingowy uniósł szlaban i Deryło wjechał na rozległy parking. Zostawił auto na miejscu dla inwalidów pod samym wejściem. Pośpiesznie otarł łzy, które spływały mu po policzkach. Nie bacząc, czy ktoś dostrzeże jego zaczerwienione oczy, pognął do szpitala. Gdzieś w oddali rozległy się właśnie kościelne dzwony. Ich bicie miało żałobny ton.

– Miała zapaść. Jej organizm odmawia posłuszeństwa i powoli zaczyna się wyłączać. Parametry życiowe coraz bardziej się obniżają, a wkrótce... Wkrótce nie będzie sposobu, aby przywrócić je do jakiegokolwiek poziomu. Jeszcze nie teraz, na kilka godzin najgorsze chyba ma za sobą, ale na jak długo, tego nikt nie wie.

Słowa lekarza wybrzmiały w głowie Deryły niczym jednolity, długotrwały grzmot. Zarejestrował je, lecz nie przetworzył. Mimo to gdzieś w głębi podświadomości wiedział, że lekarz nie przekazał mu niczego pozytywnego.

– Czy mogę...

Skinął głową w stronę sali, na której kilkoro pacjentów było podłączonych do ultranowoczesnych sprzętów. Wszyscy z nich leżeli nieprzytomni. Nie czekając na zgodę lekarza, założył maseczkę i ochraniacze na buty. Wszedł do środka przez rozsuwane drzwi.

Od razu dostrzegł Halera, przy oknie, na nieco podniesionym łożku. Miała zamknięte oczy, a jej twarz przybrała bladoróżową barwę. Skóra przypominała maskę lub jednolity, sztuczny makijaż.

„Makijaż pogrzebowy” – przemknęło przez myśl komisarza. Wściekły, że nie potrafił powstrzymać tej myśli, zacisnął pięści i fuknął. Sięgnął po metalowy stołek, po czym ciężko na nim usiadł.

Odgłosy wydawane przez aparaturę medyczną zawsze przyprawiały go o obłąd. Wzynały się w najdalsze zakamarki mózgu, podrażniając je jak wbijane szpilki.

– To ja – odezwał się cicho. – Jestem tu. Myślałaś, że uda ci się tak łatwo wywinąć?

Haler nie zareagowała. Leżała całkowicie nieruchomo i gdyby nie bardzo delikatnie falująca klatka piersiowa, można by pomyśleć, że już jest po wszystkim. Jej usta były delikatnie otwarte, tak że między wargami pojawiła się kilkumilimetrowa przerwa. Przynajmniej nie została zaintubowana. Ładny, kształtny nos zapadł się, sprawiając wrażenie, jakby już nie nabierał powietrza. Ta ładna kobieta o wyrazistej urodzie przypominała niechcianą szmacianą lalkę rzuconą na pryczę.

– Nie zostawiaj mnie...

Deryło odszukał pod kołdrą dłoń Tamary. Była dziwnie chłodna i wilgotna. Gdy pogłodził jej palce, nie dostrzegł najmniejszej reakcji. Podniósł się i przegładził prześcieradło. Chciał usiąść ponownie, lecz wtedy poczuł czyjś dotyk na ramieniu. Gwałtownie się odwrócił. Tuż za nim stała Dmitris, ze starannie nasuniętą maseczką oraz włosami zebranymi za uszy, jakby szykowała się do operacji.

– Nie będę wam przeszkadzać – oznajmiła cichym tonem, jakim wyraża się pełnię szacunku dla ścian szpitala. – Chciałam ci tylko powiedzieć, że jestem tu i gdybyś czegokolwiek potrzebował, czekam na parkingu.

Deryło zamrugał, wyciągnął ku niej rękę, lecz gwałtownie ją cofnął. Wsunął dłoń do kieszeni.

– Nie – odparł cierpko. – Wracaj do domu i odpocznij. Nic nie możesz zmienić...

– Ale...

– Proszę, zrób to. Zostaw mnie. Zostaw nas.

– Nie bądź uparty.

– Powiedziałem: idź już. Nie każ mi cię wyrzucić.

Dmitris patrzyła mu prosto w oczy. Wreszcie kiwnęła głową i zawróciła do drzwi. Wychodząc, jeszcze raz się obróciła, by na niego zerknąć. Deryło usiadł na stołku i schował głowę między ramionami. Wydawało się jej, że jego ciało drży, jakby rażono je elektrowstrząsami.

– Zaczekam tak długo, jak będzie trzeba – powiedziała na tyle głośno, by ją usłyszał. – Będę się za nią modliła.

Deryło nawet na nią nie spojrzał. Zwiesił głowę jeszcze niżej i głośno zaszlochał.

NASTĘPNY DZIEŃ

75

Deryło zadrżał. Machnął ręką, przecinając powietrze. Rozejrzał się dookoła, kompletnie skołowany. Nie wiedział, gdzie jest ani co tu robi. Dziwne, nieznane mu dźwięki raziły jego mózg z siłą elektrowstrząsów. Opierał głowę na lewej ręce i zmieniawszy pozycję, niemal upadł na twarz. W ostatniej chwili odzyskał równowagę.

Zamrugął. Powoli docierała do niego świadomość miejsca oraz czasu. Znajdował się na szpitalnym oddziale intensywnej opieki. Maseczka zsunęła mu się na brodę, a w ustach czuł mdły posmak. Przeciągnął dłońią po szorstkim, nieogolonym policzku i momentalnie się rozbudził. Panicznie przeniósł wzrok na Tamarę. Leżała spokojnie, oddychając regularnie i dość głęboko. Wydawało mu się, że ekrany monitorujące jej parametry życiowe pracują spokojniej niż wieczorem. Jej twarz była blada, ale bez domieszki owej niezdrowej różowości. Choć mogła to być jedynie kwestia dziennego światła, które wpadało zza rolet.

– Lekarz uznał, żeby pana nie budzić – usłyszał za sobą. Odwrócił się i zobaczył tyczkowatą pielęgniarkę. Podała mu kubek z parującą kawą. – Nigdy na to nie pozwalamy, ale... Wiemy, kim pan jest i kim jest pani Haler. Tylko tak możemy pomóc.

Deryło wziął kawę i podniósł się ze stołka. Kolejna noc z rzędu spędzona poza łóżkiem kompletnie spustoszyła jego organizm. Przez moment, usiłując się wyprostować, przypominał Quasimodo, i to po upadku z wieży katedry Marii Panny. Wreszcie przeciągnął się i jako tako odzyskał sylwetkę w miarę zdrowego człowieka.

– Czy ona... – odezwał się, ukradkiem kiwając głową w stronę Haler.

– Jest lepiej – odparła pielęgniarka. – Nie można spodziewać się cudu, ale przetrwana noc w jej stanie to już naprawdę wiele. Najgorsze chwilowo minęło.

– Dzięki Bogu. Teraz pozostaje powiedzieć: „Chwilo, trwaj”.

– Proszę nie robić sobie nadziei. Niestety... Zresztą, jeśli pan zechce, zwołam doktora.

– Nie, lepiej nie. Po co się rozczarowywać?

Pielęgniarka uśmiechnęła się serdecznie i kiwnęła głową.

– Rozumiem – powiedziała łagodnie. – Niedługo będę mogła zaproponować panu śniadanie... Tymczasem... czy mogę jeszcze jakoś pomóc?

Deryło miał tylko jedno życzenie.

– Czy ma pani gumę miętową? I będę wdzięczny, jeśli pozwolicie mi skorzystać z łazienki i podzielicie się najmniejszym kawałkiem mydła. Chyba muszę się zbierać do roboty...

Niespełna kwadrans później Deryło po takim odświeżeniu się ukradkiem ścisnął dłoń Haler. Wydała mu się cieplejsza i suchsza niż ostatnim razem. Zerknął w jej nieruchomą twarz, po czym ruszył do wyjścia.

– Wrócę najszybciej, jak to możliwe – zapewnił szeptem. – Nigdzie się nie ruszaj.

Wkrótce wypadł na parking szpitalny i skierował się do stojącego nieopodal radiowozu. Nie zwrócił uwagi na omotaną płaszczem postać siedzącą na jednej z ławek. Sofia Dmitris powiodła za nim troskliwym, smutnym wzrokiem. Dopija kawę i wyrzuciła tekturowy kubek.

Tymczasem w momencie, gdy Deryło wsiadł do auta, usłyszał dzwonek telefonu. Natychmiast pomyślał o dźwięku dzwonów zwiastujących nadciągające kłopoty. Dźwięku, który towarzyszył mu poprzedniego wieczoru.

– Nie chciałam psuć pańskiego poranka, komisarzu.

Głos znajomej laborantki zawisł w eterze niczym złowieszcza przestroga.

– Ale? – Deryło zamknął drzwi i oparł głowę o szybę. Bolał go zdrewniały kark, a do tego wciąż był sennie otępiały. – Swoją drogą chyba powinienem złożyć kondolencje... Krug był pani współpracownikiem?

– Ledwo go znałam – odparła laborantka. – Ale właśnie w jego sprawie dzwonię.

– To znaczy?

– To nie było samobójstwo.

Te kilka słów wystarczyło, by Deryło niemal zerwał się na równe nogi. Niewiele brakowało, a wyrznąłby głową w dach auta.

– Nie? Jak to? – Chwycił się kierownicy i poprawił w fotelu. – Pozycja, podcięte żyły, brzytwa... Zamknięte od środka okna oraz drzwi...

– Ktoś to upozorował – ciągnęła kobieta. – Niestety w tym budynku nie ma monitoringu na zewnątrz. Pies pogrzebany w tym, że chłopaki znaleźli sznurek, którym prawdopodobnie zamknięto drzwi balkonowe po wyjściu z mieszkania. Nadaża pan? To dość łatwa sprawa, biorąc pod uwagę, że jest na parterze.

– Czasem ludzie montują takie sznurki, żeby przeciąg im nie trząskał oknami.

– Tyle że rzadko kiedy popełniają samobójstwa po zażyciu potężnej dawki środków zwiotczających. I to tak potężnej, że wynik pojawił się niemal natychmiast, a zazwyczaj klaruje się kilkanaście godzin.

– Środek zwiotczający?

– Całkiem proste, prawda? I pozbawia problemu z ułożeniem ciała w samobójczej pozycji.

Deryło podrapał się po podbródku. Mimo że udało mu się odświeżyć, nie miał czym się ogolić. Nie cierpiał szorstkiego, niechlujnego

zarostu.

– Ale przecież wiadomo, że te środki bardzo łatwo wykryć – zdziwił się. – To praktycznie procedura tak standardowa, jak wykrywanie alkoholu we krwi...

– Niech mnie pan o to nie pyta, komisarzu. Może komuś wcale nie zależało na długotrwałym torpedowaniu śledztwa, tylko na chwilowym efekcie? Na zyskaniu czasu?

To pytanie komisarz nadal sobie zadawał, gdy kilka minut później zakończył połączenie. Siedział tępo wpatrzony w kierownicę i starał się uporządkować wszystkie fakty. Nagle tuż obok niego coś brzęknęło.

Raz, drugi.

Trzeci.

Poderwał się, ponownie niemal uderzając czerepem w dach. Odwrócił się i dostrzegł stojącą przy aucie Dmitris. Kobieta delikatnie pukała w szybę. Natychmiast odbezpieczył drzwi i skinieniem głowy dał znać, by zajęła miejsce pasażera.

– Czekałaś tu przez całą noc? Gdzie twoje auto? – zagadnął, spoglądając na nią z niedowierzaniem. – Nie mów, że...

Dmitris siadła obok niego i wzruszyła ramionami.

– To chyba nie ja mam co tłumaczyć ani opowiadać – odezwała się. – Wyglądasz, jakbyś właśnie zobaczył ducha, ale wiem, że uznałbyś go za przebierańca, więc to poważniejsza sprawa...

Deryło sapnął i w kilku zdaniach streścił jej rozmowę z laborantką. Dmitris słuchała go, nie przerywając mu. Gdy wreszcie skończył, cicho westchnęła.

– Po co? – zapytał Deryło. – Raz po raz zadaję sobie to pytanie i kompletnie nie rozumiem.

– Tak jak mówisz, po to, by zyskać na czasie. Być może nie chodzi jedynie o zabijanie, ale o zabijanie konkretnych osób. A do tego trzeba się odpowiednio przygotować...

Słowa Dmitris sprawiły, że Deryło oparł się łokciem o kierownicę i spojrzał na komisarz z ukosa.

– O czym ty mówisz?

– Kiedy byłeś przy Tamarze, miałam dość czasu, aby poprzeglądać dokumenty przesłane przez ViSira... Moją uwagę zwrócił pozornie drobny szczegół.

77

Marta Elert bardzo ostrożnie wykonała kilka przysiadów. Kiedy tylko się wyprostowała, powoli wciągnęła powietrze nosem, przytrzymała je w płucach przez siedem sekund i wypuściła je ustami. Była ładną, choć nierzucającą się w oczy dziewczyną o smutnym spojrzeniu zielonych oczu. Mierzyła niespełna metr siedemdziesiąt, a jej figura mogłaby uchodzić za idealną.

Rozciągnęła mięśnie ramion, uniosła ręce i zamarła w tej pozycji. Przymknęła oczy. Nadszedł czas na sekwencję wdechów oraz wydechów. To było bardzo ważne. Dzięki nim potrafiła zebrać do kupy swoją psychikę. Nigdy wcześniej nie spodziewała się, że wystarczy praca z oddechem, by odmienić życie. By zyskać właściwą perspektywę spojrzenia na świat.

Nie zważała na inne osoby znajdujące się w sali ćwiczeń. Gimnastykowała się bez względu na resztę i zgodnie z własnym, opracowanym przed kilkoma miesiącami programem. Nauczyła się trzymać dystans i całkowicie odcinać od otoczenia. Kiedyś zapewne czułaby się skrepowana, ale nie teraz... Już nie. Nigdy.

Otworzyła oczy i ściągnęła łopatki do tyłu. Niczym baletnica obróciła się na jednej nodze, wyginając, a następnie prostując kolano. Wzięła się pod boki, wykonała lekki podskok, po czym opadła na obie stopy. Przez jej twarz przemknął grymas bólu.

Nadal nie była w stanie wrócić do dawnej formy. Przynajmniej nauczyła się już nie oszukiwać samej siebie. Nie wmawiała sobie, że to się zmieni, i nie stawiała niemożliwych do zrealizowania celów.

Kontuzja – bo tak nazywała to, co się wydarzyło, zmieniła wszystko. Jej życie dzieliło się na „przed” i „po”. Nie było potrzeby wstrzymywać się z oceną, że to „po” jest bardziej główniane. Psychoanalityk nakazywał jej szukanie pozytywów, lecz na koniec ostatniego spotkania kazała mu „wsadzić sobie te pozytywy w dupę”. Perspektywa, którą wreszcie uzyskała, pozwalała jej być bezgranicznie szczerą względem siebie. Po co miała się mamić? Przecież właśnie mamiąc się poszukiwaniem plusów obecnej sytuacji, tkwiła w miejscu. Wręcz przeciwnie, należało zrozumieć wszystkie jej główniane strony, minusy i słabości, by zebrać siły.

Nie. Już nigdy nie odzyska formy.

Nie. Już nigdy nie wykona podwójnego piruetu z wyrzutem.

Nie, i już. To wcale nie było skomplikowane i nie wymagało dodatkowych tłumaczeń. Należało się tylko zaadaptować do nowej sytuacji. Można było stać się mentorem dla innych przechodzących przez to samo, można było prowadzić bloga lub konto w mediach społecznościowych, lecz po co? Lepiej zabrać zabawki z jednego placu zabaw i przenieść się na kolejny. Wtedy przeszłość stawała się mało istotna.

Elert usiadła na podłodze i podwinęła prawą nogawkę dresu. Nie interesowało ją ciekawe spojrzenie, jakim obrzuciły ją dwie stojące obok dziewczyny. Spojrzała na głęboką, zaczerwienioną bliznę biegnącą od jej kostki w górę. Piszczel była zdeformowana, jakby brakowało jej fragmentów kości oraz mięśni. Aż cud, że z tak wyglądającą nogą mogła jako tako się poruszać. Ba, mogła udawać, że tańczy.

Rozmasowała łydkę i energicznie ponownie naciągnęła dres. Podniosła się z zaskakującą lekkością. Dopiero gdy ruszyła w stronę drzwi, dało się dostrzec, że zauważalnie utyka. Biorąc pod uwagę, że jeszcze dwa miesiące temu chodziła o kuli, był to i tak gigantyczny postęp. Poza tym... Skoro musiała szanować swoje pokiereszowane nogi, mogła poświęcić się ćwiczeniom innych partii ciała.

Wyszła z sali gimnastycznej i przecięła wąski korytarz. Przy metalowych szafkach przebierało się kilka kobiet. Kilka kolejnych przyciszonych głosów rozmawiało w pobliżu wejścia do łazienki. Elert minęła je, nie obdarzywszy żadnej nawet przelotnym spojrzeniem. Była całkowicie skoncentrowana na oddechu.

Kilka sekund później weszła do pomieszczenia z maszynami do treningu siłowego. Ćwiczyli w nim głównie mężczyźni, lecz na nich również nie zwróciła uwagi. Musiała robić swoje. Tylko to ją interesowało.

Usiadła na ławce z dopiętymi, podwieszanymi do bloczków hantlami. Przymknęła oczy i zaczęła ćwiczyć. Nieustannie liczyła oddechy.

78

– Sonia Rita leczyła się na raka. Można powiedzieć, że znajdowała się w stanie terminalnym. Po dziesiątkach chemii oraz radioterapii była wrakiem człowieka, lecz starała się robić dobrą minę do złej gry. Chadzała na koncerty rockowe, występowała w wyuzdanych, przebieranym sesjach zdjęciowych... Odstawiała szopkę, jaką odstawia wiele osób świadomych rychłej śmierci.

Dmitris nagle uświadomiła sobie niestosowność tych słów. Jednak zbyt późno ugryzła się w język. Spuściła głowę i jęknęła.

– Przepraszam, chodziło mi tylko o to, że...

– W porządku. – Deryło przyjaźnie ją uspokoił. – Mów dalej.

Sofia sięgnęła po telefon i obróciła go w dłoni. Odblokowała ekran, po czym przewinęła kilka wiadomości.

– Początkowo myślałam, że jej specyficzny krąg znajomych w social mediach, wycofanie ze społeczeństwa, a nawet, żeby użyć tego ohydneho słowa, jej *image* to kwestia tamtego wypadku samochodowego. Ale teraz jestem niemal pewna, że chodziło o chorobę.

Deryło przeciągnął dłońmi po twarzy i spojrzał w stronę nieodległego podjazdu dla karetek. W tym momencie wjechał na niego ambulans z włączonymi syrenami. Tuż za nim pojawił się oznakowany radiowóz. Być może przywieziono właśnie na badania jakiegoś więźnia, a może chodziło o coś całkowicie innego. W ogóle go to nie interesowało.

– Czy ta choroba coś zmienia? – zapytał, ponownie patrząc na Dmitris. – Czy jej profil jako ofiary ulega przez to istotnej modyfikacji?

– Świadomość bliskości śmierci potrafi zmienić wszystko. Bez względu na to, czy dotyczy nas samych, czy kogoś, z kim stykamy się na co dzień. Czasem nawet przynajmniej chwilowo wywraca do góry nogami życie całkowicie postronnych osób.

Dmitris skinęła głową, wskazując na parę nastolatków, którzy z zaintrygowaniem spoglądali w stronę radiowozu oraz karetki. Byli tym tak przejęci, że weszli na pasy, zupełnie się nie rozglądając.

– Wszystko ma jakieś znaczenie – dodała z naciskiem. – Tyle że, aby je zrozumieć, musimy spojrzeć na sprawę z właściwej perspektywy.

– Sprawcy? – Deryło parsknął. – Na tym polega profilowanie, prawda? I zazwyczaj nic z tego nie wychodzi, poza długimi wyliczeniami cech, jakie można przypisać połowie społeczeństwa.

– Wolalabym na to spojrzeć z perspektywy ofiary.

– Soni? Tego taksówkarza?

Zadumana Dmitris przymknęła oczy i przygryzła wargę. Przez chwilę mruzczała do siebie, jakby coś nuciała.

– Wpadasz w trans? Lepiej nie rób tego w radiowozie, bo te tapicerki źle reagują na wymiociny.

Kobieta nagle otworzyła oczy i wbiła w komisarza przenikliwe spojrzenie.

– Nie chodzi ani o Sonię, ani o taksówkarza – wyszeptała, jakby porażona istotą własnego odkrycia. – Może sednem jest perspektywa tej kobiety, która zginęła w tamtym wypadku?

– Skoro nie żyje, wątpię, by kogokolwiek to interesowało.

– Przez cały czas patrzysz na tę sprawę zbyt zachowawczo. Masz na widoku ofiary, anonimowego zabójcę oraz odniesienia do starotestamentowców. Do tego mnóstwo innych dziwnych tropów, które potencjalnie do siebie nie pasują.

– Potencjalnie?

– A jeśli ich brak pasowania do siebie świadczy właśnie o tym, że się idealnie uzupełniają?

Deryło nerwowo zabębnił palcami w kierownicę i uruchomił silnik. Powoli ruszył w stronę wyjazdu z parkingu.

– Nie obraż się, ale mówisz jak potłuczona – stwierdził ponuro. – Choć chyba w jakimś wymiarze łapię, do czego możesz zmierzać... I obawiam się, że zamiast rozjaśnić, to jedynie kompletnie zaciemnia obraz tej sprawy. Prawda?

Dmitris niemal bezgłośnie przytaknęła.

79

– Przygotuj wszelkie akta związane z tamtym wypadkiem drogowym. Nie interesuje mnie, skąd je zdobędziesz ani jak wiele przepisów w tym celu złamiesz. W dupie mam regulaminy, wytyczne, okólniki oraz rozkazy. Rozumiesz?

– Standard.

Krótką, wypowiedzianą niemal żartobliwie odpowiedź ViSira sprawiła, że Deryło nagle poczuł przypływ sił. Jednak pewne kwestie i pewni ludzie się nie zmieniali. Świat mógł się walić, ale one pozostawały takie, jakimi były wcześniej. Ta stałość stanowiła wyborne pokrzepienie.

– No to do roboty, nie traćmy czasu – rzucił łagodniej, po czym dodał:

– Dzięki. Ale nie każcie mi się rozplakać ze wzruszenia.

Rzucił telefon do schowka, po czym dodał gazu. Poruszali się radiowozem, bez włączonych stroboskopów, co nie przeszkadzało komisarzowi łamać wszelkich możliwych przepisów. Robił to z autentyczną przyjemnością, jak dziecko cieszące się, że nieprzyłapane przez matkę, wyjada miód palcem. Zmieniał pasy, manewrował i gestykulował, odpowiadając na gestykulacje innych kierowców.

– W porządku, niech będzie – wymamrotał nagle ni to do Dmitris, ni to do siebie. – Przyjmijmy, że te wszystkie kabały i hasła to zwykły pic na wodę. Babramy się w poszlakach, jeździmy po synagogach oraz grzebiemy się w aktach, ale to wszystko bez sensu. Nie uzyskujemy żadnych konkretów.

– Właśnie. – Dmitris, mimo że samochodem rzucało na wszystkie strony, nie sprawiała wrażenia zestresowanej. Odezwała się spokojnym, delikatnym tonem: – A już powinniśmy cokolwiek uchwycić. Pojawiło się zbyt wiele tropów, by nie miały żadnego punktu wspólnego.

– Judaizm to za mało?

– Nadal w to wierzysz? To powierzchowne dyrdymały połączone z wiadomościami. Statystycznie...

Zawiesiła głos, ale Deryło jedynie zacisnął usta i skinieniem głowy dał jej do zrozumienia, by mówiła dalej.

– Statystycznie osiem na dziesięć listów wysyłanych przez morderców do policji miało na celu jedynie zaciemnienie obrazu zbrodni. Pomieszanie tropów oraz zmylenie pościgów. Nic więcej. Żadnego podtekstu ani drugiego dna.

– Zrobiono takie wyliczenia?

– Ja je zrobiłam. Na podstawie blisko dwustu przypadków. Jeden na dziesięć z tych listów miał rzeczywiście uwikłać służby w jakąś grę, a ostatnia grupa stanowiła szalone manifesty i tym podobne.

Deryło się skrzywił. Taki obraz rzeczywistości mógł być prawdziwy, choć całkowicie mu teraz nie odpowiadał. Wolałby, aby jego

przeciwnikiem był ktoś, kto kieruje się logiką i nadaje wzajemnej rywalizacji – a przecież śledztwo właśnie nią było – racjonalne zasady.

– Wobec tego uważasz, że od początku te metalowe tabliczki, krople krwi i tak dalej miały nas jedynie zwodzić na manowce?

– Mniej więcej.

– A ułożenie ciała? Sposób zadawania śmierci i cała ta otoczka? Krew zwierzęca wylana przy balii? – Komisarz z niedowierzaniem pokręcił głową. – To przesada, nie chcesz powiedzieć, że ktoś zrobił to tylko po to... No właśnie, po co?

– By zyskać czas – odparła krótko Dmitris.

– Czas? Na co?

– Na przygotowanie kolejnej zbrodni i na jej dokonanie dokładnie w taki sposób, w jaki ją zaplanował. Nie do końca potrafię uchwycić sedno, ale z jednej strony to rozgrywka na zwłokę, a jednocześnie pewne jej elementy mają dla sprawcy ogromne znaczenie.

Deryło z piskiem opon wszedł w zakręt i zatrzymał wóz na policyjnym parkingu. Czym prędzej wyskoczył ze środka, po czym skierował się ku gmachowi komendy.

– Mam nadzieję, że ViSir sumiennie wywiązał się ze swojego zadania i już czeka na nas z papierami – mruknął, mijając recepcję. – I że w tych papierach znajdziemy coś istotnego.

– Jestem o tym przekonana.

Mina Dmitris zdradzała, że rzeczywiście tak było.

80

– Co mamy robić?

Nowak niezgrabnie przemaszerowała przez pokój konferencyjny i zatrzymała się przed stołem, na który Deryło oraz ViSir znosili kolejne wydruki. Choć z punktu ochrony przyrody nie było to

najlepsze wyjście, najszybszą metodą pozyskania akt dotyczących wypadku było właśnie ich wydrukowanie. Na szczęście zdecydowana większość znajdowała się w systemie informatycznym prokuratur oraz sądów. Natomiast zdobycie odpowiednich zgód na proceduralny wgląd, upoważnień i im podobnych wymagałoby straty czasu. A czasu brakowało im teraz najbardziej.

– Wczytujcie się w każde zdanie, w każdą linijkę i najdrobniejszą informację. – Komisarz podawał kolejne pliki wydruków Brzeskiemu, Nowak oraz Sofii. – Rozumiecie chyba, jaki jest kąt patrzenia na sprawę, komisarz Dmitris? Jeżeli z jego perspektywy cokolwiek wyda się wam interesujące, natychmiast meldujcie. Lepiej, żebyśmy wspólnie zastanowili się nad czymś bzdurnym, niż w pojedynkę przegapili coś istotnego.

– Się robi. – Brzeski rzucił na biurko całe naręczne dokumentów i pośpiesznie rozłożył je w kilka stosów. – Miło byłoby tylko mieć jakiegokolwiek pojęcie o tym, czego szukamy.

Dmitris ochoczo zatarła dłonie i sięgnęła do swojej sterty papierów.

– Mam nadzieję, że jeśli to znajdziemy, od razu będziemy wiedzieć, że uchwyciliśmy sedno.

– Zeznania? Opinie biegłych? Co może być istotne?

– Wszystko. I czy właśnie to nie jest w naszej robocie najpiękniejsze?

– Ten, kto trafi na sedno, ma u mnie dobry obiad – rzucił komisarz.

– Burger z frytkami i colą. Dla komisarz Dmitris podwójna porcja.

Puścił jej oko i usiadł przy stoliku, jaki zazwyczaj w pomieszczeniu zajmowali prelegenci. Odkąd zamigotała mu w głowie nowa koncepcja, a sprawa wypadku wydała się kluczem do wszystkich wątpliwości, wstąpiła w niego nowa siła. Cierpienia Halera odeszły na dalszy plan – nie zostały jednak wyparte ze względu na niepamięć, lecz praca stanowiła pewien hołd, który teraz składał jej komisarz. Była to skomplikowana konstrukcja myślowa, być może nawet sposób usprawiedliwiania się przed samym sobą, ale póki co działała. Dlatego lepiej, aby jej nie analizować.

Nagle Deryło wstał i podszedł do ustawionej obok tablicy. Chwył marker, po czym zaczął pośpiesznie kreślić kolejne słowa. Gdy się odwrócił reszta zgromadzonych w pomieszczeniu dostrzegła kilkupunktową listę.

– To wszystkie osoby, które na razie łączymy z wypadkiem oraz tym śledztwem – oznajmił. – Część z nich ma punkty wspólne z jednym i drugim, jak na przykład Bartok, a część tylko z tym lub tamtym, *vide* nasz rabin. Będę notował na bieżąco personalia każdego, kto pojawi się w aktach. Sędziów, prokuratorów, lekarzy... Wszystkich.

– Nie pomiń adwokatów, laborantów, a nawet policjantów – zastrzegła Dmitris. – W tym gronie tkwi klucz do całej sprawy.

– Cieszę się twoją pewnością siebie.

Deryło niewyraźnie się uśmiechnął i z zatyczką markera założoną na jego koniec czekał na propozycje nazwisk. Po chwili te zaczęły padać niczym z karabinu maszynowego. Najpierw Nowak trafiła na listę przybyłych na miejsce funkcjonariuszy, potem Brzeski z protokołu rozprawy podyktował personalia adwokatów, sędziów, a nawet protokolantki. Z sekundy na sekundę giełda nazwisk wydłużała się, a komisarz musiał zapisywać je coraz mniejszymi literami. Wreszcie miejsce się skończyło i sięgnął po drugą tablicę, stojącą dotąd w rogu pomieszczenia.

– Niewiarygodne, jak wiele losów ludzkich przecina jeden wypadek – stwierdziła w pewnej chwili Dmitris. – Całe mrowie bytów, które tylko przez zbieg okoliczności zostają ze sobą splecione i... Niczym mojry.

Zamilkła i zmrużyła oczy. Deryło pośpiesznie zapisywał kolejne nazwiska, a do tego najwyraźniej robił to wręcz automatycznie. Poza tym był piekielnie zmęczony. W przeciwnym razie musiałby zwrócić uwagę na jedno z nich. Dmitris wstała, wskazała palcem na tablicę, jednocześnie starając się sobie przypomnieć, kto przed chwilą i w jakim kontekście wspominał o tej osobie.

Nagle wszystko wydało się jej nadzwyczaj oczywiste.

Rozbłysk.

Kolorowe plamy światła rozszczepiały się i tworzyły fantastyczne wzory. Każdy z nich przyciągał z jakąś magnetyczną siłą, rozmywał się, a potem eksplodował feerią jeszcze mocniejszych barw. Wydawało się, że są wręcz namacalne, że można uchwycić je ręką i dzięki temu przenieść o całe lata, o miliony lat świetlnych, w czasie. Być może również w przestrzeni.

W tym ogromnym wszechświecie ciemność nie istniała. Biele przenikały się z różami, błękitnościami oraz mnóstwem rozmaitych innych pastelowych kolorów, których ludzkość nigdy nie nazwała. Nie używał ich nigdy żaden malarz, gdyż unikalny dar natury nie podlegał ani ekstrahowaniu, ani naśladowaniu.

A jednak w umykających, rwących się myślach Tamary Haler pojawiała się świadomość tego, co się dzieje.

Umierała. Jeszcze momentami, gdy wysiliła wszelkie moce witalne, odzyskiwała bardzo krótkie pojęcie o tym, gdzie się znajduje.

Szpital. Aparatura medyczna. Lekarze i pielęgniarki. Komisarz Deryło oraz jakaś kobieta. Jego towarzyszka? Przyjaciółka? A może nowa partnerka?

Tak by było najlepiej. Ktoś powinien pomóc mu się oderwać i zapomnieć. Przecież sama nigdy nie chciała do tego dopuścić. Do Lublina przeniosła się, aby zerwać z przeszłością, a jednocześnie nie połączyć się z terażniejszością.

Znów eksplozja barw. Każda z nich była wyjątkowa i mogła stanowić bramę do raju. Bo przecież piekło nie mogło tak wyglądać? Były kuszące, lecz jeszcze nie chciała podążyć w ich stronę. Jakimś niezwykłym wysiłkiem woli trzymała się od nich z daleka, tkwiąc w miejscu, aby nie zakończyć swojego życia właśnie w tej chwili. Nie wtedy, gdy Deryło zdawał się zajęty jakąś sprawą.

Chyba że... Nie. Nie była w stanie nikogo poprosić, by nie informowano go o jej śmierci. Dlaczego nie zrobiła tego zawczasu? Mogła kazać się skremować albo przekazać swoje zwłoki uczelni medycznej w zamian za poinformowanie świata, że wyruszyła w podróż w Himalaje. W trakcie tej podróży zaginęła lub zerwała stosunki ze światem. Mogłaby nawet napisać list pożegnalny, który zraziłby do niej wszystkich bliskich. Przeklinałaby ich i wytykała przywary.

Dlaczego tego nie zrobiła? Właściwie jeśli uważała to za niezbędne, nigdy nie hamowała języka.

– Ona płacze. Panie doktorze, ona płacze...

– To tylko kwestia wysychających gałek ocznych. Pozbywają się nadmiaru wody.

Wyraźnie słyszała tę wymianę zdań. Odbywała się tuż obok niej, a jednak w świecie, do którego już nie miała powrotu. Pragnęła poruszyć palcami, lecz przecież jej dłoń właśnie zaciskała się na ogromnej kuli światła.

Czuła ciepło. Przyjemna energia rozlała się po całym jej ciele i przetoczyła falą po umyśle. Pochłonęła ją i oblała, zespalając z wszechświatem. Ona również stawiała się tą energią, ale coś jeszcze trzymało ją w cielesnej postaci.

Deryło.

Nie był to czas, aby otrzymał najgorsze wieści. Powinien się skupić na... Na czym? Czy zbrodniarze mogli istnieć na świecie wtedy, gdy ona z niego powoli odchodziła?

Oczywiście, że mogli, tak jak istnieli, zanim po raz pierwszy otworzyła oczy.

– Panie doktorze...

Kobięcy głos był zdenerwowany i wymowny. Odnosił się zapewne do niej. Nie chciała być teraz dla nikogo kłopotem. Nigdy tego nie chciała. Będąc w całości przyjemną, barwną energią, mogła wyzwolić się od wszystkich problemów. I mogła wyzwolić wszystkich od siebie samej. Tak, to chyba było warte zerwania ze światem.

Już, za chwilę, za moment.

Teraz.

Nareszcie.

82

– Co się stało? Masz coś?

Deryło ciężko odsapnął i rozmasował dłonią obolały kark. Dzwoniło mu w uszach, a do tego złe przeczucie zaciskało palce na niemal pustym żołądku. Kątem oka dostrzegł emocje na zazwyczaj całkowicie poważnej twarzy Dmitris. Kobieta szybko przerzucała jakieś dokumenty, zerkała na zapisywaną przez niego tablicę i coś do siebie mamrotała.

– Halo? Pani komisarz?

Wszyscy w pomieszczeniu zwrócili na nią uwagę, lecz Sofia zdawała się całkowicie zaprzątnięta własnymi myślami. Nagle uniosła dłoń i wyprostowała palec. Rozejrzała się wokół nieprzytomnym wzrokiem.

– Słuchajcie, musimy nakreślić przebieg wydarzeń – odezwała się tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Chcę odtworzyć, kto, gdzie i kiedy był.

– W momencie wypadku? – Deryło splótł ręce na szerokiej piersi i spojrzał na nią, niepewny, co myśleć o tym pomysle.

– Tak, chodzi mi dokładnie o moment zderzenia pojazdów.

– Co to ma do rzeczy?

– Nie jestem pewna, ale chyba prawie rozumiem nie tylko, o co w tym wszystkim chodzi, ale również podejrzewam, kto stoi za tymi zbrodniami.

Komisarz potrząsnął głową i nerwowo się uśmiechnął.

– Może nas oświecisz? – zapytał, przekonany, że Dmitris coś się pomieszało. W każdym razie nie przypominała teraz osoby w pełni

zdrowej na umyśle. Przerzucała kartki, cicho mamrotała i ponownie nie reagowała na żadne uwagi.

Komisarz westchnął i energicznie obrócił tablicę. Narysował na niej szkic ulic, po czym naniósł na nie samochody. To wyrwało Dmitris z chwilowego letargu.

– Nie, nie! Zmaż to – nakazała. – Chodzi mi o moment sprzed kilku sekund. Nakreśl samochody w odległości jakichś kilkunastu metrów od siebie.

– Wedle życzenia.

Deryło starał się nie okazywać zdenerwowania ani zniecierpliwienia. Posłusznie narysował zarys aut w położeniu tuż sprzed wypadku.

– Tak dobrze? O to ci chodzi?

– A teraz dodaj kolejnych świadków. I tę kobietę, która zginęła...

– Tu? – Komisarz przytknął marker do tablicy.

Brzeski wychylił się znad swojego biurka tak mocno, że zrzucił cały stos papierów. Te spadły na podłogę i rozsypały się wokół, ale nikt na to nie zwrócił uwagi.

– Ona była nieco dalej – oznajmił. – Właśnie czytam raport medyka. Samochód odrzucił ją na bok o prawie osiem metrów. Wtedy wpadła na latarnię.

– Czyli nie znajdowała się na samym przejściu dla pieszych. – Nagle Deryło spojrzał na swój szkic z podwójnym zaintrygowaniem. – A świadek, która to widziała, nie mogła stać w pobliżu. Musiała iść z drugiej strony, gdyż siła rozpędu pchnęłaby ją raczej pod koła pojazdów jadących z naprzeciwka.

– W takim razie jak ta świadek znalazła się na ulicy? – zdziwiła się Nowak. – Chyba nie spadła tam na spadochronie.

Jej dowcipy zawsze były drętwe jak nazistowska propaganda, więc nikt nie zareagował. Mimo to posterunkowa kontynuowała swoje domysły.

– Nie ma innej możliwości, by pojawiła się w tamtym miejscu. Musiałaby przejść przez bariery ochronne, a często tamtędy przejeżdżam i głowę daję, że to niewykonalne.

– Pozostaje jeszcze jedna możliwość... – Deryło wymownie zerknął na Dmitris. Kobieta odwzajemniła jego spojrzenie i delikatnie skinęła głową.

– A nawet dwie, z których jedna jest po prostu bardziej prawdopodobna od drugiej.

Zaczynali rozumieć się bez słów.

83

– Musisz dla mnie ustalić adres pewnej osoby – zwrócił się do ViSira Deryło. – A do tego jej numer telefonu komórkowego. To może okazać się kluczowe. I to natychmiast.

– Kogo?

– Marty Elert.

ViSir zerknął na tablice, na listę nazwisk na jednej oraz schemat wypadku na drugiej.

– Ale przecież... Jakie ona ma znaczenie? – zdziwił się. – Jest wspomniana jedynie jako pasażerka z ostatniego kursu Bartoka. W chwili zdarzenia w taksówce nie było jednak pasażera.

– Ale był chwilę wcześniej.

Brzeski i Nowak z wytrzeszczonymi oczami spoglądali to na Deryło, to na Dmitris. Ci oboje wydawali się całkowicie przekonani, że uchwycili sedno sprawy.

– O ile nie została z niej wypchnięta, co odrzucamy ze względu na brak jakichkolwiek zeznań – wytłumaczyła Sofia. – Ktoś musiałby zobaczyć wypchnięcie kobiety z auta na środku ruchliwego skrzyżowania.

– Dlatego sędzę, że gdy Bartok zbliżał się do świateł, po prostu ją wypuścił. Poprosiła o to, aby się zatrzymał. Być może właśnie włączało się czerwone światło...

Nagle Brzeski pstryknął palcami.

– I potem gwałtownie ruszył, dokładnie w momencie, gdy Sonia zobaczyła leżącą na drodze gałąź.

– Wtedy popełnił błąd – dodał komisarz.

– Zamiast zwolnić, wcisnął mocniej pedał gazu, ale nie udało mu się uniknąć zderzenia.

Dmitris cicho przytaknęła.

– Przez moment myślałam, że za mordami może stać jakiś bliski kobiety, która zginęła – stwierdziła. – Że to ktoś pragnący pomścić jej śmierć, choć przecież to jedynie wypadek... Cały zbieg nieszczęśliwych okoliczności, który który doprowadził do okropnej tragedii.

– Ale?

– Ta kobieta przyjechała poprzedniego dnia do Polski. Na co dzień mieszka w Portugalii i tam ma całą rodzinę. To wydało mi się argumentem torpedującym nawet największe pragnienie zemsty.

Deryło mlasnął. Zgadzał się z Dmitris, a jego oczy lśniły z podniecenia. Z zadowoleniem dostrzegł, że ViSir nie tracił czasu na przechadzki do swojej klitki, tylko zaczął poszukiwania na jednym z laptopów ustawionych w pokoju konferencyjnym.

– Wtedy odkryłam informację o tym, że Sonia chorowała na raka... – Dmitris zawiesiła głos i odchrząknęła. – Dziś rano znalazłam coś jeszcze. Bartok przeżył próbę samobójczą, o czym jego szef starał się nam powiedzieć między wierszami. Niestety nie zrobił tego dość klarownie, co zaoszczędziłoby nam sporo czasu.

– To bardziej pochranione, niż sądziłem... – bąknął Brzeski.

– Wcale nie. Kwestia tego, że śmierć krąży wokół kolejnych osób dała mi sporo do myślenia.

– I miałaś rację. – Deryło przeniósł wzrok z Dmitris na ViSira, lecz ten nadal był całkowicie zaprzątnięty działaniami na laptopie. Najwidoczniej na razie nie zdobył żadnych pomyślnych informacji. – Najważniejszy jest nie sposób działania sprawcy, nie jego podejście do ofiar, ale motyw...

– Co ma z nim wspólnego Marta Elert? – Nowak poprawiła kucyk i przestąpiła z nogi na nogę. – Dlaczego szukamy o niej informacji? To ona stoi za tym wszystkim?

– Nie. – Deryło potrząsnął głową i dał znak, by Dmitris mówiła za niego. – Czyń honory...

Komisarz oparła się o blat biurka i przymknęła oczy.

– Wyobraźcie sobie tę scenę – odezwała się niskim, nieobecny głoŝem. – Wsiadająca z samochodu kobieta, stojąca na poboczu świadek... I kolejna osoba, która jest w samochodzie za autem Bartoka.

– Przecież ona już nie ma z tym wypadkiem kompletnie nic wspólnego. Jedynie to, że zatrzymała się, by pomóc ofiarom...

– Otóż nie. – Dmitris łypnęła na ViSira, który właśnie tryumfalnie uniósł dłonie.

84

Marta Elert starannie wysuszyła i uczesała włosy. Miała osłabioną odporność organizmu, a przeziębienie spowodowane byle przewianiem mogło ją przykuć do łóżka na kilka dni. Już to przerabiała. Tymczasem kilka dni zerwania z harmonogramem, z ćwiczeniami oraz dyscypliną równało się regresowi o kilka tygodni. Nie mogła do tego dopuścić.

Zebrała włosy w kucyk i założyła bejsbolówkę. Zapięła kurtkę, po czym przejrzała się w zawieszonym przy wyjściu z przebieralni lustrze.

– Świetnie wyglądasz. Ta wiatrówka leży na tobie jak szyta na miarę.

Znana jej tylko z widzenia blondynka uśmiechnęła się i przerzuciła przez ramię sportową torbę. Miała około dwudziestu lat, duże

niebieskie oczy oraz poprawione chirurgicznie usta. Estetyczni pruderyjniacy z pewnością powiedzieliby, że przypomina glonojada.

– Dzięki.

Elert założyła niewielki plecak, po czym ruszyła do wyjścia. Blondynka, stukając obcasami, podążyła za nią.

– Widziałam, jak ćwiczysz z oddechem – zagadnęła. – Chodziłaś do jakiejś szkoły? Joga? Taniec?

– Kiedyś balet. Potem medytacja.

– Kontuzja?

– Można tak powiedzieć.

Marta z irytacją zerknęła na kobietę. Przyspieszyła kroku, minęła bramki i pierwsza pchnęła drzwi wejściowe.

– Przepraszam. Może nie powinnam... – Blondynka usiłowała ją dogonić, lecz Elert nagle się odwróciła i wymierzyła w nią palec.

– Nie powinnaś. I jeśli coś, nie potrzebuję ani koleżanek, ani spotkań na kawę. Nie wciśniesz mi też najnowszej oferty duchowej odnowy ani... – Nabrała powietrza i westchnęła. – Okej, to ja przepraszam. Po prostu się śpieszę.

– W takim razie może...

– Może kiedyś.

Elert, nie odwracając się, podeszła do swojego opla. W dużym kombi czuła się bezpiecznie, a automatyczna skrzynia biegów ułatwiała jej prowadzenie. W ramach walki z ułomnościami w przyszłości zamierzała kupić „manuala”, ale na to jeszcze musiała nadejść pora. Na razie noga zbyt często drętwiała i odmawiała jej posłuszeństwa. W końcu to miało minąć.

Blondynka machnęła jej na pożegnanie i obeszała opla od przodu. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Nie chodziło mi o spotkania odnowy duchowej ani żadne sekty. Chciałam z tobą przeprowadzić wywiad... – rzuciła na odchodne. – Jestem dziennikarką, a twój przypadek mógłby motywować wielu innych.

– Świetnie.

Elert nie dodała nic więcej. Zatrzasnęła drzwi i uruchomiła silnik. Natychmiast podkreśliła głośność radia. Była dziwnie pobudzona. Pokręciła głową, po czym wybuchnęła niepohamowanym śmiechem. Nie potrafiła powstrzymać głupawki, nawet gdy wyjechała z parkingu. Bębniła w kierownicę dłońmi, wystukując melodię piosenki. Nuciała i gwizdała. Miewała takie napady, z których czasem nic nie pamiętała. Osuwała się wtedy jakby w swoim świecie, który stanowił jej krótkotrwałą ucieczkę od codzienności.

Tym razem jednak musiała skupić się na prowadzeniu. W samochodzie nie było miejsca na choćby chwilowe odloty. Nie mogła się jednak powstrzymać, by nie dokończyć śpiewać refrenu. Uwielbiała tę piosenkę. Kojarzyła się jej z dzieciństwem oraz słodką beztroską.

– „Jakie słowa ukołyszają moją duszę, moją przyszłość na tę resztę lat...”

Coś wspaniałego. Gdy piosenka dobiegła końca i w aucie na moment zapadła cisza, przebiegł ją dreszcz. Wtedy tuż za sobą usłyszała szmer.

Nagle ktoś przytknął dłoń do jej ust.

– Te słowa cię ukołyszają... – wyszeptała postać siedząca tuż za nią. – To krótka przyszłość...

Poczuła oddech potwora na karku.

85

– Tamtym autem jechał Lorenc. Nie zwróciłem na niego uwagi, bo wpisałem jego nazwisko odruchowo jako osoby całkowicie niezwiązanej ze sprawą... Ale on ma z nią związek i to nie tylko jako ten człowiek, z którego telefonu wezwano Bartoka. Jasna cholera!

Deryło czym prędzej zbiegał po schodach komendy. Nawet teraz nie zdecydował się użyć windy. Zresztą patrząc po susach, jakie sadił,

można było przypuszczać, że nawet najnowsze i najszybsze urządzenia nie były w stanie go wyprzedzić.

– Gdyby tamta kobieta nie znalazła się na drodze, Sonia wpadłaby w poślizg ułamek sekundy później – ciągnął, walcząc z zadyszka. – Zamiast w Bartoka uderzyłaby wprost w auto Lorenca. To całkiem mi się zazębia, ale...

Komisarz sapnął i pchnął drzwi przepuszczając w nich Dmitris. Pozostały w nim przynajmniej resztki kurtuazji.

– Masz kluczyki? – zapytał, ocierając pot z czoła.

– Przeczuwałam, że tak to się skończy. – Sofia potrząsnęła pilotem do auta i skierowała się na parking. – Łap. I dokończ poprzednią myśl.

Deryło otworzył nieoznakowany radiowóz i momentalnie zajął miejsce kierowcy. Uruchomił silnik w chwili, gdy do środka wsiadła Dmitris. Brzeski oraz Nowak mieli zorganizować wsparcie i udać się tuż za nimi, ale jeszcze nigdzie ich nie było widać. Mimo to komisarz nie zamierzał na nich czekać.

– Miałem nadzieję, że ty dokończysz tę myśl za mnie – bąknął. – Chyba w tej sytuacji jestem wyjątkowo słaby w profilowaniu i analizowaniu cholernych motywacji. W ogóle domyślałem się, który kościół burzyć, ale nie mam pojęcia, czy dzwonią w nim na pogrzeb, czy na wesele. Choć chyba to powiedzenie leciało inaczej?

Dmitris zapięła pas i upewniła się, że ma przy sobie broń.

– Chodzi o przecucie – rzuciła po chwili.

– Znowu ta bajka? Wolałbym pewność. Zbyt wiele opieramy na domysłach i pieprzonym przecuciu....

– Tyle że w tym przypadku sednem jest przecucie Lorenca. Nie moje ani twoje.

– Hę? Chyba kompletnie nie kumam.

– Zebrało ci się na nowomowę? Jesteś w tym na tyle słaby, że nie dogadałbyś się z moim synem. – Nagle Dmitris wyjęła z kieszeni telefon i zerknęła na ekran. – ViSir zdobył numer telefonu i adres tamtej dziewczyny.

– Świetnie... Wiesz, co robić?

Dmitris skinęła głową. Wybrała numer, ale nikt nie podniósł słuchawki. Zagryzła usta, po czym pośpiesznie napisała esemes. Przeczytała go i choć brzmiał jak dowcip, uznała, że nie może zrobić nic innego. Wysłała wiadomość. W tym samym momencie Deryło włączył stroboskop i docisnął gaz do dechy. Z ogromną prędkością pomknęli obwodnicą, nie podejmując przerwanej przed chwilą rozmowy. Każdym z nich wiodła inna motywacja. Dmitris intensywnie zastanawiała się, co czeka ich za chwilę, a Deryło milczał pod wpływem przeczucia, że jeżeli komisarz potwierdziłaby jego domysły, te niechybnie niebawem by się spełniły. Momentami jednak, wbrew wyobrażeniu o samym sobie, bywał przesądny.

Kilka minut później zatrzymał samochód pod domem Lorenca. Biegiem pokonał trawnik i dopadł do okna. Na migi pokazał, by Dmitris go osłaniała. Tymczasem przeszedł do drzwi i zadudnił w nie pięścią. Ze środka odpowiedziała mu cisza.

Uderzył drugi raz, po czym nacisnął klamkę. Zamek ustąpił. Pchnął drzwi tak mocno, że te uderzyły o ścianę. Błyskawiczny rzut oka wystarczył, by domyślić się, że niewielki budynek jest pusty. Mimo to Deryło wszedł do środka i błyskawicznie rozglądał się po kolejnych pomieszczeniach.

– Spóźniliśmy się – oznajmił nagle. – Myśliwy już wyruszył na ostatnie polowanie. Ale zrobił to bardzo niedawno...

Znacząco przytknął dłoń do czajnika, w którym wciąż była ciepła woda.

– Grupa uderzeniowa już jest w drodze do domu Marty Elert – oznajmił ViSir. – Aspirant Brzeski od razu rozmówił się

z inspektorem, zgoda została klepnięta, ale...

– Sprawdziłeś ten filmik? – Deryło przerwał wywód informatyka.

– Tak. Komisarz Dmitris miała rację.

– Cholera... Jakim cudem on zrobił tę transmisję w chwili, kiedy jednocześnie musiał podpalać klatkę i zajmować się swoją ofiarą?

– To proste. – Głos ViSira zatrzeszczał w głośniku, gdyż przejeżdżali właśnie przez tunel. Po chwili jednak ponownie było go słychać zupełnie wyraźnie. – Nagrał to znacznie wcześniej i skierował kamerę laptopa na ekran tabletu, w którym uruchomił wideo. Film w filmie... Niestety tego się nie da wychwycić. Czarno-biały filtr zatarł wszelkie podejrzenia! I tak, dopóki nie dostanę oryginalnej ścieżki dostępu, wróżę z fusów, choć nie widzę innej opcji.

– Chrzanić to. Ważne, że mamy potencjalne wytłumaczenie.

– Nic więcej nie mogłem zrobić, komisarzu.

– Wiem.

Deryło się rozłączył i zerknął na Dmitris. Jego partnerka siedziała wyprostowana jak struna, z głową opartą o zagłówek oraz nieobecny spojrzeniem utkwionym gdzieś w nieokreślonej dali.

– Co jest? – zagadnął. – O czym myślisz? Za trzy minuty będziemy pod domem Elert.

– Właśnie w tym rzecz – wycedziła.

– Co takiego?

Dmitris zamrugnęła jak wyrwana ze snu i gwałtownie się do niego odwróciła.

– Zawracaj! – krzyknęła. – Jedź tam, gdzie znaleziono pierwsze zwłoki.

– Nie żartuj, przecież...

– Proszę, zrób to teraz. Zaraz wszystko wytłumaczę!

Deryło zacisnął zęby i wykorzystawszy wszelkie umiejętności rajdowca, przejechał przez pas zieleni odgradzający jezdnie. Dodał gazu, włączając się do ruchu w przeciwnym kierunku. Radiowóz zeskoczył z krawężnika, coś brzęknęło, lecz po chwili wyrwali do przodu.

– Taksówkarz chcący popełnić samobójstwo... Chora na raka kobieta, która mogła zginąć w wypadku. Chodzi o kolejność.

– Parę minut temu mówiłaś, że chodzi o przeczucie.

– Właśnie!

Dmitris przytknęła palce do skroni i zmrużyła oczy, jakby raził ją atak migreny.

– Lorenc wiedział, że w tym wypadku mógł stracić życie. Uratowało go tylko ogromne szczęście i pech kilku innych osób. Musiał analizować całą sytuację tysiące razy... Wbrew pozorom to nic niezwykłego, podobne momenty zapamiętujemy niemal idealnie. Jednocześnie dopasowało się to do jego wizji mixartu, nie tylko jako sztuki powstałej na przedmiotach codziennego użytku.

– Tylko? – Deryło z pełną koncentracją prowadził auto. Skręcił z głównej ulicy w boczną, wymijając pieszych przechodzących na zielonym świetle. – Banda głuchych!

– Tylko dzieła przypadku – ciągnęła beznamiętnie Dmitris. – Jego prace tak naprawdę powstawały dopiero w trakcie użytkowania przez kolejne osoby, bez których były martwe. Obrazy na pisuarze tworzą się, gdy pod wpływem moczu się rozmywają. Te na spodniach wtedy, gdy zostają przetarte... Przypadkowa forma dopasowana do życia.

– Nie idziesz za daleko?

– Nie można pójść za daleko, jeśli wszystko doskonale do siebie pasuje. Lorenc uznał, że jest następny w kolejce. Gdyby Marta Elert nie kazała Bartokowi wypuścić się na skrzyżowaniu, ten musiałby skręcić przed autem Sonii i uderzyłby prosto w Lorenca. Prędkość byłaby o wiele większa. W tym układzie Lorenc ginie pierwszy, jednocześnie z taksówkarzem, auto leci na bariery i dopiero wtedy zabija tamtą kobietę. Elert zostaje zabita mniej więcej w tym samym czasie...

Deryło odruchowo zabębnił palcami w kierownicę.

– Chcesz powiedzieć, że on chce pozbyć się osób, które przy innym układzie gwiazd zginęłyby zamiast niego? – parsknął. – Tak jakby sądził, że jemu samemu zostało mniej życia niż im... To obłąd.

– Dokładnie taki obłąd powtarza się u dziesiątek seryjnych morderców. Wierzą w przypadek, w los, w ślepy traf albo swoją misję. Czy widzisz jakikolwiek słaby punkt tego rozumowania?

Deryło cicho zaklął.

– Poza tym, że mógł je spłodzić tylko mózg szaleńca, wszystko się zgadza.

W tym momencie dostrzegł, że na jego telefon dzwoni ktoś z numeru nieprzypisanego do kontaktu. Doskonale go jednak pamiętał. Był to numer telefonu oddziału intensywnej terapii. Spodziewał się najgorszego.

87

– Co robisz? Szybko!

Telefon wciąż dzwonił, a komisarz zatrzymał auto przed budynkiem otoczonym blaszanym ogrodzeniem. Dmitris wyskoczyła ze środka i ruszyła w stronę przejścia, gdzie nadal wisały policyjne taśmy. Wyciągnęła pistolet, nie mając pojęcia, dlaczego Deryło nie rusza się z auta. Siedział w nim jak sparalizowany, trzymając w dłoni telefon.

– Eryk! – krzyknęła szeptem, tak jak potrafią to robić tylko nieliczne kobiety. – Do licha!

Uchwyciła spojrzenie komisarza, który nagle zacisnął usta i schował komórkę. Wynurzył się z auta, po czym podążył za nią. Już po chwili, gdy tylko znaleźli się na ogrodzonym terenie, wyprzedził ją i nakazał, by trzymała się za nim.

– Twierdzisz, że jest w środku? – zagadnął z uśmiechem szaleńca oraz łzami w oczach. – Dopadniemy sukinsyna.

– Spokojnie, opanuj się – powstrzymała go Dmitris. – Nie zrobmy nic głupiego.

– Nie mamy czasu na spokój...

Komisarz przyłożyła palec do ust i powoli nabrała powietrza. Obawiała się, że w tym stanie Deryło zrobi coś, co mogłoby przynieść fatalne konsekwencje. Wyglądał niczym żądny zemsty filmowy mściciel, z potarganymi włosami, obłądnym wzrokiem oraz palcem na spuście pistoletu.

– Elert zginęłaby w tym samym miejscu, ale nieco później niż Bartok – wytłumaczyła, starając się nieco go okiełznać. – On to wszystko odtwarza. Ale teraz nie miał zbyt wiele czasu na przygotowania. Musiał działać pośpiesznie, a skoro rozminęliśmy się co najwyżej o pół godziny... Rozumiesz?

– Tak.

– Powiedz, że myślisz racjonalnie.

– Tak, do kurwy nędzy. Racjonalnie jak diabli.

Deryło delikatnie ją odepchnął i wpadł do budynku. Zamiast zachować właściwą ostrożność, trącił leżący na ziemi drut, który z brzękiem potoczył się po betonie.

– Szlag!

W tym samym momencie usłyszał dźwięk silnika dużego auta. Niestety okno tuż przy nim było zabite deskami. Łypnął na Dmitris, która zrozumiała, co ma na myśli. Oboje rzucili się na zewnątrz. Równocześnie rozległ się pisk opon, dźwięk rozrzuconego żwiru i głośny trzask.

Deryło wypadł na zewnątrz jako pierwszy. Jedno z metalowych pręseł ogrodzenia było odstawione i na teren budowy wjechał spory pick-up. Za jego kierownicą siedział Lorenc. Dzikie spojrzenie długowłosego mężczyzny spotkało się ze spojrzeniem komisarza.

Lorenc najwyraźniej zamierzał ukradkiem zaparkować obok wznoszonego budynku, jednak w ostatniej chwili dostrzegł stojący nieopodal radiowóz. Musiał go rozpoznać i pod wpływem impulsu dynamicznie wycofać. Pick-upa zarzuciło i z impetem uderzył tyłem w latarnię. Nadkole zdeformowało się na tyle, że metal ocierał się o oponę, uniemożliwiając dalszą jazdę.

Komisarz chwycił pistolet i błyskawicznie wymierzył w stronę auta. Przybrał pozycję strzelecką, jednocześnie przygotowując się na osłonięcie Dmitris. Kiedy policjantka wybiegła z budynku, natychmiast odbezpieczył broń.

– Wyłaź! – krzyknął. – Ręce na głowę i wyłaź z auta! Jazda!

Lorenc ani drgnął. Z delikatnym uśmiechem wpatrywał się wprost w komisarza.

– Wyłaź albo rozwalę ci łeb!

– To nie byłoby dobre wyjście – odkrzyknął zza lekko opuszczonej szyby. – Sam pan zrozumie.

Delikatnie się podniósł, pokazując trzymany w dłoni nóż. Drugą rękę miał niżej, lecz po chwili odsłonił swój atut. Była nim niemal całkowicie bezwładna Marta Elert. To w jej szyję mierzył ostrzem.

– Cofnijcie się! – nakazał, pchnąwszy drzwi. – Opuśćcie broń albo poderżnę jej gardło.

– Nie zrobisz tego, bo...

Lorenc zacisnął palce na rękojeści i delikatnie się zamachnął. Dmitris wstrzymała oddech, jednocześnie opuszczając pistolet. Deryło zrobił to samo.

– W porządku. Nie musisz tego robić.

– To brzmi znacznie lepiej niż to, że tego nie zrobię. Zrobię to, co zechcę, zapamiętajcie.

Deryło błyskawicznie wymienił spojrzenia z Dmitris. Ta ukradkiem do niego skinęła. Tymczasem Lorenc wysiadł z auta, ciągnąc za sobą Martę. Nogi kobiety głucho uderzyły o ziemię, mężczyzna się zachwiał i wydawało się, że zaraz upadnie. Nagle jednak wykrzesał z siebie

jakieś niespotykane pokłady sił, po czym się wyprostował. Niezmiennie trzymał nóż tuż przy gardle kobiety.

– Nie ślińcie się – syknął. – Los dziś mi sprzyja.

– Wytłumacz mi coś.

Deryło zrobił krok w jego stronę, choć nadal trzymał opuszczony pistolet. Lorenc gniewnie się cofnął i poprawił chwyt na nożu.

– Ani milimetr bliżej, komisarzy – warknął. – I to nie jest moment na jakiegokolwiek tłumaczenia.

– Powiedz tylko, dlaczego spaliłeś Bartoka? – zapytał Deryło. – Czy nie mogłeś po prostu poderżnąć mu gardła?

Lorenc parsknął. Cofał się w stronę budynku, trzymając przed sobą Martę Krug niczym tarczę.

– Wiecie o wypadku, prawda? Dlatego mnie tu znaleźliście...

– Tak. Ale nie mam pojęcia, po co to okrucieństwo. Los nigdy nie jest okrutny. Jest zaskakujący, bolesny, lecz nigdy nie bywa brutalny.

Deryło plótł trzy po trzy, starając się zyskać na czasie. Liczył na to, że Lorenc odłoni się lub wykona jakiś nieuważny ruch. Wystarczyło, by się potknął lub zachwiał. Poza tym wystrzelony pocisk powinien przebyć dzielący ich dystans szybciej, niż ten zareagowałby, unosząc nóż, jednak te dywagacje sprowadzały się już przede wszystkim do teorii prawdopodobieństwa.

– W moim aucie był wyciek paliwa – odburknął Lorenc. – Gdyby doszło do wypadku, wszyscy byśmy spłonęli. Biegli nie mieli co do tego żadnych wątpliwości.

– A woda? – Dmitris doskonale rozumiała intencje komisarza i również starała się zagadać szaleńca. – Dlaczego chciałeś utopić Sonię?

– Wiecie, co stało się z jej szyją? Nie? Widzę przecież te puste spojrzenia... – Mężczyzna sapnął z wysiłku. Mimo że Krug była drobna, wleczenie na pół bezwładnego ciała stanowiło spore wyzwanie. – Gruby łańcuszek na jej szyi oplótł się o pas bezpieczeństwa. Gdyby siła uderzenia była minimalnie większa, rozerwałoby jej aortę, a ona

utopiłaby się we własnej krwi. Teraz rozumiecie? Wypełniłem po prostu jej los.

– To obłąd.

– Czyżby? Obłądem było zwrócenie na siebie uwagi przez skargę wysłaną na tego taksówkarzynę. A jednak szczęście sprzyjało mi od początku.

– Myślałeś, że w ten sposób sprawdzisz, czy cholerny układ gwiazd jest ci przychylny?

– Wtedy zrozumiałem, że fart jest po mojej stronie. Ale nie przeciągniecie już tego ani o sekundę dłużej... Czas dopełnić tego, co nam pisane.

Lorenc gwałtownie się cofnął w stronę pustostanu. Musiał przy tym się obrócić, by spojrzeć, czy aby na pewno otwór wejściowy jest dokładnie za nim. Wtedy Deryło uniósł broń.

Wstrzymał oddech i oddał strzał. Ułamek sekundy później rozpaczliwie zaklął.

89

Deryło, jak w zwolnionym tempie, obserwował uskakującego w bok Lorenca oraz padającą bezwładnie na ziemię Martę Krug. Kobieta, choć przed chwilą jedynie ledwie poruszała stopami, nagle drgnęła, po czym zwinęła się w kłębek. Zadrżała po raz kolejny i wydała z siebie głośny jęk. Po kilku sekundach zamarła w bezruchu.

– Niemal dokładnie w tym samym miejscu co Bartok... – wyszeptał Lorenc. Szeroko się uśmiechnął i spojrzał prosto w oczy komisarza. – Właśnie tak, jak powinno się to wydarzyć.

– Mój Boże! – Dmitris krzyknęła bezradnie. Mimowolnie rzuciła się przed Deryłę, lecz po chwili zastygła w pół kroku. Lorenc nadal zaciskał palce na długim nożu myśliwskim.

Komisarz stał w tej samej pozycji, w której oddał strzał. Dłonie, w których trzymał pistolet zadrżały, a on cicho wypuścił powietrze.

– To był jej los! – obwieścił Lorenc. – Los nas wszystkich. Tak zostało nam zapisane...

– Pieprz się...

Zdawało się, że Deryło wystrzelił po raz kolejny. Jego palec ponownie powędrował ku spustowi. Lorenc, widząc to, uśmiechnął się jeszcze szerzej. Odsłonił białe duże zęby. Niewiele brakowało, a wybuchnąłby głośnym śmiechem. Ostentacyjnie rozłożył dłonie i wypuścił broń. Metalowe ostrze uderzyło o bruk, po czym nóż potoczył się na bok.

– Jestem bezbronny, komisarzu! – wrzasnął wyzywająco. – Chce pan zamiast mnie trafić do końca życia za kratki? Nie robi pan tego, bo mnie pisane jest teraz życie.

– Wierzysz w to? – wycedził Deryło. – Naprawdę aż tak bardzo w to wierzysz?

Napreżył mięśnie, gotów wystrzelić. Wstrzymał oddech, lecz w tym momencie na linię strzału wkroczyła Dmitris. Mierząc z pistoletu w Lorenca, zbliżała się do niego krok po kroku.

– Ręce na głowę! – wrzasnęła. – I na kolana, gnoju!

Mężczyzna nie przestawał się uśmiechać. Posłusznie założył ręce za głowę i zgodnie z poleceniem opadł na kolana.

– Będę żył – wymamrotał. – W Polsce nie ma kary śmierci, więc będę żył jeszcze długo. Nie tak jak oni. Udało mi się, oszukałem los! Rozumiecie? Oszukałem ten cholerny los!

Wstrząsnął nim dziki śmiech. W tym momencie Dmitris do niego dopadła i zdzieliła go kolbą pistoletu w twarz. Lorenc zerknął na nią zdziwiony, a z jego ust spłynęła strużka krwi. Chwilę później nieprzytomny zwałił się na ziemię. Deryło nie zwrócił na niego żadnej uwagi. Natychmiast znalazł się tuż przy ciele Marty Krug i zrozpaczony przykucnął.

TRZY DNI PÓŹNIEJ

90

Zgodnie z wysłowionym kiedyś życzeniem Haler, jej pogrzeb odbył się w cywilnej kaplicy domu żałobnego. Miał charakter świecki. Odczytano kilka formułek, inspektor Knap wygłosił krótkie przemówienie, a kilkudziesięciu funkcjonariuszy komendy złożyło ostatni hołd policjantce, która w ciągu dwóch lat pracy w Lublinie zyskała sobie miano jednej z najlepszych śledczych w historii.

Deryło, wbrew naleganiom, nie zdecydował się na jakiegokolwiek publiczne pożegnania ani elegie. Wraz z Dmitris zajął miejsce w jednym z ostatnich rzędów. Gdy formalna część uroczystości dobiegła końca, odczekał, aż większość przybyłych opuści kaplicę i powoli podszedł do pulpitu, na którym umieszczono urnę. Haler nie miała kontaktu z rodziną, więc to on zajął się organizacją pogrzebu. I to on – po szeregu komplikacji prawnych – wziął na siebie ciężar decyzji o tym, by ciało podkomisarz skremować. Zdawało mu się, że kiedyś wspominała, iż tego chce, jednak teraz nie był niczego pewny.

Spojrzał na elegancką mahoniową skrzyneczkę i wyciągnął ku niej dłoń. Z namaszczeniem dotknął wieka oraz mosiężnych okuć. Stał sztywny, niemal całkowicie zdrętwiały. Miał stężałą twarz i pusty wzrok.

– Dlaczego ty? – szepnął w stronę urny. – Dlaczego nie ja?

Nie potrafił tego pojąć. Przed Tamarą powinny właśnie otwierać się wszelkie perspektywy życia, radości posiadania rodziny oraz korzystania z uciech, jakich dostarczał świat. Tak, to była niezrozumiała tajemnica boskiego zamysłu. Tajemnica, wobec której niemal każdy podnosił bunt, nierzadko głośno bluźniąc przeciw Bogu oraz Jego woli.

A może Bóg umywał ręce nie tylko od ludzkich słabości, ale również od niedomagań ludzkiego ciała? Może składał los ludzki w chciwie rozwarłe ramiona przypadku?

– Będzie mi ciebie brakowało – powiedział niemal niesłyszalnie. – Ciebie, twoich cholernych miętówek i nagłych oświeceń. No i twojej komputerowej pamięci...

Starął się uśmiechnąć, lecz zamiast tego jego usta wykrzywił szloch. Głośno pociągnął nosem i się wyprostował. Usłyszał cichy szmer.

Drzwi w rogu pomieszczenia się otworzyły, a po chwili wyjrzał zza nich jeden z ceremoniarzy zakładu pogrzebowego. Komisarz dał mu znać, że potrzebuje jeszcze tylko krótkiej chwili.

– To powinienem być ja... – syknął z naciskiem. – Niech to szlag...

Zacisnął pięści i zadrżał. Zwiesił głowę, a nogi się pod nim ugięły. Musiał podtrzymać się o metalowy pulpit, który się zachwiał i urna nieomal runęła na ziemię. Tuż przy nim pojawiła się Dmitris. Chwyliła go pod ramię, ale nie powiedziała nawet słowa. Stała sztywno, podpierając go ze wzrokiem utkwionym w mahoniowej skrzyneczce.

Drzwi znowu się otworzyły i wtedy komisarz wymienił z ceremoniarzem porozumiewawcze spojrzenie. Po chwili z dyskretnie rozmieszczonych głośników dobiegły pierwsze takty *Stairway to heaven* Deep Purple. Dmitris się uśmiechnęła. Otarła łzę wypływającą z kącika oka.

– Kazałeś to puścić właśnie teraz, bo nie miałeś pojęcia, czy Tamarze by się to spodobało? – zagadnęła, łypiąc na komisarza.

– Wiem, że lubiła muzykę. Ale w tym gatunku mam rozeznanie wymarłego dinozaura. – Komisarz westchnął. – Nie chcę, żeby mnie nawiedziła, wyrzucając, że w ostatnią drogę odprawiłem ją w towarzystwie nieznośnego rzępolenia.

Dmitris delikatnie klepnęła go w ramię.

– Odpowiadam ci za nią: byłaby wniebowzięta.

– To nie jest najlepsze słowo w kontekście tej uroczystości.

Deryło po raz pierwszy od wielu godzin się rozluźnił. Przystąpił z nogi na nogę i nagle spojrzął na urnę odmienionym wzrokiem. Nie było w nim wyrzutu oraz złości, lecz jedynie tęsknota.

– I tak przeżyliśmy co najmniej kilka żyć – mruknął, po czym, również otarłszy łzę, skierował się do wyjścia. – Do zobaczenia, moja droga.

Kiedy to wypowiedział, w głowie rozbrzmiały mu słowa wypowiedziane głosem Halera.

„Żegnaj, tatuśku”.

91

– Ty to zrobisz? – zapytał Deryło. – Należy ci się.

Dmitris założyła włosy za uszy i wessała dolną wargę. Miała zaczerwienione oczy, a jej twarz była bledsza niż zwykle. Sprawiała wrażenie potwornie zmęczonej, lecz jednocześnie ogromnie zdeterminowanej.

Wraz z komisarzem stali przed wejściem do aresztu śledczego. Uroczystość pogrzebowa Halera ostatecznie dobiegła końca i niezwłocznie po niej wybrali się właśnie tutaj. Wspólnie, choć całkowicie dorozumianie, uznali, że w ten sposób złożą jej najlepszy hołd.

– To powinieneś być ty... – odezwała się policjantka. – Sądzę, że...

– Nie sądź – przerwał jej Deryło. – Ja tu zaczekam. Postoję na świeżym powietrzu i powalczę z myślami. Pogadam z nią...

– Na pewno?

– O ile tylko nie przeszkadza ci ponowne spojrzenie w oczy temu dewiantowi.

– Zrobię to z prawdziwą, dziką przyjemnością.

Dmitris otworzyła drzwi i weszła do środka. Pokazała legitymację, lecz strażnik nawet na nią nie zerknął. Pośpiesznie wpisał coś do księgi, po czym z szacunkiem wstał z miejsca. Zaskoczona komisarz nie skomentowała tego, lecz wyciągnęła z kieszeni telefon. Owca

– Biorę go ze sobą. – Machnęła nim przed szybą. – Może pan spisać protokół...

– Pani można. Przynajmniej w tym przypadku.

– Podobają mi się tutejsze zwyczaje.

Kolejny strażnik z podobnym namaszczeniem poprowadził Dmitris kolejnymi korytarzami, otwierając przed nią kraty. Przecięli niewielkie podwórze i skierowali się do drugiego skrzydła aresztu.

– Lorenc już jest w pokoju przesłuchań – odezwał się, przykładając kartę dostępu do czytnika. – Sukinsyn zachowuje się butnie i arogancko. Wygląda na całkiem zadowolonego z faktu, że wylądował w pudle.

– Do czasu – skwitowała Dmitris.

Przeszli kolejnym korytarzem między celami. Kilka z nich było otwartych i osadzeni z ciekawością zerknęli na przybyłą. Być może harda mina komisarz, a może jej pełna dumy postawa sprawiły, że nie padła żadna, najmniej wyzywająca uwaga.

– To tutaj. Dotarliśmy do celu.

Strażnik dał znać drugiemu, znajdującego się po przeciwnej stronie kraty. System zabezpieczeń wymagał w tym miejscu koordynacji dwóch funkcjonariuszy. Po chwili zamek brzęknął i skierowano Dmitris do pomieszczenia na uboczu. Miało ono kształt kwadratu o ścianie mierzącej około czterech metrów długości. Pomalowano je na zielono, choć farba w wielu miejscach już obłaziła. Na środku znajdował się przytwierdzony do ziemi stolik oraz dwa krzesła.

– Poradzę sobie. – Policjantka minęła strażnika i delikatnie zamknęła za sobą drzwi. Stała w progu, po czym spojrzała na Lorenca.

Morderca siedział wyprostowany przy stoliku. Uśmiechał się, obserwując ją z zainteresowaniem. Pochylił głowę, wydymając

jednocześnie wargi.

– Los mi niezmiennie sprzyja – odezwał się nagle. – Liczę na łagodny wymiar kary. Z pewnością znajdą jakieś nadzwyczajne okoliczności... A potem... Wszystko mi mówi, że pożyję naprawdę długo.

Dmitris bez słowa usiadła na krześle naprzeciw niego. Wyciągnęła telefon i położyła go na metalowym blacie. Obróciła ekran w stronę osadzonego, po czym uruchomiła nagranie.

– Co to? – Lorenc zmarszczył czoło. – Chcesz mi zagwarantować prywatne kino? Proszę bardzo!

Początkowo obraz był zaciemniony, ale po chwili się rozjaśnił. Pojawiła się na nim twarz Marty Krug. Kobieta miała zamknięte oczy i bladą twarz. Lorenc uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Trup... – szepnął.

Wtem Krug otworzyła oczy i wydawało się, że wbija spojrzenie prosto w mordercę. Uśmiechnęła się tak, że ten odruchowo podskoczył, potykając się o krzesło. Niemal uderzył głową o ścianę. Stał jak wryty i z szeroko rozdziawionymi ustami spoglądał na telefon.

– Co jest... Przecież to niemożliwe!

Krug nagle spoważniała i zamrugwała.

– Mam się dobrze, sukinsynu – wycedziła powoli. – A tobie los za wszystko szybko odpłaci. Jak wiesz, na liście śmierci jesteś następny w kolejce.

Kobieta puściła oglądającemu oko, po czym nagranie się zakończyło. Dmitris schowała telefon do kieszeni.

– Zanim ją porwałeś, odebrała ode mnie esemesa. Przestrzegłam ją, że jest zagrożona i w razie czego musi udawać martwą – wyjaśniła, z satysfakcją obserwując narastające przerażenie na twarzy Lorenca. – Obawiałam się, że tego nie zrozumie, ale... Odegrała swoją rolę naprawdę wybornie. A poza tym... Komisarz Deryło przesyła ci prezent.

Dmitris ponownie sięgnęła do kieszeni. Tym razem wyciągnęła z niej zmiażdżoną, zdeformowaną resztkę pistoletowego pocisku.

– Umyślnie strzelał ponad twoim ramieniem. Stwierdził, że być może potraktujesz to jako szczęśliwy amulet.

Po tych słowach Sofia obróciła się na pięcie, po czym ruszyła do drzwi. Nagle się zatrzymała i zerknęła przez ramię.

– Fatum? Ananke? – zapytała z uśmiechem. – Tak to nazywasz? Ja to nazywam po prostu przekleństwem.

—= FADE TO BLACK =—

POSŁOWIE

Uwaga, uwaga – wiem, że są osoby, które rozpoczynają lekturę powieści od posłowania, więc ostrzegam – znajdują się tu istotne wskazówki co do fabuły, tożsamości mordercy etc. Mamo Bartka, proszę podwójnie, bo wiem, że nawyki są silniejsze od przestróg.

Tymczasem...

Muszę przyznać, że zostałem wrobiony. A raczej to los, fortuna lub wyobraźnia mnie wrobiły. Nie tak miała się potoczyć historia. Odkąd ukończyłem dziesiąty tom przygód komisarza, wierzyłem, że Haler jakimś cudem przeżyje. Trzymałem za nią kciuki, a jednocześnie najwyraźniej podświadomie odsuwałem przystąpienie do pisania. Po raz pierwszy opuściłem jesienną premierę cyklu właśnie pod wpływem obaw. Odczekałem dwa, trzy, cztery miesiące. Odczekałem niemal rok od postawienia ostatniej kropki.

Wreszcie uznałem, że nadszedł właściwy moment i wszystko jakoś się ułoży. Zawsze wierzę, że te opowieści tkwią gdzieś we mnie, a ta konkretna „spisywała się” błyskawicznie. Pokłady fabularne buzowały niczym woda pod wpływem ciśnienia szukająca ujścia i wybuchająca ponad powierzchnię ziemi jak gejzer.

Strona po stronie zdawały się odkrywać kolejne karty nieuchronnego biegu wydarzeń, a ja... Nadal miałem nadzieję. Miałem również dość mocne argumenty. Przecież czytelnicy polubili duet Deryły oraz Haler równie mocno jak ja. Przecież sceny z ich udziałem pisze mi się gładko i przyjemnie. Przecież poznałem już dość dobrze Tamarę, a poznawanie bohaterów to proces męczący i wymagający.

Rzucałem sobie nie tylko kłodę pod nogi, ale sam siebie zasmuciłem. Być może to zakrawa na absurd lub co najmniej szaleństwo, lecz to, co się wydarzyło, naprawdę jest mi nie w smak. Zżyłem się z Tamarą tak

mocno, jak mocno można się zżyć z postacią, z którą spędza się więcej czasu niż z większością osób rzeczywistych. Gdyby rozłożyć to na godziny, mielibyśmy naprawdę intensywne i długotrwałe spotkania. Jej wiedza przecież była moją wiedzą. Jej myśli zlewały się z moimi... Tak jak i następnie z Państwa myślami.

Cóż. Stało się. Widać taki los był pisany jej oraz nam.

Czas pokaże, co będzie dalej. Wiem, że na komisarza czekają nowe sprawy i nowe wyzwania. Sofia Dmitris również mnie zaintrygowała, a intrygujące kobiety przyciągają jak magnes. Dlatego zapewne tym razem nie będzie długich przerw, lecz bohaterowie ożyją przy najbliższej możliwej okazji.

Tymczasem Tamara Haler będzie żyła tak długo, jak długo będą czytane poprzednie tomy. To jest w najczystszy sposób metafizyczne, czyż nie? My ją stworzyliśmy i tylko my możemy ją zabić.

Być może mordercą z przyszłego tomu stanie się właśnie czytelnik? Kto wie...

Ukłony
Max Czornyj

OD ŚMIERCI NIE MOŻNA UCIEC.
NIGDZIE.



GDY RAZ ZETKNIESZ SIĘ ZE ZŁEM,
NIE BĘDZIE JUŻ ODWROTU.

FILIA MROczNA
STRONA

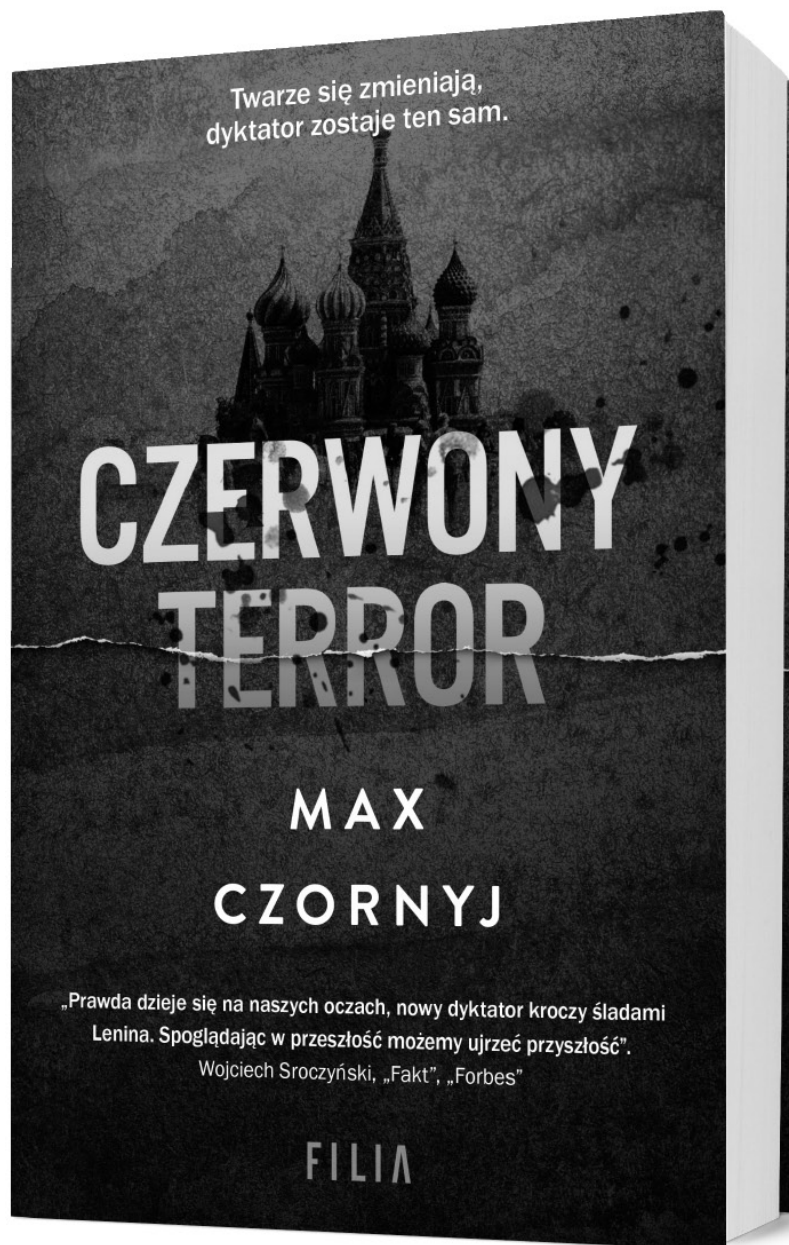
Komisarz Liza Langer
i profiler Orest Rembert nie mają sobie równych



Żadnym czasem nie brakuje szaleńców

FILIA MROczNA
STRONA

Twarze się zmieniają,
dyktator zostaje ten sam...



FILIA

NA FAKTACH

SPIS TREŚCI

Karta tytułowa

Dedykacja

Cytaty

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22
23
24
25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43
44
45
46
47
48
49
50
51

52
53
54
55
56
57
58
59
60
61
62
63
64
65
66
67
68
69
70
71
72
73
74
75
76
77
78
79
80
81

82

83

84

85

86

87

88

89

90

91

POSŁOWIE

Reklama 1

Reklama 2

Reklama 3

Karta redakcyjna

Copyright © by Max Czornyj, 2023
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiejkolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2023

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Marta Akuszewska
Korekta: RedKor Agnieszka Luberadzka
Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8280-790-5

FILIA

Grupa Wydawnicza Filia sp. z o.o.
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.